

CZYTAM, SŁUCHAM, MYŚLĘ, DZIAŁAM
OD OPOWIEŚCI DO ZRÓWNOWAŻONEGO
ROZWOJU ŚWIATA



Redaktor
Aleksandra Kabala

Projekt okładki
Martyna Koleniec

Ilustracje
Martyna Koleniec

ISBN
978-83-901609-7-9

Wydawca



Polski Komitet Światowej Organizacji Wychowania Przedszkolnego OMEP
02-119 Warszawa, ul. Pruszkowska 10
zarzad@omep.org.pl

Opracowanie graficzne



Wstęp	7	
O tym, jak Kąsaczek podzielił się z Gałęzią tym, co miał do jedzenia i jak postanowili pomagać innym	11	
Antek, chłopiec o wielkim sercu	15	
O marchewce, Szponie i Krzysiu	17	
O mądrej mamie i jej synku Tomku	21	
O mądrej staruszce i jej magicznym świecie	23	
O tym, jak się można czegoś nauczyć	29	
Supermyszka	33	
O Julii i Adamie	37	
Smoczy wyścig	41	
O roztropnym Stasiu i psotnym Haku Gilaku	45	
Jak Struzik poradził sobie z brakiem wody	49	
O piratach, księżu i energii	53	
Odnawialne źródła energii	57	
Jak Józek i Jagódka znaleźli zatrudnienie	59	
O tym jak Struzik odmienił życie przyjaciela	63	
Historia o mrówkach	67	
O Bałwanku i Niedźwiadku oraz pozostałych mieszkańcach pokoju Tosi	71	
Smok Tomaszek Sprawiedliwy	77	
Tak pięknie się różnimy	81	
Mały dorsz Atelis	83	
Nietypowy świat Szarlotki	85	
Tomek i wakacje	89	

O Tosi i jej budowlach	91	
Królewna Śnieżka i Hałas	95	
O nadwyżkach produkcji i znikomym popycie na ciasteczka	99	
Na pomoc bateriom, na pomoc Ziemi!	103	
Infrastruktura i budownictwo	105	
Historia Balandii	107	
Baterie	111	
Staruszek akumulator	113	
Produkcja i konsumpcja	115	
Zabawy w Paszkłopli	117	
O Powietrzu, Ziemi, Wodzie, złym Ceod-Wa i Tempusie	119	
O Lodowcu i Królu Oceanów	123	
Lolek. Smok, który ocalił morze	127	
Bajka o smoku, który szukał wody	131	
Niedokończona opowieść o uzdrowieniu królowej Harmonii	135	
O tym, jak zabrakło Temidy	137	
Coś dobrego	141	
Bajka o zielonej pszczole	143	
O pięciu rodach	147	
Mały chłopiec o wielkim sercu	151	
Smocze opowieści	153	
Budujemy domy – domki dla owadów	155	
Bajka o smoku Drago, który ział ogniem	157	

Wstęp

W 2015 roku wszystkie państwa członkowskie ONZ podjęły globalne wyzwanie, by dążyć do życia na naszej planecie w sposób zrównoważony. Przyjęta przez nie rezolucja „Przekształcamy nasz świat: Agenda na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030” zawiera 17 Celów Zrównoważonego Rozwoju, a także 169 zadań szczegółowych, które mają zostać zrealizowane do 2030 roku. I nie chodzi tu tylko o podjęcie wysiłku i starań przez rządzących poszczególnymi krajami.

Jednym z zamierzeń tego przedsięwzięcia jest uwrażliwianie na problemy świata poprzez edukację ludzi w każdym wieku. Niniejsza publikacja jest próbą dotarcia do dzieci w wieku przedszkolnym i wczesnoszkolnym. Za pośrednictwem opowieści poruszane są tu wszystkie najważniejsze kwestie, na które zwrócono uwagę w „Agendzie na rzecz zrównoważonego rozwoju 2030”. Opowiadania zostały podzielone tematycznie, zgodnie z zagadnieniami poszczególnych celów zrównoważonego rozwoju. Znajdują się tu więc m.in. problemy ubóstwa, poprawy jakości życia, pomysły na to, jak działać w dziedzinie klimatu, pokoju i partnerstwa na rzecz celów, na czym polega odpowiedzialna konsumpcja i produkcja oraz co oznacza pojęcie zrównoważone miasta i społeczności.

Dziecko posiada wyobraźnię serca, co oznacza, że naturalnie dostrzega niesprawiedliwość, nierówność czy nieodpowiedzialność w traktowaniu ludzi i przyrody. Jest otwarte na działanie i ma chęć zmieniać świat. Potrzebuje jednak wzmocnień i zapewnień, że jako młody jeszcze człowiek ma siłę sprawczą, że jego codzienne, proste czyny są ważne i potrzebne światu.

I takie przesłanie bije z opowieści zawartych w niniejszej publikacji. Narracja poszczególnych utworów dotyczy bohaterów, którymi są albo dzieci, albo ożywione przedmioty. Wprowadzony element niezwykłości, fantazji, bajkowości sprawia, że każda historia rozbudza wyobraźnię i zaprasza dzieci do zmierzenia się z trudnym zagadnieniem. Osadzenie tematyki globalnych wyzwań w świecie codziennym albo fantastycznym ma swoje uzasadnienie. Oba te światy są bliskie dzieciom, co oznacza, że potrafią się w nich poruszać i czują się w nich bezpiecznie. Zatem na takim „terytorium” można budować wrażliwość na problemy i rozwiązywać trudne sprawy.

Istnieje kilka sposobów przekazania dzieciom poszczególnych opowiadań. Można je po prostu przeczytać, a potem podyskutować. Można też, i do tego bardzo zachęcam, opowiedzieć historię swoimi słowami albo wplatać do opowieści fragmenty czytanego tekstu. Taki zabieg sprawia, że tekst literacki ożywa i szybciej trafia do wyobraźni dziecka.

Ciekawym zabiegiem jest też czytanie – dopowiadanie. Wystarczy zaznaczyć w tekście te fragmenty, w których następuje zwrot akcji albo w których bohater odpowiada na pytanie czy też podejmuje decyzję. Należy wtedy zrobić pauzę w czytaniu i zaprosić dzieci do wysuwania swoich propozycji – co by zrobiły na miejscu danej postaci, jak by się zachowały, jak wybrnęły z danej sytuacji? Na koniec następuje porównanie propozycji dzieci z tymi, które znajdują się w opowiadaniu. Taki zabieg od razu, już podczas czytania, uświadamia dzieciom, że mają poczucie sprawstwa, że potrafią wymyślać i znajdować rozwiązania (czasami może nawet ciekawsze niż bohaterowie literaccy).

Innym sposobem na rozbudzanie zainteresowania opowiadaniem jest poproszenie młodych słuchaczy na wstępie o wnikliwe wsłuchiwanie się w słowa, wyrazy oraz zdania i wychwytywanie określonych wyrażeń czy fragmentów utworu. Przykładowo, w opowiadaniu będzie mowa o smoczym wyścigu – zadaniem dzieci będzie podnieść rękę, gdy usłyszą fragment mówiący o tym, kto może w wyścigu uczestniczyć. W innej historii Józek i Jagódka mają pewien talent – zadaniem dzieci będzie zareagować, gdy usłyszą, co bohaterowie potrafią robić. Takie aktywne słuchanie – czytanie pomaga dzieciom w skoncentrowaniu się na tekście. Można też poprosić dzieci o wyrażanie emocji w formie mimiki lub gestykulacji. Wystarczy od czasu do czasu przerywać czytanie i zachęcać dzieci do takiego bezsłownego komentowania. Wszystkie te propozycje są próbą zaktywizowania dzieci w trakcie opowieści. Czują się one wtedy nie tylko odbiorcami, lecz także współtwórcami historii. A poczucie tworzenia i wymyślania skłania do większego zaangażowania i w prostej drodze prowadzi do działania. Zróbmy wszystko, żeby teksty ożyły w dziecięcej świadomości i były pretekstem do stawiania konkretnych kroków.

Opowiadania są tylko pretekstem do snucia refleksji i zmieniania swojej najbliższej rzeczywistości. Jeśli nauczymy tego dzieci – jest duża szansa, że wyrosną na odpowiedzialnych ludzi, którzy chcą żyć w zrównoważonym świecie.

Małgorzata Swędrowska,
pedagożka, przyjaciółka dzieci i książek



Katarzyna Sadowska

O tym, jak Kąsaczek podzielił się z Gałęzią tym, co miał do jedzenia i jak postanowili pomagać innym

1 KONIEC
Z UBÓSTWEM



Kąsaczek to mały mieszkaniec szuflady należącej do „ludzkiego” taty. Jest tak drobnutkim stworzonkiem, że mieści się w skarpecie, która już dawno temu skurczyła się w praniu. Pewnie dlatego została całkiem zapomniana i wciśnięta w najciemniejszy kąt szuflady. Pomimo jej niewielkiego rozmiaru Kąsaczkowi było w niej ciepło, miłutko i czuł się tam swojsko. W komódce taty nie można było liczyć na zbyt wiele wygód. Brakowało satynowych pościeli i miękkich foteli wypoczynkowych. Czasem, gdy tata zasunął szufladę, robiło się w niej całkiem ciemno, a latarenka Kąsaczka nie dostarczała wystarczającej ilości światła. Może i przydałby się tam prawdziwy, kryształowy żyrandol? Bez względu na wyposażenie komody jedno trzeba przyznać, było w niej bezpiecznie.

Kąsaczek wychodził ze swojej kryjówki każdego poranka tuż po tym, jak tata założył skarpetki na bose stopy. Zazwyczaj wyjmował te z samego wierzchu, które wcześniej włożyła tam „ludzka” mama lub „ludzkie” dzieci – dwóch małych chłopców. Tacie najwygodniej było sięgać po skarpety z samego brzegu. Dzięki temu Kąsaczek mógł być spokojny. Doskonale wiedział, że tata nigdy nie zajrzy głębiej do szuflady. Skarpetek zawsze było dość dużo. Raz tylko zdarzyło się inaczej... Długo schły po praniu i nikt ich nie schował dzień wcześniej do komody taty. Było ich znacznie mniej i tata szukał głębiej. Wtedy Kąsaczek zląkł się, że domownicy odkryją jego obecność... Na szczęście „ludzka” mama zawołała tatę do kuchni, ponieważ ich synowie wołają, gdy tata przygotowuje im rano grzanki. Ich zdaniem mama robi za mało chrupiące. Tata od razu przestał szukać skarpetek i poszedł przyrządzać śniadanie. Tego dnia w ogóle nie założył skarpetek. Dobrze, że to nie była zima...

W sobotę Kąsaczek trochę marudził pod nosem i nieco się naburmuszył, bo wszyscy z rodziny postanowili cały dzień spędzić w domu i trudno było Kąsaczkowi wydostać się z szuflady, by nikt go nie zauważył. A przecież trzeba było zjeść śniadanie z okruszków po wieczornym lub porannym jedzeniu ciasteczek przez dzieci. Trzeba było także pociągnąć przez słomkę resztki herbatki z kubeczka z napisem „Super Brzdąc”. O tak... Kąsaczek umiał czytać, ponieważ gdy był jeszcze dzieckiem, w „Szkole dla Przedziwnych Stworzonek i Ludzi z Fantazją” nauczył się nie tylko czytać i pisać, ale nawet liczyć, grać w polo i jeździć na jednej rolce. Kąsaczek nie mógł dłużej usiedzieć w miejscu. Zdecydował się wyrzeć z szuflady.

– Uuu! Jest tam kto? – szepnął i rozejrzał się swoimi lśniącymi oczkami po sypialni rodziców.

– Uuu... Jest, jest! – odpowiedział nagle ktoś z głębi pokoju.

Kasaczek wzdrygnął się na samą myśl, że zostanie „odkryciem roku” dla dorosłych rodziców. Pomimo swoich obaw, nie dostrzegł żadnego człowieka. Stworzonko od dawna podejrzewało, że dzieci wiedzą o jego obecności, jednak dorosli to co innego...

– Uuu... Kto to powiedział? – zapytał cichutko.

– Ja...

– Czyli kto?

– Ja, Gałąź – usłyszał niepewną odpowiedź i zza skrzyni do przechowywania różnych różności wynurzyła się mała dłoń, by pokiwać nieśmiało.

– Kim jesteś i skąd tu się wzięłaś, Gałązko? – zapytał Kasaczek przyglądając się nieznajomej.

– Przybyłam z dalekich i smutnych krajów, w których nie mamy wygodnych szuflad i domów tak gościnnych, jak ten. W moich stronach brakuje nam nawet okruszków i kropelek czystej wody. Jestem taka głodna i zmęczona, a tu wydawało się być miło i przytulnie. Wpadłam przez komin, gdy ptak, na którego grzbiecie pokonałam długą drogę z ciepłych krajów, przelatował nad twoim dachem. Czy mogę z tobą zamieszkać? – odpowiedziała i spojrzała smutnym wzrokiem na Kasaczka.

– Tak, w mojej szufladzie jest miejsce dla nas dwojga. Moja „ludzka” rodzina to bardzo dobrzy ludzie. Zostawiają mi ciasteczka na talerzykach, częstują mnie wszystkim, co posiadają w swojej lodówce. Czasem nawet „ludzkie” dzieci, które jako jedyne są przekonane o mojej obecności, zapraszają mnie na obiad. Sądę, że będziesz tu bardzo szczęśliwa.

Gałązka zaczęła mieć nadzieję, że wszystko się ułoży, a jej szafirowe oczka aż zaświeciły się z radości. Klasnęła swoimi chudymi, długimi i bladymi jak gałązki brzozy rączkami, a pociągła twarzyczka od razu się rozpromieniła.

– Jem niewiele – przyznała Gałąź. – Marzy mi się kilka okruszków chleba i ziarenek ryżu lub słonecznika. Jeśli pozwolisz, zajmę tylko kawałek szuflady. Nie będę ci przeszkadzać chrapaniem. W stronach, z których przybyłam brakuje miękkich kółdek. Często spałam pośród kamieni lub zagrzebana w piasku drżąc ze strachu przed drapieżnikami, by wygłodniałe nie zjadły mnie przez przypadek.

– To bardzo przykre, co mówisz. A czy w stronach, z których pochodzisz, wszystkim jest tak źle, jak było tobie? – zainteresował się Kasaczek i spojrzał na nową przyjaciółkę ze współczuciem.

– Tak, ludziom brakuje wszystkiego, wody, pożywienia, a nawet mieszkania... Brakuje też lekarstw. Nie wiadomo, co robić, gdy ktoś zachoruje. Ciężko sobie nawet wyobrazić, jak dużo musieliby pracować, żeby żyć na takim poziomie jak twoja „ludzka” rodzina... Tam jest po prostu inaczej. Tam jest bardzo, bardzo inaczej – Gałąź zamyśliła się i westchnęła.

– Wiesz co, Gałązko – rzekł Kasaczek. – Może moglibyśmy trochę pomóc...

Kasaczek chwycił w dłonie kilka ziaren, które suszył na sznurku w szufladzie (tak na wszelki wypadek) i zaczął drapać się po głowie...

– Tak, tak – myślał głośno, wykrzywił buzię, drapał się i pisał coś w małym zeszycie, który zawsze miał przy sobie (również na wszelki wypadek).

– Będziemy gromadzić ziarno przez całe lato i jeśli każdej jesieni w ziarenka te zaopatrzymy podróżujące do ciepłych krajów ptaki, one przeniosą je w swoich piórkach w dalekie strony. Na miejscu ludzie rozsypią je na ziemi, potem podleje je deszcz i ziarno wykiełkuje! I kto wie, może z tych naszych zbiorów wyrośnie coś dobrego do jedzenia dla wszystkich potrzebujących. Co o tym sądzisz, Gałązko?

– Tak, tak! – ucieszyła się nowa mieszkanka szuflady. – Jeśli ziarno wykiełkuje, to zapewni pożywienie, które będzie można zjeść lub sprzedać. Może dzięki temu ludzie z moich okolic będą mniej głodni i zyskają też trochę pieniędzy...

I tak Gałąź zamieszkała w szufladzie swojego nowego przyjaciela – Kasaczka. Odtąd wspólnie zbierali okruszki, ziarna i nasionka. Bociany i dzikie gęsi zawsze przed odlotem do ciepłych krajów, przysiadły na balkonie domu, w którym mieszkali, by zabrać w swoich piórkach choć kilka nasion ze zbiorów. Ptaki także marzyły o tym, żeby wszędzie, dokąd tylko poniosą je skrzydła, wszędzie tam, dokąd popchnie je wiatr, wszystkim mieszkańcom żyło się dostatnie.





Karolina Komur

**1 KONIEC
Z UBÓSTWEM**



Antek, chłopiec o wielkim sercu

Dawno, dawno temu w małej wiosce, nieopodal jeziora mieszkał chłopiec o imieniu Antek. Jego rodzice dużo czasu spędzali w pracy, a chłopcem opiekowała się babcia. Antek nie miał rodzeństwa, z którym mógłby się bawić, więc jego ulubionym zajęciem było spacerowanie w pobliskim lesie.

Pewnego zimowego poranka chłopiec postanowił wybrać się do lasu wcześniej niż zazwyczaj. Był to wyjątkowo mglisty i mroźny dzień. Babcia jak zwykle w trosce o ukochanego wnuka wyjęła najcieplejsze ubrania i kazała założyć je Antkowi.

Chłopiec wędrował po lesie dłuższy czas. Zdążył nawet spotkać kolegę. Przyjaciele skakali po zaspach i rzucali się śnieżkami przez długi czas. Kiedy zaczęło robić się ciemno, postanowili wrócić do domu. W drodze powrotnej Antek szedł jak zwykle tę samą drogą. Nagle zauważył, że zza drzew wylania się postać. Był tak przerażony, że nie był w stanie się poruszyć. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Ze łzami w oczach zaczął wołać:

– Kto taaaam jest? Kim jesteś? – Na pytanie nikt nie odpowiedział. Postać zbliżała się do chłopca, a kiedy stanęła tuż przed nim, Antek powtórzył pytanie. – Kim jesteś? Odezwij się!

– Witaj – powiedziała cichym głosem dziewczynka. – Jestem Marta.

– Co ty tu robisz? Jest zimno. Wyglądasz na przemarzniętą. Ale mnie przestraszyłaś! – wydusił z siebie.

– Przepraszam, nie chciałam. Jest mi trochę zimno. Spaceruję już od kilku godzin...

– Jak to? Na pewno rodzice się o ciebie martwią! – zauważył chłopiec.

– Mnie wychowuje moja schorowana ciocia. – zaszlochała.

– Mój dom jest niedaleko. Może chciałabyś napić się ciepłej herbaty? Moja babcia na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Przecież ty mnie nie znasz. Nie boisz się? – zapytała.

– Czego miałbym się bać? Jesteś przemarznięta, powinnaś się ogrzać.

– No, no dobrze – odpowiedziała z zakłopotaniem dziewczynka.

W drodze do domu dzieci dużo rozmawiały. Antek zdążył dowiedzieć się, że dziewczynka mieszka w bardzo złych warunkach. Jej ciocia jest chora i nie może pracować. Utrzymują się jedynie z renty, którą dziewczynka otrzymuje co miesiąc po stracie rodziców.

Gdy dzieci dotarły do domu, Antek przedstawił babci swoją nową koleżankę. Kobieta od razu poczęstowała ich ciepłym obiadem i pyszną herbatką. Dziewczynka opowiedziała jej swoją historię.

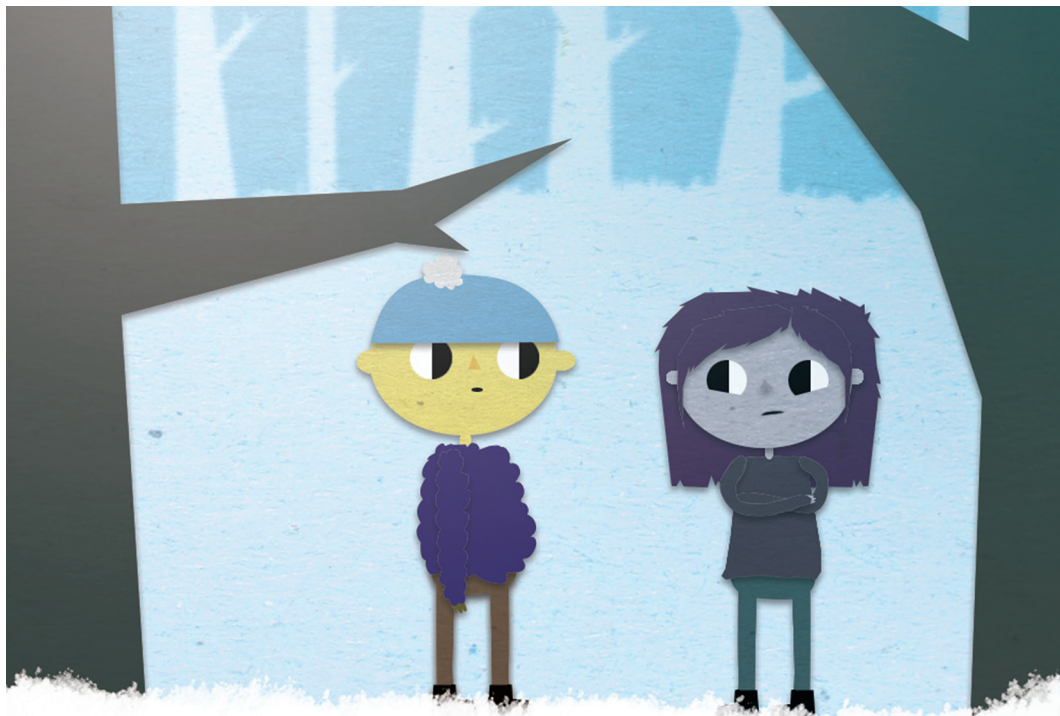
Dzieci spędziły całe popołudnie w domu Antka i doskonale się bawiły. Gdy nastał wieczór, Antek wraz z babcią postanowili odprowadzić koleżankę. Okazało się, że Marta mieszka całkiem niedaleko nich. Poznali też przemiłą ciocię dziewczynki. Dzieci tak bardzo się polubiły, że kolejnego dnia znów miały spotkać się na wspólną zabawę.

Od tej pory Marta i Antek spędzali ze sobą każdą wolną chwilę. Zbliżało się Boże Narodzenie. Antek i jego rodzina postanowili zaprosić Martę i jej ciocię do siebie na święta. Dziewczynka bardzo ucieszyła się z zaproszenia, ponieważ dotychczas spędzała święta tylko z ciocią. Zawsze były same i traktowały ten dzień, jak każdy inny.

Wszyscy razem spotkali się w domu Antka na uroczystej kolacji wigilijnej. Gdy na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka, Antek postanowił podarować Marcie prezent, część swoich zabawek. Natomiast rodzice i babcia chłopca dali cioci dziewczynki wiele pięknych rzeczy. Marta i jej ciocia były przeszczęśliwe, a rodzice Antka dumni z postawy syna. Nigdy nikt nie podarował im aż tak wiele. Jednym z prezentów był bon na rehabilitację dla cioci Marty. Święta minęły wszystkim w radosnym nastroju.

Ciocia Marty rozpoczęła leczenie. W niedługim czasie jej stan polepszył się i mogła rozpocząć pracę, co bardzo poprawiło ich sytuację. A to wszystko dzięki dobremu sercu Antka i jego rodziny.

Dzieci codziennie spotykały się i bawiły się razem. Ich przyjaźń była coraz silniejsza. Rodzice Antka wspierali Martę i jej ciocię, jak tylko mogli. Marta i Antek postanowili wspólnie pomagać innym. Zorganizowali zbiórkę rzeczy dla dzieci z biednych rodzin. Sami oddali też część swoich zabawek. Teraz już wiedzą, jak bardzo ważne jest niesienie pomocy innym ludziom.



Katarzyna Sadowska

2 ZERO
GŁODU



O marchewce, Szponie i Krzysiu

W jednej z szuflad w pokoju Krzysia mieszkał mały stworek, którego pewnego dnia bardzo rozbolał brzusek. Musiał mu naprawdę doskwierać, ponieważ zaczął płakać i narzekać. Krzyś, który nie spodziewał się, że ma w pokoju lokatora, nagle usłyszał ciche szlochanie.

– Oj, oj, oj! – pisał Szpon, schowany pomiędzy skarpetkami i przekręcał się niespokojnie z boku na bok. – Boli, boli! Jak bardzo boli!

Chłopiec podszedł na paluszkach do komody, chociaż nie był pewien, czy powinien do niej zaglądać. Do tej pory z szuflady nigdy nie wydobywały się żadne dźwięki, milczała jak zaklęta, a tym razem coś w niej lamentowało.

– Otworzę powolutku i delikatnie – pomyślał Krzyś i wysunął szufladę. Nie zobaczył nic nadzwyczajnego, tylko równo ułożone kolorowe rajstopki i skarpetki. Nikogo w środku nie dostrzegł.

– Oj, boli! Czy ktoś może mi pomóc? – zapiszczał mały Szpon, który naprawdę mocno cierpiał. Zdawało mu się, że w jego brzuszku chodzi stado mrówek a każda z nich, jakby chciała się przekonać, czy ciałko nadaje się do podgryzania.

– Kto potrzebuje pomocy? – zaniepokoił się Krzyś. Zawsze było mu żal tych, którzy cierpieli. Dobrze wiedział, jak to jest, kiedy coś naprawdę boli. Nie przepadał za tym uczuciem i nie życzył go nikomu.

– Ja! – pisnął Szpon i wynurzył się spod zielonej skarpetki z dziurą na pięcie.

– Ojej! A to kto? – zdziwił się chłopiec i przetarł oczy ze zdumienia.

– To ja, Szpon, pomóż mi Krzysiu! – zawył z bólu stworek i wskoczył na dłoń chłopca.

Krzyś stanął jak wryty i patrzył na małą istotkę, która kulila się i wila na jego dłoni.

– Co się stało, Szponie? – rzekł Krzyś, gdy już oswoił się z tą dziwną sytuacją.

– Boli, boli bardzo, tak bardzo, że nie wytrzymam... Oj, oj! – płakał Szpon.

– Co cię boli?

– Brzuszek!

– A może z głodu?

– Nie, zjadłem tę marchewkę, którą zostawiłeś po obiedzie na talerzu. Nie lubię głodu, wtedy też boli... Wiem to doskonale, ponieważ tam skąd pochodzę bardzo często brakuje pożywienia... Jednak tym razem na pewno nie boli mnie z głodu. Raczej boli, bo zjadłem marchewkę...

– Lubisz marchewki? – zdziwił się Krzyś. Na samą myśl wzbudziły w nim niesmak i skrzywił się.

– Tak, bardzo lubię, ale ta mi zaszkodziła. – płakał Szpon.

– Poczekaj chwilkę! – powiedział Krzyś i schował stworzonko do miękkiej kieszonki w bawełnianych spodniach, które choć trochę już podarte, wciąż wiernie służyły chłopcu podczas zabaw.

Krzyś zajrzał do pokoju mamy, która wciąż spokojnie spała. Wspaniale! Miał szansę zachować w tajemnicy obecność Szpona. Kto wie, czy mama nie uznałaby Szpona za jakiegoś insekta albo robaka. Oj, wtedy byłoby bardzo niedobrze... Mama śpi, można działać – pomyślał Krzyś i wyciągnął z kuchennej szuflady buteleczkę z kroplami na ból brzucha.

– Chodź, Szponie! – zwrócił się do małego przyjaciela chłopiec i delikatnie wyciągnął cierpiącego towarzysza z bawełnianej kieszonki, po czym położył go ostrożnie na kuchennym stole. – Zaraz ci pomogę – Krzyś uśmiechnął się do Szpona i wylał jedną kropelkę lekarstwa na talerzyk.

Mieszkaniec szuflady wyciągnął języczek i spijał lekarstwo przez dłuższy czas. Potem usiadł przy talerzyku i położył obie ręce na swój wydęty brzuszec. Jego palce wyglądały, jak małe szpony, ale nie wydawały się groźne. Z brzuszka stworka dochodziły rozmaite dźwięki. Strach pomyśleć, co tam się działo. Szpon siedział i wykrzykiwał buzię, lecz po kilku minutach na jego twarzy pojawiły się spokój i ulga.

– Dziękuję Krzysiu, już czuję poprawę – uśmiechnął się nieśmiało nowy przyjaciel chłopca. – Myślę, że ta marchewka była trochę nieświeża.

– Zawsze powtarzam, że marchewka, brokuły, kalafiory i buraki tylko szkodzą – ucieszył się Krzyś, że znalazł świetną wymówkę, by nadal odmawiać jedzenia wszystkich warzyw. – Wolę być głodny, niż jeść warzywa!

– Nie, nie! – zachnął się Szpon. – Tylko nie głodny, to jest okropne uczucie! Od miesięcy podjadam twoje warzywa i do tej pory nic mi nie było. Dopiero dziś coś mi zaszkodziło... To przypadek. Warzywa są bardzo zdrowe, a ja jem je przede wszystkim, ponieważ jestem wegetarianinem.

– E tam... – powiedział Krzyś.

Był jednak mądrym chłopcem, więc rozumiał, że gdyby tak naprawdę warzywa mogły szkodzić, to on także czułby się źle, ponieważ na śniadanie zjadł dwa zielone ogórki, które przecież bardzo lubił.

– Może masz rację – zwrócił się chłopiec do Szpona i rozejrzał się po kuchni. Na półce z workami przeznaczonymi do ponownego wykorzystania znajdował się worek z rysunkiem marchwi. Tej marchwi... Krzyś zobaczył na opakowaniu, że marchew kosztowała dużo mniej, niż tą, którą zostawił wczoraj na talerzu. Pochodziła też z innego sklepu. Wyglądało na to, że tajemnica zatrutej marchwi została częściowo rozwiązana.

– Mamo, mamo, obudź się! – zawołał głośno Krzyś i jak najszybciej schował Szpona do kieszeni.

– Co się stało, Krzysiu? – mama zerwała się na równe nogi.

– Mamo, marchew jest zatruta! – krzyknął Krzyś i spojrzał poważnie na mamę.

– Jak to? Marchew? Zatruta? Co ty mówisz? – zapytała zdziwiona mama – Przecież zawsze kupuję warzywa w... – mama zamyśliła się na chwilę.

– No właśnie, nasze warzywa mają zazwyczaj inne opakowanie – powiedział chłopiec i zaczął czytać to, co znalazł na opakowaniu zatrutej marchwi. – Marchew

z dobrych upraw... – przeczytał Krzyś i nagle przerwał, ponieważ jego uwagę zwrócił napis nadrukowany małymi, niemal niewidocznymi dla ludzkiego oka literami. – Przy autostradzie... – dokończył.

Chłopiec klasnął w dłonie i podskoczył z radości. Był szczęśliwy, że odkrył sekret zatrutej marchwi. Szpon w jego kieszonce także klasnął i podskoczył, bo takie stworki często naśladują swoich przyjaciół. Tak się ucieszył, że wyskoczył na chwilę ponad górną krawędź kieszeni. Na szczęście mama go nie zauważyła.

– Mamo! – rzekł poważnie Krzyś. – Przecież po autostradzie przemieszcza się mnóstwo aut, a auta napędzane są paliwem, a paliwo może zawierać metale ciężkie. Tak mówił mi pan ekolog, który odwiedził nas ostatnio w przedszkolu.

– Tak? – spojrzała na Krzysia mama.

– Więc ta marchew, która rosła w pobliżu autostrady również może zawierać metale ciężkie... Jest jakby nimi zatruta.

– Chyba masz rację, Krzysiu – powiedziała mama – nie wolno uprawiać roślin, warzyw i hodować zwierząt w pobliżu autostrad.

– Tak, tak – powiedział przekonany o swej racji chłopiec.

– Kupiłam tę marchew w innym sklepie. Nie miałam czasu wejść do naszego, ale teraz mam nauczkę – powiedziała mama.

– Tak, od tej pory, droga mamo będę chodził z tobą na zakupy i czytał, co dokładnie jest napisane na opakowaniach o uprawie warzyw i owoców.

Jak Krzyś zapowiedział, tak też się stało. Chłopiec wziął przykład ze swojego nowego przyjaciela, małego stworka i z chęcią zaczął jeść marchew i inne warzywa. Kiedy je kupował zwracał uwagę na to, czy były uprawiane we właściwych warunkach. Gdy wraz ze Szponem przemycali marchew do swojego pokoju, mama cieszyła się, że Krzyś wyrośnie na zdrowego młodzieńca.





Katarzyna Sadowska

**3 DOBRE ZDROWIE
I JAKOŚĆ ŻYCIA**



O mądrej mamie i jej synku Tomku

– Mamo, czy jest coś złego w tym, że czasem, kiedy pomyślę o tym, że nie mam tak ładnych zabawek jak Jaś, jest mi bardzo przykro? – zapytał Tomek.

Kobieta bardzo kochała swojego syna. Chciała, żeby miał jak najpiękniejsze zabawki. Jednak niestety nie miała tylu pieniędzy, co mama Jasia.

– Nie, to całkiem normalne uczucie, Tomku – szepnęła mama do uszka syna i pocałowała go czule w czoło.

– Dlaczego my mamy mniej pieniędzy, niż mama Jasia i Jaś? – chłopczyk koniecznie chciał poznać odpowiedź na to pytanie.

Zupełnie nie rozumiał, jak to jest możliwe, że jego mama, która przecież chodzi codziennie do pracy, zarabia znacznie mniej niż mama Jasia. Tomek często widział mamę dość zmęczoną. Zauważył też, że wyglądała trochę inaczej, niż mama jego kolegi z przedszkola. Była bledsza, nie miała tak świeżących ubrań i pierścionków. Buty, które nosiła już zbyt długo, oddawała do szewca, pomimo że wraz z Tomkiem i jego tatą ustalili, że potrzebne były jej nowe. Odpowiadała wtedy, że kupi je dopiero podczas wyprzedaży.

– Kochany synku, tak bywa, że niektórym płaci się więcej, a innym nieco mniej. Nie oznacza to jednak, że ci, którzy zarabiają mniej, wykonują gorszą pracę.

– To niesprawiedliwe! – krzyknął chłopiec. – Przecież ty pracujesz tak samo dobrze, jak mama Jasia albo nawet lepiej, albo najlepiej ze wszystkich dorosłych! Jesteś najlepsza na świecie! Powinnaś zarabiać sto milionów, powinnaś mieć nieskończoność pieniędzy!

– Ciekawe, co zrobilibyśmy z taką sumą pieniędzy? Czy starczyłoby nam wtedy czasu na robienie czegoś więcej, niż tylko wydawanie pieniędzy i ich liczenie? – roześmiała się mama. Było jej miło, że syn uważa ją za najlepszą na całym świecie.

– A tata? – zainteresował się chłopiec.

– Masz rację, może tata chciałby więcej pieniędzy. – powiedziała mama i spojrzała z czułością na swojego syna.

– To gdzie teraz jest nasz tata? – zapytał Tomek.

– Tata teraz pracuje, przecież wiesz, że musi czasem pracować w nocy.

– No tak, szkoda... – zasmucił się chłopiec. – Dobrze, że ty nie musisz pracować w nocy – dodał po chwili.

Mama opowiedziała Tomkowi bajkę na dobranoc o tacie, kierowcy nocnego autobusu, który pewnego razu spotkał po drodze czarodziejskie świetliki. Od tamtej pory pomagają mu bezpiecznie jeździć i przewozić ludzi. Gdy chłopczyk usnął, mama przykryła go kołderką i zgasiła światło.

– Czas do pracy – rzekła sama do siebie.

Podeszła do stosu koszul, które musiała wyprasować i dostarczyć kolejnego dnia

do pobliskiej pralni. W ten sposób sobie dorabiała, ale w tajemnicy przed synkiem. Nie chciała, żeby jeszcze bardziej się o nią martwił. Na co dzień pracowała w sklepie, ale ostatnio nie było tam dużego ruchu i dlatego potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Rodzinie nie wiodło się zbyt dobrze. Tomek często chorował. Od momentu, gdy się urodził, jego rodzice oszczędzali pieniądze, żeby starczyło im na lekarstwa, potrzebne Tomkowi do prawidłowego funkcjonowania. Chłopiec przyjmował je codziennie.

Tomek od urodzenia miał duże problemy z serduszkim. Przeszedł kilka operacji, które również były dość kosztowne. Mama i tata pomagali finansowo babci chłopca. Starsza kobieta nie miała zbyt wiele oszczędności, a potrzebowała ich dużo, by opłacić lekarstwa, które musiała zażywać.

Podczas prasowania mama rozmyślała nad tym, że gdy uzbiera jeszcze trochę pieniędzy, kupi Tomkowi na urodziny jego wymarzoną zabawkę. Kiedy wyobraziła sobie radość chłopca, to pomimo ogromnego zmęczenia poczuła się bardzo szczęśliwa. Potem prasowała bawelnianą koszulę, która nie chciała dać się porządnie wyprasować...

– Jakby tak zjawiała się wróżka, która mogłaby sprawić, by koszula mniej się gniotła... – zażartowała mama i uśmiechała się do swoich myśli.

Pomysł ze spotkaniem z wróżką, która spełnia marzenia bardzo się jej spodobał i całkiem puściła wodze fantazji... Najpierw wyobrażała sobie, że wchodzi do apteki, w której lekarstwa dla synka są o połowę tańsze. Potem, że wchodzi do sklepu ze zdrową żywnością, a tam w promocji dostępne są orkiszowy chlebek i ekologiczne jabłka! Jakże byłoby wtedy wspaniale!

Gdyby dobra wróżka pomagała wszystkim ludziom na świecie i zechciałaby także wysłuchać prośb mamy, to w pierwszej kolejności poprosiłaby ją o zdrowie dla Tomka. Jeśli wróżka byłaby tak miła i mogłaby spełnić więcej, niż jedno życzenie, to mama uśmiechnęłaby się również o zdrowie dla babci Tomka. A pieniądze? Posiadanie więcej pieniędzy? Być może to również mogłaby podarować wróżka. Jednak mama wolałaby, by wróżka wyczarowała sprawiedliwe wynagrodzenia dla wszystkich ludzi na świecie, zamiast pieniędzy z zaczarowanej szkatułki...



Kinga Kuszak

3 DOBRE ZDROWIE
I JAKOŚĆ ŻYCIA



O mądrej staruszce i jej magicznym świecie

Za górami, za lasami, na samym środku wielkiego morza znajdował się ogromny ląd, a na nim wspaniałe, nowoczesne miasto. Większe i bardziej zachwycające, niż wszystkie miasta, które znacie. Domy były tak wysokie, że ich wierzchołki ukrywały się w chmurach, a z ziemi nie można było dostrzec najwyższych pięt.

Kiedy mieszkańcy wyspy wyglądali przez niewielkie okienka swoich domów, odnosili wrażenie, jakby lecieli samolotem wśród mleczno-białych, różowych i złocistych chmur. Żeby dostać się do mieszkań znajdujących się na najwyższych piętrach budynku, musieli korzystać z wind, które przypominały małe, kiluosobowe samoloty. Każdy lokator, ten duży i ten mały miał własny pojazd, którym dojeżdżał do pracy, szkoły, przedszkola czy sklepu.

Nie było osoby, która nie miałaby swojego przyjaciela – robota. Każdy robot sprzątał, gotował, robił zakupy, prał i prasował. Byłeś głodny? Nic prostszego! Wystarczyło tylko wybrać, na co masz ochotę, a za momentem pyszną potrawę stawiano przed tobą na stole. Należało otworzyć usta, a robot już czekał z widelcem lub łyżką, by nakarmić swojego właściciela. Po jedzeniu zmywał naczynia. Porządnie umyte i wysuszone, wkładał do szafek. Wieczorem przygotowywał ciepłą kąpiel z pachnącą pianą. A przed snem czytał książki, bajki dzieciom, a powieści dorosłym.

W takiej atmosferze toczyło się życie mieszkańców nowoczesnego miasta. Ludzie żyli bardzo wygodnie a wszystko, czego zapragnęli, wykonywały za nich roboty, specjalne maszyny i inne nowoczesne udogodnienia. Właściwie nie musieli robić nic. Projektanci i inżynierowie wymyślali i budowali coraz bardziej innowacyjne urządzenia, które miały stale ułatwiać życie mieszkańcom wyspy.

Wystarczyło już tylko o coś pomyśleć, a to działo się samo... Chcesz włączyć telewizor, ten sam się uruchamia. Masz ochotę odwiedzić przyjaciół, nic prostszego, twój osobisty pojazd błyskawicznie przewozi cię tam, dokąd tylko zechcesz. Marzysz o kąpiel, już wanna napelnia się wodą. Masz ochotę na kubek gorącego kakao? Chwila i ciepły napój stoi przed tobą i zachęca do skosztowania go. Eh! Cudowne takie życie, prawda?

Niby idealnie, a mieszkańcy jacyś tacy smutni, posępni, bladzi, przygarbieni i ponurzy... Już dawno nikt tu nie słyszał śmiechu dzieci. Przed wysokimi domami jest... pusto. Przed wysokimi domami... cicho. Nikt nie jeździ na rowerze, nie wspina się po drabinkach. Puste huštawki porusza

wiatr i tylko od czasu do czasu słyhać ich smutne skrzypienie. Pusto jest nawet w piaskownicy. Nikt nie robi babek z piasku. Nikt nie buduje zamków ani piaskowych tuneli. Zimą nikt nie rzuca śnieżkami ani nie lepi bałwana.

Po co w ogóle coś robić? Wystarczy przecież pomyśleć, że chce się zrobić babkę z piasku, a wspaniała piaskowa babka już pojawia się przed dzieckiem. „Chcę bałwana!”, a wielki śniegowy bałwan z nosem z marchewki i oczami z guzików już stoi przed domem! Właśnie z tego powodu dzieci nie lepią babek, nie kręcą się na karuzeli, nie jeżdżą na rolnach, a nawet nie biegają po podwórku.

Co w takim razie robią? – zapytacie. Jak to co? Nie wiecie? Siedzą na kanapach, w fotelach, na miękkich krzesłach i trzymają w dłoniach nowoczesne tablety, laptopy, smartfony i jeszcze bardziej wymyśłe urządzenia, którymi sterują tylko myślami. Całymi dniami wpatrują się w trójwymiarowe ekrany i z wypiekami na twarzy odbywają wirtualne przygody.

Coraz więcej z dzieci skarży się, że im smutno, że głowa boli i ręce, i nogi, i brzuch, i w ogóle... Boli cały człowiek! I tak im jakoś źle... I wcale nie jest zabawnie! Ani interesująco! Właściwie to się nudzą... Potwornie się nudzą!

Jednak dorośli nie słyszą tych dziecięcych skarg, bo są zajęci wymyślaniem coraz bardziej nowoczesnych urządzeń, które ułatwią im życie. Jedynie pewna staruszka, która mieszka z dala od wielkich domów, czasem wspomina swoje dzieciństwo, które było pełne różnych zabaw. W chowanego, ciuciubabkę i zbijaka. I właśnie ta staruszka prowadziła swój mały pojazd koło wysokiego domu. Przejechałaby obok tak, jak robiła to codziennie, gdyby jej uwagi nie zwróciły dziwne dźwięki, dochodzące z mieszkania, znajdującego się tuż przy ulicy. Odgłosy przypominały płacz dziecka. Staruszka zatrzymała swój pojazd i zajrzała przez okno. Na ogromnej, miękkiej kanapie siedział mały chłopiec. Właściwie nie siedział, tylko leżał, zanurzony wśród wielkich poduszek, z których wystawał jedynie czubek jego jasnej czupryny. Chłopiec trzymał w rękach najnowszy model smartfona. Łzy spływały mu po policzkach. Rozmawiał z kimś, kto był bardzo daleko.

– Mamusiu, źle się czuję – chlpał chłopiec. – Mamusiu, tak bardzo boli mnie głowa! Mamusiu, przyjedź do mnie, proszę.

– Nie mogę synku, poproś robota, niech ci zrobi gorącą czekoladę. Od razu poczujesz się lepiej. Przyjadę do ciebie tak szybko, jak tylko będę mogła. Teraz pracuję, nie mogę.

Jednak chłopiec nie chciał czekolady, nie chciał też ciastek ani cukierków. Nie miał ochoty na pizzę i kanapki. Nie chciał być sam. Chciał... Tak naprawdę sam nie wiedział, czego chciał. Może coś porobić, tylko nie wiedział jeszcze co.

Biedne dziecko, pomyślała staruszka. Trzeba mu pomóc. Delikatnie zastukała w szybę. Chłopiec odwrócił się. Spojrzał w stronę okna, ale nie zareagował. Staruszka pomachała do niego i pokazała gestem, żeby otworzył okno. Dopiero teraz przez łzy dostrzegł, że za oknem ktoś stoi i prosi, żeby go wpuścić. Podszedł więc i uchylił okno. Starsza pani sprawnie wspięła się na parapet i wsunęła się do pokoju.

– Kim jesteś? – zainteresował się chłopiec.

– Mam na imię Zosia, mieszkam daleko stąd, w niezwykłym miejscu za miastem. Jeśli chcesz możesz mnie odwiedzić.

– Ja jestem Olek – grzecznie przedstawił się malec. – Czy mogę teraz z tobą pojechać? Nudzę się, a nikogo nie ma w domu. Nawet nie mam z kim porozmawiać. Chciałbym coś porobić, ale zupełnie nie wiem co.

– W tej chwili nie mogę cię ze sobą zabrać. Poproś mamę. Jak się zgodzi, jutro po ciebie przyjadę.

– Obiecujesz? – zaniepokoił się chłopiec.

– Obiecuję. Przyjadę wcześniej rano, żeby porozmawiać z twoją mamą. Jeżeli wyrazi zgodę, zabiorę cię do mojego świata.

– Do twojego świata? – Olek ze zdziwieniem spojrzał na staruszkę.

– Tak. Jeśli będziesz chciał, pokażę ci mój świat.

– No pewnie! – zawołał z ożywieniem. – Ale nie zapomnisz jutro przyjechać?

– Nie zapomnę – obiecała staruszka.

Następnego dnia, wcześniej rano staruszka zjawiała się w swoim małym pojeździe przed wielkim domem. Porozmawiała z mamą Olka, a mama oznajmiła:

– Olku, to jest pani Zosia. Zajmie się tobą, kiedy będę w pracy. Muszę już pędzić! – Mama w pośpiechu posłała Olkowi całusa i już siedziała w pojeździe, który miał zawieźć ją do pracy.

– Jesteś gotowy na podróż do mojego świata? – zapytała pani Zosia i uśmiechnęła się tajemniczo.

– No pewnie! – z błyskiem w oczach zawołał Olek.

– To ruszamy!

Zosia i Olek wsiedli do małego pojazdu i po chwili starsza pani ruszyła z piskiem kół. Kilka minut później byli już daleko od mieszkania chłopca, wielkich domów i olbrzymiego miasta. Droga wiała się między łąkami, których chłopiec nigdy wcześniej nie widział. Mijali pachnące zbożem pola, a Olek przecierał ze zdumienia oczy. W pewnym momencie zatrzymali się przed wysokim drewnianym płotem. Staruszka zatrąbiła i otworzyła się brama, a mały pojazd wjechał do środka. Znaleźli się w ogrodzie otaczającym niewielką drewnianą chatę. Przed domem stało, a może rosło coś dziwnego... Ogromne drzewo. Tak wielkiego i rozłożystego drzewa chłopiec nigdy wcześniej nie widział. Drzewo było oplecione linami. Zwisły z niego dziwne sznurki i coś, co przypominało huśtawki. Na jego wierzchołku znajdował się drewniany domek.

– Co to jest? – zainteresował się Olek, który nigdy wcześniej nie widział ani tak ogromnego drzewa, ani prawdziwego domku na drzewie.

– To mój świat – uśmiechnęła się starsza pani. – Chodź za mną! – powiedziała i sięgnęła jedną ręką za koniec liny, a drugą przytrzymała się pnia wielkiego drzewa. Po chwili siedziała już na grubej gałęzi nad głową zdziwionego Olka.

– Śmiało – zachęciła. – Zrób to, co ja. Nic ci się nie stanie!

Olek ostrożnie chwycił za sznurek i próbował się wspiąć. Wychodziło mu to dość niezgrabnie. Jak się okazało, nie było to takie łatwe. Jego ciało stawiało opór, nie było przyzwyczajone do pokonywania tego rodzaju przeszkód.

Złapał jednak ręką gałąź, zebrał całą swoją siłę i po chwili siedział obok staruszki.

– Wspinamy się wyżej? – zapytała Zosia i nie czekając na chłopca, złapała linę i sprawnie wspięła się na kolejną gałąź, a potem na jeszcze wyższą. Chłopiec powoli wspinał się za nią, wciąż posapując i pojękując: „Uff!”, „Oh!”, „Ooooo!”, „Ech!”.

Nigdy wcześniej nie wykonywał takich akrobacji. Na szczęście gałęzie były tak przycięte, że tworzyły pewnego rodzaju stopnie. Wystarczyło tylko mocno się trzymać, stawiać odpowiednio stopy i jednocześnie podciągać się na rękach. Po chwili chłopiec opanował technikę wspinania i dotarł do drewnianego domku wśród najwyższych gałęzi. Był bardzo zmęczony. Spojrzał w dół. Nie do wiary! Sam wspiął się na wierzchołek ogromnego drzewa! Do tej pory takie wyczyny oglądał jedynie przed ekranem komputera. Nigdy nie pomyślał, że sam mógłby się wspinać. Ani on, ani żaden z jego kolegów nigdy czegoś takiego nie robili.

– Niesamowite! – zawołał. – Jestem superbohaterem! Poczuł, że ogarnia go uczucie, jakiego do tej pory nie znał. Zupełnie inne, niż wtedy, gdy na swoim komputerze walczy z groźnym siedmiogłowym smokiem. Teraz był z siebie dumny!

– Jesteś superbohaterem – potwierdziła Zosia. – Witaj w moim magicznym świecie, superbohaterze! – Starsza pani uśmiechnęła się.

Olek spojrzał na nią. Wcale nie wyglądała na staruszkę. Poruszała się zgrabnie wśród gałęzi, jej ruchy były zwinne i płynne.

– Jesteś zdziwiony, że starsza pani tak sprawnie się wspina? – zapytała Zosia z uśmiechem. – To magiczne drzewo sprawia, że w każdym, kto mnie odwiedzi, zachodzi pewna przemiana, a jego świat nie jest już taki, jakim był wcześniej. Chodź, pokażę ci, jakie skarby znajdują się w domku.

Staruszka pokazała chłopcu swoje niezwykle zbiory, w tym gry, jakich do tej pory nie widział. Jedna z nich nazywała się „Bierki”. Z rozsypanych kolorowych patyczków trzeba było podnieść kolejno każdy z nich w taki sposób, żeby nie poruszyć pozostałych. Olkowi początkowo nie wychodziła gra, ale Zosia szepnęła mu do uszka kilka wskazówek. Potem jego drobne palce sprawnie zaczęły podnosić patyczki. Raz nawet wygrał. O, jakże się ucieszył! Później starsza pani pokazała mu huśtawkę, zawieszoną wśród gałęzi i Olek po raz pierwszy szybował wysoko, a wiatr rozwiewał jego jasną czuprynę.

– Jestem jaskółką! – wołał z góry do pani Zosi, a ona tylko uśmiechała się do niego. W jej oczach tańczyły wesołe ogniki.

Pokazała chłopcu też równoważnię, po której przeszedł na inne, równie niesamowite drzewo. Bawił się też na drabinie wykonanej z grubego sznurka, po której mógł bezpiecznie zejść z drzewa. I nagle zrobiło się późno. Trzeba było wracać do domu. Przed domem czekała już mama.

– Czy mogę tu jeszcze kiedyś przyjechać? – zapytał Olek z nadzieją w głosie.

– Oczywiście. Zawsze, gdy tylko będziesz miał ochotę. Wtedy zadzwoni do mnie, zabiorę cię do mojego świata. Zaproś też swoich kolegów. Możecie bawić się razem.

– Fantastycznie! Jutro przyjedziemy!

I tak, dzięki mądrej staruszce, dzieci z nowoczesnego miasta odkryły uroki zabawy na świeżym powietrzu i przekonały się, że o wiele ciekawiej jest wspiąć się na wierzchołek magicznego drzewa, niż pokonać wirtualnego smoka w smartfonie. Dzięki wyobraźni, wysokie drzewo może stać się wysoką wieżą, innym razem – niezdobytą dotąd górą, a jeszcze innym – pojazdem kosmicznym. Dzieci nauczyły się czerpać radość z aktywności fizycznej, a rodzice nie słyszeli już skarg na nudę, złe samopoczucie i że tak ogólnie wszystko jest źle i nie tak.





Katarzyna Sadowska

4 DOBRA JAKOŚĆ
EDUKACJI



O tym, jak się można czegoś nauczyć

– Czego tej nocy się nauczyłeś? – zapytało pewnego poranka Słońce znikającego powoli z nieba Księżyc. Po czym przeciągnęło się i ziewnęło.

– Przyglądałem się dziś zwyczajom ptaków nocnych. Nawet nie przypuszczałem, że sowy tak świetnie polują – odrzekł Księżyc.

– Nie, nie, nie o to pytałem... – powiedziało Słońce. – Chciałem dowiedzieć się, czego się nauczyłeś, a nie co obserwowałeś – Słońce spojrzało na Księżyc w taki sposób, że ten zawstydził się nieco.

– No, nie wiem... Patrzyłem też na wiatr, który hulał po polu i suszył zboże po wieczornej ulewie. Położone na roli, mokre łany unosiły się w górę i w dół, falowały i szumiały w rytm wiatru, aż wreszcie całkowicie się podniosły. Zatem nauczyłem się, że wiatr, choć czasem zrywa dachy z domów i powoduje sztorm na morzu, potrafi być też bardzo pożyteczny – trochę niepewnie odpowiedział Księżyc.

– Czyli niczego się nie nauczyłeś! – roześmiało się Słońce. – Tylko ja się uczę. Dzieje się tak dzięki temu, że codziennie zaglądam do tysięcy szkolnych okien. Ostatnio, w jednej ze szkół, moje promienie oglądano przez pryzmat. Czekaj, czekaj... Jaka to była lekcja? O, już wiem! To była lekcja fizyki!

– Tak? Ale ci zazdroszczę. – zmartwił się Księżyc. – Ja kiedy zaglądam do szkół, widzę wyłącznie mrok... Pogaszone światła, ciemne sale, wyłączone komputery... Nikt się nie uczy w nocy, bo wszyscy śpią. Co mam zrobić?

– Nic – uśmiechnęło się Słońce z poczuciem wyższości. – Zostaniesz już zawsze nieukiem i tyle! – po czym z triumfem odeszło, by za chwilę jak zawsze zajrzeć do wielu szkolnych okien.

Księżyc nie mógł tego dnia zasnąć. Przekręcał się z boku na bok, wiercił się na swojej puchowej kolderce, wydzierganej przez gwiazdki z lekkich chmur. Miał poczucie, że jest bardzo mało inteligentny i marny w porównaniu ze Słońcem. Ach, to Słońce... Ma dużo lepiej. Gdy wschodzi, robi się jasno, ma więc prawie dwanaście godzin na wędrówkę po jasnym świecie. Ma tyle czasu, by zajrzeć do szkół i uniwersytetów... Księżyc rozmyślał i rozmyślał. Jego myśli krążyły wokół nocnych zwierząt. Zaobserwował, że każde z nich inaczej porusza się po lesie, jeszcze inaczej wokół ludzkich osad, zarówno tych nad morzem, skromnych rybackich, w których dziadkowie i babcie śpiewają wnukom kołysanki, jak również w tych miejskich, które mienia się tysiącami ulicznych świateł. Księżyc zastanawiał się nad tym, jak ciemno musi być wysoko w górach, a przecież pozornie ich wierzchołki sięgają nieba.

Zastanawiał się nad tym, ile już wieków wędruje po ciemnym niebie, ile nocnych

bitew obserwował od początku ludzkości, ile sal balowych rozświetlonych sztucznym światłem oglądał w sylwestrowe noce, ilu ludziom oświecał ścieżkę, gdy zgasła im latarka lub świeczka. Księżyc doskonale wiedział, w których regionach świata ludzie czują się bezpieczni. Właśnie tam potrafią spokojnie przespać całą noc. Wiedział też, w których zakątkach Ziemi ludzie drżą z powodu swoich niepokojów, gdy kładą się spać. Mają obawy, czy w ciemnościach nie wydarzy się nic złego. Księżyc był doskonałym obserwatorem. Potrafił przewidzieć, do którego okienka ma zajrzeć i pomóc, gdyby dziecko wystraszyło się ciemności. Tak, tak... Księżyc był dobrym towarzyszem, wspaniałym słuchaczem nocnych zwierzeń oraz rozumnym pomocnikiem rozbitków i zagubionych... Był cudowny, ale nie wiedział, czym jest pryzmat i fizyka. To go martwiło, ponieważ takich tajemniczych słów i przedmiotów używano w szkołach, do których Księżyc nie miał dostępu.

Gdy Księżyc po nieprzespanym dniu spotkał się ze Słońcem, ono sprawiało wrażenie już nieco mniej pewnego swojej wiedzy. Nie patrzyło już w oczy Księżca z wyższością, tak jak czyniło to poprzedniego dnia. Nie zaczepiało już swojego zmiennika, tylko starało się szybko czmychnąć, jakby w obawie przed rozmową. Księżyc spojrzał na Słońce i tym razem to on zaczął konwersację.

– Witaj zmienniku, czy i tym razem byłeś w szkołach? Nauczyłeś się czegoś?

– Tak, tak, ale jestem zmęczone i zamierzam już położyć się do snu, więc wybac, nie porozmawiamy zbyt długo – odrzekło Słońce i odwróciło się plecami do swego rozmówcy. Księżyc pomyślał, że to trochę niegrzeczne zachowanie. Zauważył, że Słońce oprócz tego, że było zmieszane, to także zmartwione. Postanowił dowiedzieć się, co je tak zasmuciło. Może mógłby je jakoś pocieszyć.

– Ale czy dobrze się czujesz? Dostrzegam przecież, że coś cię trapi?

– A, może trochę... Wiesz, ten pryzmat, to szklane urządzenie z fizyki, do którego zaglądały moje promienie... Więc ten pryzmat tak mi się spodobał, tak bardzo się sobie podobałem, gdy odbijały się w nim moje promienie... I wiesz... Świeciłem i świeciłem w to szkło i nie chciałem powędrować gdzieś indziej...

– I co? Nauczyłeś się czegoś nowego, drogie Słońce? – zaciekał się Księżyc. Miał nadzieję, że Słońce nauczyło się przy tej okazji czegoś wspaniałego, czegoś nowego.

– No, wiesz... Świeciłem tak uparcie, że moje promienie przez ten pryzmat trafiły na szkolne, drewniane ławki, a na tych ławkach leżały papierowe zeszyty i książki i...

– Słońce zrobiło się już całkiem purpurowe i coraz bardziej chowało się ze wstydu na horyzoncie. – I... spowodowałem katastrofę. Wybuchł straszny pożar – i Słońce rozplakało się z żalu.

– Nie martw się! – poklepał Księżyc Słońce po rozedrganym ramieniu. – Każdemu może się zdarzyć taki wypadek. – Księżyc widział w swoim życiu niejednego pożar. Czasem był spowodowany przez leśne ogniska, pozostawione na noc bez nadzoru, czasem od czegoś, co ludzie nazywali kuchenką gazową, czasem od wspaniałego wynalazku, jakim ludzie nazywali elektrykę, a czasem od tego, że dzieci bez nadzoru rodziców bawiły się zapalkami... Przyczyną pożaru bywało naprawdę bardzo wiele.

– Cała szkoła spłonęła! Nie ma już jej. Na szczęście wszyscy uczniowie, nauczyciele i pozostali pracownicy zdążyli w porę uciec – lkało Słońce.

Księżyc przytulił czule swojego zmiennika, raz jeszcze poklepał Słońce ze współczuciem po ramieniu i powędrował oświecać świat, pogrążony w nocnych

ciemnościach. Gdy tak się snuł, rozmyślał o tym, jak to możliwe, że Słońce, które tak często uczestniczyło w lekcjach, nie nauczyło się, że nie może świecić bezpośrednio na szklany przedmiot, bo spowoduje pożar.

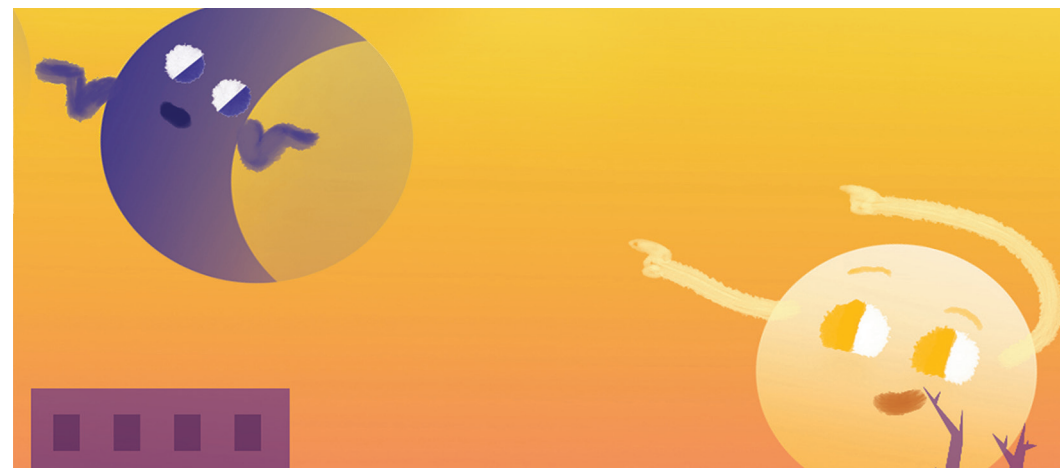
Być może Słońce opuściło jedną z najważniejszych lekcji? Być może nie słuchało uważnie nauczyciela? A może po prostu zamiast otworzyć nieco umysł na naukę, myślało tylko o tym, jak pięknie wygląda jego obicie w pryzmacie...

Księżyc zastanawiał się nad pewną poważną niesprawiedliwością. Uważał, że w szkołach można się wiele nauczyć, ale wiedział przecież, że nie każdy na świecie ma możliwość chodzenia do szkoły. Czasem w niektórych osadach nie ma szkół, a ludzie zmuszani są do pracy. Nawet dzieci mają bardzo utrudniony dostęp do nauki. Dziwiło go, że ludzie na swoją edukację w szkole poświęcają zaledwie kilkanaście lat. Niemożliwe, by nauka miała się kończyć po kilkunastu latach... Oj, tak, Księżyc, który żył od wieków, coś o tym wiedział. Dumał więc nad tym, że choć o nauce można słuchać i uczyć się o niej w szkole, to wiele można dowiedzieć się na jej temat również poza szkołą. Trzeba obserwować świat, doświadczać jego przeróżnych zjawisk, można poznawać naukę także w kontakcie z innymi i z przyrodą, również w trakcie pracy.

Oznaczałoby to, że człowiek uczy się całe życie. Księżyc wiedział, że aby osiągnąć wiedzę, nie wystarczy tylko odwiedzać szkołę, lecz należy mieć otwarty umysł na wszystko, w co szkoła może nas wyposażyć. Po wnikliwych rozważaniach, doszedł do wniosku, że szkoła to dopiero początek, ponieważ świat ustawicznie się zmienia. Każdego dnia i każdej nocy można i należy zdobywać nowe umiejętności, otwierać umysł na nową dawkę wiedzy.

– Tak, tak, tego wszystkiego nauczyłem się na przykładzie Słońca – rzekł Księżyc i zajrzał do kilku okien, w których nie zgaszono jeszcze światła.

Chciał dowiedzieć się, co robią ludzie, gdy nie mogą zasnąć. Potem zerknął też do kilku okien, w których światło zgasło, by sprawdzić, czy nie pomóc komuś, kto może zagubił się w ciemności. Następnie obejrzał uważnie górskie szlaki oraz morskie głębiny. Chciał się dowiedzieć, czy jakiś rozbitek nie potrzebuje nieco światła. Księżyc wędrował tak i wędrował aż do rana. I tej nocy ponownie nauczył się wielu nowych rzeczy i zdobył kolejne nowe umiejętności. A wszystko dzięki ciekawości świata, chęci poznawania, zgłębiania wiedzy i otwartego umysłu.





Kinga Kuszak

5 RÓWNOŚĆ
PŁCI



Supermyszka

W garażu pewnego domu z czerwonym dachem, za starą miotłą, w ukrytej norce mieszkała mysia rodzina. Zapewne już kiedyś widzieliście ten dom. Możliwe, że mijaliście go podczas spaceru z mamą lub tatą. Nie wiecie jednak, że w tym właśnie domu, w garażu, w mysiej norce ukrytej za starą miotłą, mieszkała mysia mama, mysi tata i cztery mysięta: trzech mysich chłopców i jedna mysia dziewczynka.

Chłopcy rośli szybko, byli sprawni i zwinni. Ciągłe czuli głód i domagali się jedzenia. Dziewczynka jadła mało, bo szkoda jej było czasu na tak przyziemną czynność, jaką jest jedzenie. Była więc drobna, krucha, delikatna, mała szara myszka. Kiedy jej bracia ścigali się, który szybciej wdrapie się na najwyższej zawieszonych półkach w garażu, trenowali zapasy i mysi boks, mała myszka siedziała w kącie i dumiała.

Znajome myszki patrząc na jej mizerną i drobną buzię, na kruche ciałko, które tak szybko się męczyło, pytały czasem mysią mamę:

- Jaka przyszłość czeka małą myszkę, jaki los?
- Czy poradzi sobie w życiu pełnym niebezpieczeństw, jeśli jest taka krucha i delikatna?

Mysia mama wiedziała jednak, że to nie siła fizyczna, nie ciężyzna, szybkość i zwinność są w życiu najważniejsze, ale coś zupełnie innego. Kiedy pytano ją o małą myszkę, kręciła głową, uśmiechała się tajemniczo i odpowiadała ze spokojem:

- Moja myszka jest wyjątkowa! Moja mała myszka jest wspaniała. Zobaczycie, ona jeszcze pokaże, co potrafi! – natomiast małej myszce powtarzała codziennie – Córeczko, pamiętaj, masz bardzo cenny dar, nie zmarnuj go.

Jagódka, bo tak miała na imię myszka, w każdej sytuacji, nawet bardzo trudnej wiedziała, co należy zrobić. Każdemu potrafiła dobrze doradzić oraz pomóc. I choć bracia dokuczali jej czasem z powodu wyglądu, doskonale wiedzieli, że ich siostra jest wyjątkowa. Sami też chętnie korzystali z jej rad. Na przykład wtedy, kiedy posprzeczali się z kolegami z sąsiedztwa o znalezioną bułkę. Pachniała tak znakomicie, że nikt nie chciał ustąpić i każdy miał ochotę ją zjeść. Jagódka tylko spojrzała na pyszne, pachnące pieczywo i rzekła:

- Żadna myszka nie da rady zjeść takiej ogromnej bułki, choćby nie wiem, jak bardzo się starała. Podzielcie się nią. Dla każdego wystarczy

i przynajmniej nic się nie zmarnuje.

Rzeczywiście, Jagódka miała rację. Bulka była tak wielka, że przypominała bochenek chleba. Można było ją podzielić i wszystkie myszki zdołały zapelnąć swoje brzuszki.

Innym razem do norki, w której mieszkała mysia rodzina, ktoś zapukał. Mysia mama uchyliła drzwi i zobaczyła zapłakaną sąsiadkę.

– Ratuj! Kochana sąsiadko, ratuj! Woda zalewa naszą norkę. Za chwilę wszyscy się potopią, ratuj nasze małe dzieci.

Kiedy Jagódka to usłyszała, wyskoczyła z domu i ile sił w małych nóżkach, pobiegła do sąsiadów. Zobaczyła, że na miejscu są już wszystkie największe i najsilniejsze myszy z okolicy. Wszyscy pomagali sąsiadom i żwawo wylewali wodę z domu. Wylewali, wylewali, wylewali... A wody wciąż przybywało. Sięgała już do wysokości łóżeczka, w którym spała najmłodsza z myszek. Za chwilę się utopi, pomyślała Jagódka.

– Nie ma czasu, trzeba szybko działać! – rzekła Jagódka.

Nie przyłączyła się jednak do sąsiedzkiej pomocy, nie złapała, jak inni za wiadro. Zaczęła szukać miejsca, z którego wypływała woda. Rozglądała się uważnie, przesuwając się krok za krokiem, łapkami sprawdzała podłogę.

– Jest!!! Mam!!! – zawołała. – Pani sąsiadko, panie sąsiedzie! Chodźcie, szybko! – krzyczała najgłośniejszym, jak potrafiła. – Chodźcie tu szybko! Spójrzcie! – wskazała miejsce, z którego wypływała woda. – Pękła rura doprowadzająca wodę do domu. Trzeba ją najpierw zakleić, a dopiero później wylać wodę z domu. Przynieście szybko okruchy starego chleba, trochę miodu, jakieś szmatki i folię. Zawołajcie moich braci, pomogą mi.

Po chwili wszyscy tłoczyli się wokół małej myszki. Jagódka spokojnym i pewnym głosem wydawała polecenia:

– Ty, Modraczku! – zwróciła się do pierwszego z braci. – Rozmieszaj okruszki z odrobiną wody i miodu! A ty, Bławatku, przygotuj szmatki – wskazała na drugiego brata. – Ty, Koniczynku – spojrzała na trzeciego. – Rozłóż folię. Uwaga, na moją komendę włóż masę do szczeliny, z której wypływa woda! Bławatku, zawiąż szybko na tym szmatki, a następnie wszystko trzeba owinać szczelnie folią. Musicie działać bardzo szybko i uważać, żeby woda nie wypłynęła z rury. Nie możecie zostawić najmniejszego pęknięcia, bo woda ponownie zacznie się sączyć i wypłucze całą masę uszczelniającą.

Mysi chłopcy uważnie słuchali siostry i pracowali w skupieniu, a Jagódka kontrolowała, czy woda nie sączy się z zalepionej dziurki. Kiedy skończyli, wszyscy zaczęli bić brawo. Sąsiedzi wiwatowali: „Ja-gód-ka!”, „Ja-gód-ka!”, „Ja-gód-ka!”.

– Dziękujemy ci, kochana – podeszła do niej sąsiadka ze łzami w oczach i serdecznie ją uścisnęła. – Ocaliłaś nasz dom i naszą rodzinę. Jesteś naszą bohaterką, jesteś Supermyszką!

Od tego momentu drobna i krucha szara myszka stała się Supermyszką. Jako dorosła mysz również była nieduża, ale nie miało to dla nikogo żadnego znaczenia. Doradzała i pomagała wszystkim mieszkańcom w okolicy. Jej porady cenili sobie i młodzi, i starsi, i przyjaciele, i nieznajomi.

Najmłodsze myszki marzyły o tym, żeby w przyszłości być takimi Supermyszkami, jak Jagódka. Mimo popularności, nic a nic się nie zmieniła. Wciąż miała wielkie serce, głowę otwartą na nowe pomysły i wyzwania, a przede wszystkim niezwykłą wyobraźnię. Opowieści o jej wspaniałych osiągnięciach dotarły nawet do ludzi. Zdarzyło się, że mała myszka pomogła też ludziom, którzy mieli ogromne kłopoty. Ale to już zupełnie inna historia...





Katarzyna Sadowska

5 RÓWNOŚĆ
PŁCI



O Julii i Adamie

Historia ta wydarzyła się całkiem niedawno i niedaleko, ale nikt dokładnie nie wie, kiedy i gdzie. W ubogim domku nad brzegiem morza mieszkała sobie dziewczyna o imieniu Julia. Nie była ona ani za bardzo silna, ani za bardzo piękna, ani też szczególnie odważna. Jej prawdziwą mocą było przekonanie, że najważniejsze w życiu jest to, by żyć w zgodzie ze sobą.

Julia bardzo chętnie pomagała mieszkańcom nadmorskiej wioski, a także chętnie uczyła się od nich. Wiedziała, że pracując z ludźmi, wsłuchując się w ich głosy i obserwując ich umiejętności, może zyskać szeroką wiedzę dla samej siebie. Była jedną z nielicznych kobiet w wiosce, ale jako jedyna nie miała męża. Wszystkie pozostałe dziewczęta mieszkaly z małżonkami, przygotowywały im posiłki, dbały o czyste pranie, piastowały dzieci, a mężowie w zamian za ich pracę, wypływali kutrami na połów ryb.

Julia każdej wiosny, latem oraz jesienią wypływała w morze z rybakami, a na kutrze zarzucała własną sieć rybacką. Dziewczyna samodzielnie oprawiała ryby, następnie przygotowywała je do sprzedaży. Zajmowała się też uprawą ogrodu, w którym co roku sadziła warzywa i owoce, by potem przyrządzić z nich przetwory. Robiła zapasy, by przetrwać zimową porę. Julia radziła sobie doskonale, choć często po wyprawie w morze, miała pokaleczone i odmrożone dłonie. Robiła także inne rzeczy: zbierała chrust w lesie, by mieć czym rozpalić piec, pomagała w prowadzeniu gospodarstwa swojej starszej ciotce, która mieszkała dwa domy dalej. Julia potrafiła porąbać drzewo, a nawet naprawić dach, gdy przeciekał. Dziewczyna często mawiała, że gdy tylko nadejdzie potrzeba, może nauczyć się wszystkiego.

Julia była bardzo zapracowana, lecz mimo wszystko czuła się szczęśliwa. Każdego wieczoru, gdy kładła się zmęczona do łóżka, dziękowała losowi, że dał jej możliwość życia w zgodzie ze sobą, czyli że robi to, co potrafi, że może w wolnym czasie czytać książki, spacerować brzegiem morza ze swoim ukochanym psem.

Tego lata Julia obchodziła dwudzieste drugie urodziny. W dzień swojego święta odwiedziła ją ciotka.

– Witaj kochana, wszystkiego najlepszego! – rzekła starsza pani na powitanie i wręczyła siostrzenicy naszyjnik z bursztynów.

– Zapraszam ciociu, wejdź do środka. Dziękuję za pamięć. – odpowiedziała Julia i wzięwszy od ciotki naszyjnik, założyła go na szyję. Uwielbiała bursztyny. – Prezent jest wspaniały! – krzyknęła Julia i ucałowała ukochaną ciotkę.

– Moja droga – zaczęła ciotka nieśmiało. – Chciałabym z tobą porozmawiać o twoim życiu... Wiesz, jesteś samotną kobietą, a w naszej wiosce jest mnóstwo

przystojnych chłopców. Niejeden dopytuje mnie, czy nie zechciałabyś się z nimi spotkać i porozmawiać. Wielu z nich wyraźnie miałoby ochotę poślubić cię i zabrać do siebie.

– Wiem, wiem... – odpowiedziała z uśmiechem Julia. – Jednak ja nie za bardzo wyobrażam sobie, bym mogła siedzieć u kogoś w obcym domu i robić to wszystko, co wszystkie kobiety w naszej wiosce. Bardzo lubię połowy na kutrze, chętnie także uczę się, czytam, lubię swoją niezależność. Poza tym – dodała dziewczyna – coś mi mówi, że nie byłabym dobrą żoną, bo żaden z chłopców nie zniósłby, gdybym zaczęła z nim dyskutować o tych wszystkich ciekawych rzeczach, które mnie interesują.

– Wiem, że lubisz mieć swoje zdanie i swoje zajęcia – odparła nieco zmartwionym tonem ciotka. – Ale pomyśl, nie musiałabyś pracować, zbierać chrustu, miałabyś piękne dzieci i męża, który troszczyłby się o to, czy macie co jeść. Jesteś samotna, musisz więc ciężko pracować, a tak byłoby ci łatwiej.

– Ciociu, ale ja lubię pracować, przecież wiesz. Trudno byłoby mi usiedzieć w jednym miejscu. Jakże źle czułabym się, gdybym nie mogła wypłynąć na szerokie wody... Nie mogłabym nie czuć zapachu wiatru i nie widzieć zachodzącego na horyzoncie słońca. Jakże brakowałoby mi wypraw do lasu. Straciłabym też możliwość swobodnego układania planu mojego tygodnia. Ja wiem, że wszystkie kobiety mają mężów, ale spójrz ciociu... One nie mogą czytać, nie mogą samodzielnie oddalać się od domu, są zależne od swoich mężczyzn.

– Takie są u nas obyczaje, taka tradycja, powinnaś się jej podporządkować. I tak ludzie gadają już o tobie, że jesteś inna od pozostałych. Czy na tym właśnie ci zależy? – zapytała ciotka bardzo zaniepokojona rozmową z Julią.

– Wiem ciociu, ale obecnie nie jestem w stanie się podporządkować. Może za kilka miesięcy zmienię zdanie – powiedziała Julia, by uspokoić pocziwą kobietę. Poglaskała ją po zatroskanej twarzy i zaprosiła do domu na filiżankę kawy i ciasto z powidłami.

Nazajutrz Julię odwiedził młody chłopiec o imieniu Adam. Nie był rybakiem, tylko miejscowym cieślą. Lubili go we wsi, zawsze wywiązywał się ze swoich obowiązków, dostarczał do wszystkich domów niezbędne meble i nigdy nie odmawiał pomocy. Gdy Adam chciał zapukać do drzwi chaty dziewczyny, te właśnie się otworzyły i ukazała się w nich Julia, która właśnie zamierzała wyjść.

– Oj, przepraszam najmocniej – powiedziała dziewczyna, gdy przez przypadek uderzyła drzwiami Adama.

– Nie, wszystko dobrze. Chciałem z tobą porozmawiać, więc przyszedłem zapytać, czy mógłbym wieczorem zaprosić cię na tańce? – powiedział Adam.

– Nie, dziękuję – rzekła Julia. – Wieczorem będę musiała przygotować się do jutrzejszego połowu. Wczesnym rankiem wypływam z rybakami w morze.

– Ale przecież tobie nie wypada tak ciężko pracować, to męska robota, kobiety mają inne zadania – powiedział Adam i spojrzał na Julię niepewnie, bo jej oczy aż błysnęły ze złości.

– Wybacz, ale ja tak nie uważam. Sądzę, że każdy ma prawo robić to, co uważa za stosowne, byle swoim postępowaniem nikogo nie krzywdził. Czy uważasz, że krzywdzę kogoś gdy wypływam w morze? Czy sądzisz też, że masz prawo mnie oceniać i pouczać?

Adam poczuł się niepewnie. Przecież w ich wiosce mężczyźni zawsze pouczali kobiety. Dbali o nie i podejmowali najważniejsze decyzje, wypływali w morze, mieli nawet prawo do przespania całej doby po powrocie z połowów... A ta dziewczyna nie chce, by mówiono jej, co powinna robić. Nie chce robić tego, co inne kobiety... To niestosowne i przedziwne. Adam pomyślał jednak, że jest to również niezwykle intrygujące...

Julia w tym czasie oddaliła się od domu i udała się na skraj lasu, by poszukać drewna na opał. Adam postanowił ją dogonić. Miał nadzieję, że uda mu się ją przekonać, żeby przyjęła jego zaproszenie. Był przekonany, że kogoś tak wyjątkowego trzeba poznać bliżej. Czerwona ze złości i z lśnięciami od gniewu oczami Julia wydała mu się jeszcze ładniejsza.

– Poczekaj! – zawołał chłopiec i pobiegł za dziewczyną. Szła skrajem lasu i zbierała do worka drewno.

– Przecież już ci wszystko powiedziałam – odrzekła od niechcenia Julia. Nie podnosiła wzroku na Adama, tylko w dalszym ciągu spoglądała na gałęzie leżące na ściółce.

– Dobrze, rozumiem, naprawdę nie chciałem cię urazić – powiedział Adam. – Bez zastanowienia powtórzyłem to, co wszyscy mężczyźni w naszej wiosce... – dodał szczerze chłopiec.

Julia podniosła wzrok i ze zdziwienia aż otworzyła usta. Odkąd pamiętała nie spotkała się z sytuacją, żeby mężczyzna tłumaczył się ze swego zachowania kobiecie. Z drugiej strony nie przypominała sobie też, by jakaś kobieta sprzeciwiła się mężczyźnie. Możliwe, że mężczyźni nawet nie byli świadomi, że mogli sprawiać kobietom przykrość swoim zachowaniem.

– Czy twoim zdaniem krzywdzę kogokolwiek, kiedy zachowuję się inaczej, niż jest to przyjęte w naszej wiosce? – zapytała z zainteresowaniem Julia.

– Właściwie nie, po prostu ciężko to zrozumieć. Od wieków rządzą tu mężczyźni, a nie kobiety. Wiesz, gdy któraś z dziewcząt wyraża własne zdanie, to jest to całkiem nowa sytuacja, w której trzeba się odnaleźć – odpowiedział Adam.

– Nie oznacza to, że nowe jest złe, wręcz przeciwnie. Gdyby nie nowości, świat stałby w miejscu! – dodał chłopiec coraz bardziej zainteresowany poglądami Julii i w związku z tym także samą Julią.

– A ty? Czy sądzisz, że tak powinno być? Czy uważasz, że kobieta nie może mieć prawa do własnego zdania, własnego życia, do rozwijania swoich zainteresowań? – zaciekała się Julia. Ucieszyło ją, że chłopak jest zainteresowany głębszą dyskusją. Nie spotkała się z tym, aby mężczyźni pytali swoje wybranki o ich własną opinię. Rozmowy ograniczały się zazwyczaj do przyziemnych spraw, co trzeba zrobić lub dokąd pójść.

– Do tej pory nie zastanawiałem się nad tym. Wiedziałem tylko, co robią kobiety i jakie role przypisane są w naszej wiosce mężczyznom. Uważam jednak, że warto rozważyć nowe podejście i nową możliwą sytuację! – zaśmiał się Adam i spojrzał na Julię, która była już wyraźnie zaciekawiona swoim rozmówcą.

Julia i Adam przysiedli na pnium złamanego przez sztorm starego dębu i rozmawiali tak, jak nigdy dotąd z nikim. Gdy dyskutowali ze sobą o powinnościach dziewcząt i chłopców, często wyśmiewali się z tego, co obserwowali od lat

we własnej wiosce. Czuli głęboko w sercach, że ta wymiana zdań jest bardzo cennym doświadczeniem. Zdawało im się, że zaczynają myśleć bardzo podobnie i że się wzajemnie uzupełniają.

Minęło wiele godzin, wieczorna potańcówka w wiosce dobiegała już końca, a Julia i Adam wciąż rozmawiali. Byli już bardzo głodni, zmęczeni, lecz szczęśliwi! Gdy na niebie świecił już księżyc, a gwiazdy mieniły się nad nadmorską wioską, Adam odprowadzał Julię do domu.

– Dziękuję za wspaniały dzień. Chyba jutro nie wypłyniesz w morze? Zabrałem ci sporo czasu i nie miałaś możliwości się przygotować – zaniepokoił się mężczyzna.

– Wypłynę, w zasadzie jestem zawsze przygotowana – zaśmiała się młoda kobieta. – Lecz po moim powrocie, mniej więcej za dwa dni, chętnie cię odwiedzę, by opowiedzieć ci o naszym połowie ryb.

– Cieszę się i zapraszam – odparł Adam.

Gdy Julia wróciła, Adam bardzo się ucieszył. Odtąd byli nierozłączni, wiele obowiązków dzielili między sobą, zbudowali wspólnie wspaniały, drewniany domek, w którym zamieszkali. Julia często brała udział w połowach ryb, które od zawsze kochała i podsuwała Adamowi ciekawe książki. Wszystkie problemy rozwiązywali zawsze wspólnie, głównie podczas rozmów. A dzieci? Mieli całą trójkę i opiekowali się nimi także wspólnie.



Marzena Bielak

5 RÓWNOŚĆ
PŁCI



Smoczy wyścig

W bajecznie pięknej krainie żyła smocza rodzina. Mama – Suzi, Tata – Tom i trójka rodzeństwa: Gapcio, Gacek i Pola. Rodzinka mieszkała na polanie, którą zamieszkiwali także ich przyjaciele – inne smoki. Suzi, Tom i ich smocze dzieci mieszkali razem w wielkim drzewie z dużymi drzwiami i oknami, które rosło na samym środku polany.

Zaraz przy łące płynęła czekoladowa rzeka. Gapcio, Gacek i Pola uwielbiali się tam bawić. Nic dziwnego, przecież płynęła tamtędy niezwykła rzeka z pyszną i słodką czekoladą zamiast wody. Smocze dzieci miały wielu przyjaciół, z którymi przeżywały nadzwyczajne przygody. Co roku tata Tom organizował dla nich nad rzeką wyścigi maszyn. To, co dodatkowo podnosiło rangę wyścigów to fakt, że dzieci same konstruowały swoje łodzie. W zawodach brały udział wszystkie małe smoki z polany.

Pola była najmłodsza z rodzeństwa i bardzo chciała wziąć udział w wyścigu. Rano, kiedy wszyscy wstali i usiedli do śniadania, przygotowanego przez mamę, wybuchła kłótnia.

– Ty nie możesz! – krzyknął Gacek po tym, jak Pola powiedziała, że też chce wziąć udział w wyścigu.

– Właśnie, jesteś dziewczyną! – dodał Gapcio, który kończył jeść już śniadanie, bo spieszył się do garażu, gdzie razem z Gackiem budowali wspólną łódkę.

– I co z tego?! – odpowiedziała Pola – Tato, tato powiedz im, że ja też mogę wziąć udział w wyścigu! – zwróciła się do taty ze łzami w oczach.

– Hmm, nie ma punktu w regulaminie wyścigów, który zabraniałby dziewczynkom wzięcia udziału w zawodach, ale do tej pory żadna dziewczynka się nie odważyła – powiedział Tom.

– Co?! I tak nie wygrasz! – odpowiedział z oburzeniem Gacek. – Nawet nie masz nikogo do pary – odparł po chwili. – W wyścigu muszą brać udział dwa smoki.

– To się jeszcze okaże! – powiedziała rozgniewana Pola, po czym odeszła od stołu i pobiegła do swojego pokoju.

– Ona i wyścig... Ha, ha, ha! – zaśmiali się bracia.

– Przestańcie – odpowiedziała mama. – Pola ma takie samo prawo, jak wy do wzięcia udziału w wyścigu. To dobra zabawa dla wszystkich – dodała. Gacek i Gapcio bąknęli tylko coś pod nosem i poszli do garażu.

– Mamo, czy mogę iść do Lizy? – spytała Pola, która zeszła do kuchni

dopiero wtedy, gdy usłyszała, że bracia wyszli już z domu.

– Tak, skarbie – odpowiedziała z uśmiechem mama.

Liza to przyjaciółka Poli. Dziewczynki często spędzały ze sobą czas i bardzo się lubiły.

– Cześć Liza! – powiedziała Pola, gdy zobaczyła przyjaciółkę na huśtawce obok domu.

– Cześć! – odpowiedziała Liza, szczęśliwa, że odwiedziła ją Pola.

– Wpadłam na świetny pomysł! – rzekła Pola. – Weźmiemy udział w smoczym wyścigu!

– Ale to przecież wyścig dla chłopaków, my nie możemy – rzekła zasmucona Liza.

– Możemy! To wyścig dla każdego, tylko że do tej pory brali w nim udział sami chłopcy...

– Naprawdę? To super! – krzyknęła Liza i zeskoczyła z huśtawki. Razem z Polą trzymały się za ręce i podskakiwały z radości.

I tak przyjaciółki zdecydowały się wziąć udział w wyścigu, który miał odbyć się już za cztery dni. Codziennie, ciężko i z niemijającym zapalem budowały pojazd z niedużą pomocą rodziców Lizy. Nadszedł dzień zawodów. Brało w nich udział wiele smoczych dzieci i chociaż byli to sami chłopcy, Pola i Liza nie zrezygnowały. Dumnie wciągnęły na rzekę swój pojazd. Wyróżniał się spośród wszystkich maszyn. Był najbardziej kolorowy, a do tego cały ozdobiony kwiatkami.

– Narobicie sobie tylko wstydu! – zawołał Gacek i wszyscy się zaśmiali. Dziewczynki zaś nie zwracały na nich uwagi i z uśmiechem na twarzy ustawiły się na linii startu.

– Powodzenia! – życzyli dzieciom rodzice. Tata Tom dał znak do startu i wszyscy ruszyli. Większość smoków używała wiosel, natomiast dziewczynki zamontowały w swoim pojeździe pedały. I właśnie dzięki temu udało im się znacząco wyprzedzić inne dzieci. Aby pokonać właściwie całą trasę, należało dopłynąć do zatoczki i jak najszybciej wrócić z powrotem. Jedna drużyna już na samym początku wyścigu zgubiła kilka części od swojej maszyny, a tuż przed zatoczką rozpadła im się łódka. Obydwoje wylądowali w rzece, oblizywali się ze słodkiej czekolady i musieli dopłynąć do brzegu wpław. Gapcio i Gacek objęli prowadzenie i chociaż do mety było już całkiem niedaleko, to opadali prawie zupełnie z sił. W ostatniej chwili, ku zdumieniu chłopców, Liza i Pola wyprzedziły ich i tym samym wygrały wyścig.

– Hurra! Udało się! – krzyknęła Liza.

– Gratulacje córeczko! – powiedziała mama i wraz z tatą uściskali ją mocno. Gacek i Gapcio z niedowierzaniem dopływali do mety.

– Jakim cudem wygrały, przecież to tylko dziewczyny?! – rzekł zdenerwowany Gacek.

Tom i Suzi przytulili chłopców i powiedzieli niemal jednocześnie:

– Nieważne, czy to dziewczynka czy chłopiec. Wszyscy mają takie samo prawo do wzięcia udziału w wyścigach. Nie jest ważna płeć, ale spryt, wiedza, umiejętności i oczywiście zaangażowanie. Zresztą najważniejsza jest zabawa, a nie wygrana!

Gapcio i Gacek podeszli do siostry i pogratulowali jej zwycięstwa, a przede wszystkim wspaniale zaprojektowanej maszyny.





Katarzyna Sadowska

6 CZYSTA WODA
I WARUNKI
SANITARNE



O roztroprym Stasiu i psotnym Haku Gilaku

Pewien mały chochlik miał łaskotki. Uwielbiał, gdy go gilgotano po brzuszku i lubił odwzajemniać się tym samym. Wyglądem przypominał haczyk, taki, na którym wieszka się ręczniki w łazience. Wołano na niego Hak Gilak. Mieszkał w szufladzie chłopca, który także lubił łaskotki i miał na imię Staś. Wspólnie bardzo chętnie odwiedzali łazienkę, w której potrafili całymi godzinami stać przy umywalce, by ciepła woda leżąca z kranu łaskotała ich paluszki. Staś śmiał się wtedy w niebogłosy, a Hak Gilak mu wtórował. Rodzice Stasia wielokrotnie słyszeli ich rozbawione głosy, jednak nie przypuszczali, że to nie tylko Staś się śmiał. Dorośli przecież z reguły nie dostrzegają chochlików i nic w tym dziwnego... Często też nie rozumieją, że łaskotki mogą sprawiać tyle radości, szczególnie dzieciom i chochlikom. Staś znał umiar w zabawie, lecz jego towarzysz zamieszkujący szufladę – nie. Gdy zbyt długo rozrabiał, cała wina spadała na chłopca. Nie mógł przecież powiedzieć prawdy, że to chochlik napsocił, a nie on. Dlatego mówił tylko ze skruszoną miną:

– Nie chciałem, przepraszam, to przez przypadek.

Pewnego dnia Staś nie poszedł do przedszkola, więc Hak Gilak także pozostał w domu. Staś miał kaszel i gdy odchrząkiwał, czuł łaskotanie w gardle, jednak nie było ono przyjemne. Strasznie drażniło to Stasia i bardzo grymasił. Hak Gilak postanowił rozweselić chłopca. Mogło im to jednak przysporzyć niemałe kłopoty...

– Stasiu! – zwrócił się do przyjaciela chochlik. – Czy nie poszlibyśmy do łazienki pogilgotać trochę nasze paluszki ciepłą wodą płynącą z kranu?

– Oj, chętnie! – odpowiedział chłopiec, lecz po chwili dodał – Ale tata jest w domu, więc będzie niezadowolony, gdy zużyjemy zbyt dużo wody.

– No coś ty! – pisnął chochlik. – Przecież tata siedzi przy komputerze, pracuje, więc... pewnie nic nie zauważy.

– A jeśli zauważy?! Będzie się gniewał, bo zawsze powtarza, że wodę należy oszczędzać – odrzekł mądry Staś.

– Oszczędności, ości! – sapnął Hak Gilak i z lekceważącą miną popędził na swoich krzywych nóżkach do łazienki. Staś był rozsądnym przedszkolakiem, dlatego pobiegł za swoim przyjacielem, by dopilnować, czy nie wyrządzi on zbyt dużych szkód. Jak już wiecie, często bywało tak, że psocił chochlik, a całą winą obarczano Stasia. Przecież dorośli, czy to w domu, czy też w przedszkolu nie domyślali się, że chłopczyk ma takiego lekkomyślnego i psotnego kolegę. I znów Staś będzie musiał brać winę na siebie, przepraszać i tłumaczyć się, że to przecież stało się całkiem przypadkowo.

Ledwie Staś otworzył drzwi od łazienki, a już dostrzegł Haka Gilaka na brzegu umywalki z odkręconym kranem. Mały stworek moczył w wodzie swoje haczykowate

paluszki i mruczał z zadowolenia.

– Stasiu, co robisz w łazience? – zainteresował się tata, który akurat teraz oderwał się na chwilę od pracy.

– Nic, myję tylko ręce – odpowiedział Staś i szybko chwycił mydło, żeby nie okłamywać taty.

– Dobrze, tylko proszę, byś zakręcił kran, jak już skończysz – powiedział tata i wrócił do swoich zajęć.

– Haku Gilaku, przestań natychmiast! – upomniął przyjaciela chłopiec. – Wodę trzeba oszczędzać! – Staś wyciągnął rękę w stronę kurka, by go zakręcić i skończyć tę zabawę.

– Nie! Nie, jeszcze nie! – krzyknął chochlik. – Ja lubię, kiedy woda tryska z kranu! – i jeszcze bardziej rozkręcił kurki, jak na złość.

– Nie, nie! – krzyknął przerażony Staś i spojrzał na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. W jego oczach dało się zauważyć troskę o losy wody na całym świecie. Jego małe dłonie usiłowały wygrać walkę z haczykowatymi palcami małego psotnika. Hak Gilak był jednak bardzo silny, trzeba przyznać, że wyjątkowo jak na tak małego chochlika.

Nagle lustro zaczęło jakby falować, odbicie Stasia rozmazywało się, jakby ktoś rozkręcił karuzelę, która wirowała coraz szybciej i szybciej. Tymczasem Hak Gilak wyglądał jak nakręcony do granic możliwości bąk. Wszystko dookoła nich wirowało, a potem nagle zatrzymało się. Miejsce, w którym się znaleźli wyglądało zupełnie inaczej, niż łazienka. Staś, któremu wciąż kręciło się w głowie oraz niegrzeczny chochlik siedzieli po pachy w błotnistej kałuży. Dookoła było dużo piasku, a przy kałuży stały zwierzęta ze spuszczonej w dół lebkami. Żyrafa wyciągała daleko swoją długą szyję i strzygła uszami, lew miał całą grzywę umazaną błotem, antylopa patrzyła na kałużę jak osłupiała, a pawian, zazwyczaj chętny do psot, siedział tuż przy Stasiu i głośno chlupał...

– Nie ma, nie ma, co my zrobimy? – przez lzy szeptał pawian.

– Czego nie ma? – zapytał chłopczyk. – Gdzie my w ogóle jesteśmy?

– Nie ma wody, afrykański wodopój wysycha! – płakała żyrafa, która dopiero w tej chwili dostrzegła nieproszonych gości.

– Jak to nie ma?! W kranie jest jej bardzo dużo! – prychnął Hak Gilak i fiknął koziolka. Zupełnie nie zważał na uczucia bezsilnych i zrozpaczonych zwierząt.

– W kranie, w kranie... A tu nie ma kranu, tylko ta kałuża z błotem! – zaryczał głośno lew, ale jego głos był chropowaty i cichszy niż zazwyczaj, więc Staś nie wystraszył się aż tak bardzo.

– W kranie, banie! – zawołał figlarnie Hak Gilak i roześmiał się na cały głos, bo błoto załaskotało go w piętę.

– Cicho, Gilaku! – Staś spojrzał srogo na swojego towarzysza. – Nie widzisz, tym zwierzętom chyba nie jest do śmiechu.

– Powinni się polaskotać! Też mi coś! – odparł niczym nie wzruszony Hak Gilak.

Lew spojrzał z niesmakiem na chochlika i kichnął, a ten w jednej chwili wyleciał z kałuży jak z procy, prosto na piaszczystą ziemię.

– No co, no co?! – zdenerwował się Gilak.

– To wasza wina, wszystko to wasza wina! – rzekła żyrafa spoglądając Stasiowi prosto w brązowe, okrągłe oczy. Wtedy jego oczy zaokrągliły się jeszcze bardziej i tym razem dostrzec w nich można było ogromne wyrzuty sumienia.

– Przepraszamy... – zająknął się chłopiec.

– Wasze „przepraszam” nam nic nie da – rozplakał się pawian. – Nie ma wody, nie ma życia... To koniec... Smutny los czeka moją rodzinę. Padniemy wszyscy z pragnienia! A ludzie? Nasi afrykańscy ludzie też umierają z pragnienia... A wy nic... Was to w ogóle nie obchodzi.

– Co ty mówisz? Pomożemy wam – rzekł Staś. – Powiedźcie tylko, co możemy zrobić!

– Zrobić? Już wystarczy! Już dość krzywd nam wyrządziliście! – ryknął lew z całej siły.

– Ja nie chciałem... – zadrżał przedszkolak. – Ja jestem dobry.

– Może i ty jesteś dobry, ale tu nie chodzi tylko o ciebie, lecz o wielu z was, o wszystkich ludzi... – wyjaśniła antylopa.

– Im więcej zużywacie wody, im więcej marnujecie jej na przykład, gdy bez przerwy leci z waszych kranów, to nasze skromne wodopoje wysychają. Założę się, że po drugiej stronie, tam, skąd przybywacie, z kranu kapie właśnie woda, którą beztrudno odkręciliście w łazience – dodał przygnębiony pawian. – A w tym czasie ludzie w Afryce umierają z wycieńczenia. Wciąż poszukują czystej i zdanej do picia wody.

Staś poczerwieniał ze wstydu. Tak, to niestety prawda. Afrykańskie zwierzęta miały rację.

– E tam, przyniesiemy wam trochę wody do gilgotania i laskotania – zaśmiał się chochlik, który wciąż nie rozumiał powagi sytuacji.

– Do gilgotania?! – ryknął wzburzony lew. – Do laskotania?! Komu w głowie gilgotki, kiedy za chwilę wszyscy stracimy życie! Umrzemy tu bez wody! Zwierzęta i ludzie, wszyscy razem umrzemy! – szlochał głośno lew.

Staś chwycił chochlika i schował go głęboko do kieszeni w koszulce.

– Co mam zrobić, by wam pomóc? – zapytał zasmucony Staś i nieśmiało spojrzał w oczy zwierzętom.

– Zakręcaj kran! Tylko tyle! – ryknął lew. – Nic łatwiejszego! I powiedz swojemu ludzkiemu stadu, by wszyscy robili tak samo! Wystarczy zakręcić kurki z wodą! Niech nie leje się, kiedy nie ma takiej potrzeby.

– Oczywiście, oczywiście... – zmieszał się Staś i jak najprędzej postanowił powiedzieć rodzinie, przyjaciółom i kolegom w przedszkolu, że marnowanie wody, nadmierne jej zużywanie i bawienie się nią jest bardzo niebezpieczne. Ludzie i zwierzęta w innych rejonach świata umierają z pragnienia.

– Obiecujesz? – zapytała żyrafa.

– Tak, obiecuję, możecie być pewni! – odpowiedział chłopiec, trzymając dłoń na sercu.

– To dobrze. Jest szansa – powiedział pawian.

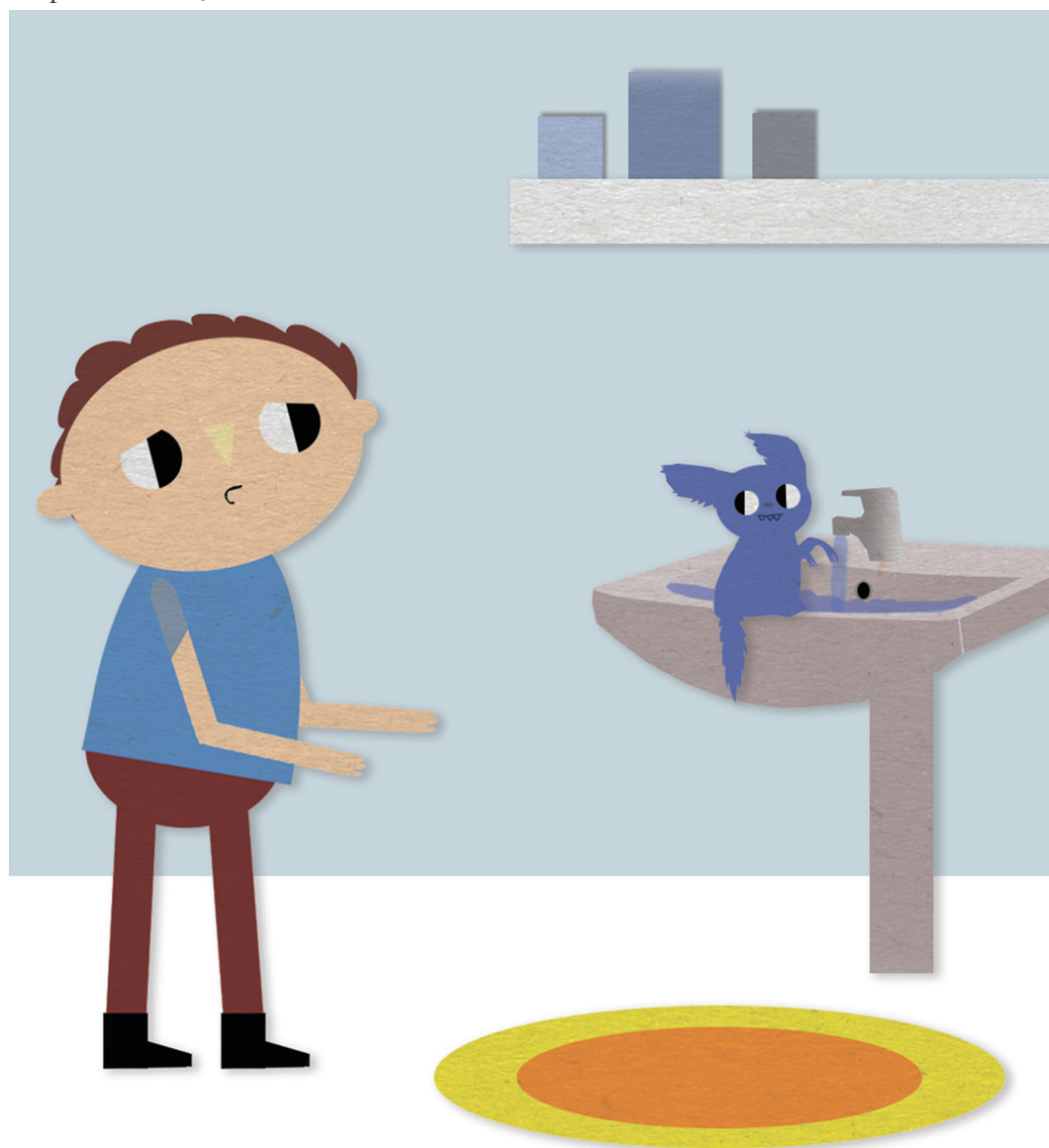
Nagle wszystko ponownie zakręciło się tak szybko, jak na rozpedzonej karuzeli lub jak w bębnie wirującej pralki i znów zafalowało... Staś z powrotem znalazł się w łazience. Stał jak wryty przed swoim lustrzanym odbiciem, a Hak Gilak wyglądał

z jego bawełnianej kieszonki.

– Haku Gilaku, czy wiesz, co teraz należy zrobić? – zapytał stanowczym tonem Staś.

– Wiem, wiem... – odparł Hak Gilak. – Od dziś już nigdy nie będziemy laskotać się wodą, tylko paluszkami.

Staś z uznaniem i radością spojrział w łazienkowe lustro i zdawało mu się, że zobaczył tam pawiana, żyrafę, antylopę i lwa, którzy machają do niego swymi łapami i kopytkami... Dostrzegł, że błotnista kałuża przemieniła się w tafłę czystej wody. Obok niej wyrosła spod ziemi piękna studnia, do której ustawiała się kolejka ludzi, a każdy czekał z dzbankiem na wodę. Wszyscy sprawiali wrażenie szczęśliwych. Tata Stasia stał w progu łazienki i z uśmiechem na twarzy obserwował swojego zadumanego syna. Mógł tylko domyślać się, co niesamowitego wydarzyło się przed chwilą.



Kamila Jasińska



Jak Struzik poradził sobie z brakiem wody

Pewnego upalnego popołudnia, wśród ogromnych liści palm, bananowców oraz cyprysów, buszowała tam i z powrotem mała zielona kulka. Była to niepozorna istotka na dwóch łapach. Jej skóra była zielona, a na głowie rosły małe, seledynowe listki, które mógł dostrzec jedynie spostrzegawczy obserwator. Wszystkie rośliny w okolicy doskonale wiedziały, kto to jest. Nazywał się Struzik i mieszkał we wspaniałym ogrodzie pełnym rozmaitych gatunków drzew, krzewów i kwiatów. Granice ogrodu wyznaczał nieduży strumyk. Struzik, jak co roku, rozsiewał w swoim ogrodzie nasiona nowych gatunków roślin. Robił to bardzo sprawnie. Przeskakiwał z grządki na grządki i z gracją omijał wystające konary drzew. Był to doskonały moment na pracę.

Początek lata zbliżał się wielkimi krokami, a Struzikowi zależało na tym, żeby rośliny dojrzewały w pełnym słońcu i były podlewane na bieżąco letnim deszczem. Woda dawała życie wszystkim roślinom i stworzeniom w ogrodzie, łącznie z jego mieszkańcem. Struzik nigdy nie chorował i zawsze czuł się świetnie. Potwierdzały to jego zielony kolor, nieustająca energia, a także zapał do codziennych obowiązków. Po skończonej pracy zawsze szedł do strumienia z krystalicznie czystą wodą, która uśmierzała pragnienie podczas upalnych dni. Struzik nigdy nie był po drugiej stronie strumienia. Mama zawsze ostrzegała go przed wychodzeniem poza granice ogrodu. Krążyły legendy, że tamte tereny zamieszkiwały tajemnicze stwory. Podobno najstraszniejsze z nich nazywały się Mikrobajtki i wywodziły się ze złowrogo plemienia Pażytków. Mogły uczynić wiele złego, ale miały jedną słabość... Bały się wody.

Nic nie wskazywało na to, żeby coś mogło zakłócić codzienny rytuał Struzika i przerwać jego sielankę. Kiedy nasz bohater pracował tak jak zawsze, zauważył, że ogród wygląda jakoś inaczej. Coś się w nim zmieniło... Wiele liści z drzew leżało na trawniku. Co więcej, były w innym kolorze, zmieniły się z ciemnozielonych w żółto-pomarańczowe. A wszystkie kwiatki, zamiast uśmiechać się do słońca, pochylały swoje łodygi, jakby czuły się zawstydzone lub zmęczone. Najbardziej przerażyły Struzika małe, świeże pędy roślin, które zasadził przed paroma dniami. Dzisiaj nie było widać po nich śladu... Twarz Struzika pochmurniała. Dotknął ziemi i poczuł, że jest sypka, mętnego koloru, a przede wszystkim bardzo sucha.

– O rany, czegoś takiego jeszcze nie widziałem... – wymamrotał i popędził w stronę strumienia. Gdy dotarł na miejsce, ze strachu aż poczuł nieprzyjemny skurcz w brzuchu. – O nie! W... Wo... Wody! Tu prawie nie ma wody!

Wiedział, że to dzięki niej żyją wszystkie rośliny, a także on sam. Spanikował. Był świadomy, że jeśli nic nie zrobi, to niebawem wszystkie rośliny w ogrodzie uschną.

– A co jeśli strumień wyschnie do końca i przyjdą tutaj... Mikrobajtki? Albo jakieś inne stwory? – pomyślał. Musiał wyjść poza granice ogrodu i dowiedzieć się, dlaczego zabrakło wody.

Po zachodzie słońca, gdy zapadł już zmrok, Struzik napelnił mały bukłak resztką wody ze strumienia, przeskoczył na drugi brzeg i wyruszył w podróż. Tego dnia nasz bohater nie wykopał się po pracy, ponieważ w strumieniu nie było wystarczająco dużo wody. Czuł, że jego skóra zrobiła się szorstka, a usta były suche z pragnienia. Póki co, nie chciał pić wody z bukłaka. Wolął zostawić ją na czarną godzinę.

Gdy szedł przez las, zrobiło się tak ciemno, że już prawie nic nie widział. Kiedy wzrok zawiódł, postanowił użyć innych zmysłów, które pomogły mu rozpoznać otaczający go świat. Poczul, że ziemia pod nogami jest inna... Jest sucha, szorstka i klująca. Szedł dalej i coraz bardziej zanurzał się w mroku drzew. Z każdą godziną Struzik był coraz bardziej zmęczony. Usta zaczęły go piec, a skóra wydała mu się tak szorstka jak ścieżka, po której stapał. Bardzo chciało mu się pić, ale był dzielny i wciąż oszczędzał wodę w bukłaku na później. Wydawało mu się, że usłyszał jakieś głosy. Zatrzymał się na środku drogi. Blask księżyca przebił się między drzewami i odsłonił przed nim małą polankę. Na jej środku dostrzegł jakieś cienie. Nie dość, że był już bardzo zmęczony, to na dodatek poczuł narastający strach i okropne ciarki na swoich zielonych plecach. Wyteżył słuch. Z polany pomiędzy drzewami dochodziły dziwne odgłosy. Nie wydały się one Struzikowi przyjazne.

– Szcz... Grrrr... Wrr! – takie chrzęsty dochodziły do uszu zielonego stworka.

– T-t... To p... pewnie są Mikrobajtki – wyszeptał Struzik z przerażeniem.

Miał ściśnięte gardło i poczuł się bardzo słabo, jakby zabrakło mu powietrza. Wiedział, że takie istoty istnieją, ale nie spodziewał się, że żyją tak blisko niego. Jednak nie to było jego największym zmartwieniem. Zorientował się, że stwory zauważyły jego obecność i zaczęły zmierzać w jego kierunku. Im były bliżej, tym Struzik mógł lepiej im się przyjrzeć. Miały na sobie pancerz zamiast gładkiej skóry, duże czarne oczy, a z głów wyrastały im obrzydliwe czułki. Całe były czarno-brązowe.

– Wrrr... Kim jesteś i co tu robisz?! – wrzasnął jeden z nich, ten, który był najbliżej Struzika.

– J-jaa...? Ja jestem Struzik. Jestem małym stworkiem i na co dzień zajmuję się ogrodem, w którym mieszkam... – odrzekł niepewnie.

– O! Ogrodem? – zdziwił się jeden z Mikrobajtków. – To na pewno daleko stąd, bo tu nie ma ani roślin, ani wody! Buuu... ha, ha, ha! – roześmiał się. – My je niszczymy! Niszczymy wszystko, co żyje!

Struzik zrozumiał, że znalazł się w tarapatkach. Chciał się stamtąd jak najszybciej wydostać, ale z przerażenia nie był w stanie nawet się ruszyć.

– Ty też Struziku jesteś żywą istotą. Ciebie też możemy zamienić w taką suchą, chudą gałązkę!

Natychmiast po tych słowach cała grupa Mikrobajtków otoczyła naszego bohatera. Struzikowi zrobiło się jeszcze słabiej. Na szczęście, w całym tym zamieszaniu przypomniał sobie, że ma bukłak z wodą. Pamiętał też, że Mikrobajtki bardzo się jej boją. Pomyślał, że jeśli szybko napije się wody, to może uda mu się ich wystraszyć. Tak też zrobił.

I stało się coś, czego Struzik się nie spodziewał. Od razu po wypiciu wody, cała jego skóra zaczęła świecić na zielono i to tak bardzo, że aż oślepiła wszystkich wokół. Zaskoczone Mikrobajtki zaczęły uciekać.

– Ratunku! Uciekajcie! To świeża, czysta woda! – krzyčeli jeden przez drugiego. Wszyscy uciekali, każdy w inną stronę i tak szybko, nieuważnie, że co chwilę potykali się o wystające konary. – Jeszcze się policzymy! – rzucił przez ramię jeden z Mikrobajtków.

Struzik jednak już nie słuchał, co do niego krzyčeli. Z jednej strony poczuł ogromną ulgę, że już ich nie było, z drugiej dopadło go jeszcze większe zmęczenie. Gdy stał po środku lasu, w blasku światła, które wysyłało jego małe ciało, ujrzał ciemną dziurę w konarze zniszczonego i wysuszonego drzewa. Postanowił ukryć się tam i przespać do rana.

O świcie obudziło go jakieś szuranie. Wstał szybko w obawie przed spotkaniem z Mikrobajtkami i wyteżył słuch. Rozejrzał się dokoła, ale nikogo nie było. Dopiero teraz, w świetle wschodzącego słońca, ujrzał okolicę w całej okazałości. Bardzo się zdziwił i zasmucił na widok wyschniętych drzew i suchej ziemi. Tylko gdzieś tam, na bardziej ocienionych terenach rosły resztki trawy i mchu. Miejsce, w którym się znajdował całkowicie różniło się od jego ogrodu.

– Wygodnie ci się siedzi na moim korzeniu? – usłyszał nagle niski, tubalny głos, który dochodził jakby z nieba. Struzik tak się wystraszył, że stanął na baczność i już miał uciekać, gdy zorientował się, że to drzewo do niego mówi i na dodatek jeszcze się uśmiecha. – Nie bój się, jestem tylko drzewem. Nic ci nie zrobię, Struziku.

– S... s... Skąd znasz moje imię? – spytał zdziwiony Struzik.

– Byłem tu przecież, jak odpędziłeś wczoraj Mikrobajtki – odrzekło drzewo z przekąsem. Nastąpiła chwila ciszy. Drzewo wyglądało na zamyślane – Ach tak, pyszna krystaliczna woda. Kiedyś było jej tu sporo. Wszystkie drzewa były piękne, silne i zdrowe. Była tu kiedyś śliczna puszcza, którą zamieszkiwało wiele istot, a ja byłem cały zielony, ot, właśnie taki, jak ty!

– Ojej! To zupełnie tak, jak w moim domu. – Struzik zaczął z przejęciem opowiadać o swoim ogrodzie. O tym, że nagle zabrakło wody w strumieniu, że postanowił wyruszyć w podróż i odkryć tego przyczynę. – Dlaczego teraz wszystkie rośliny są zwiędnięte i nie ma wody? Opowiedz mi, dlaczego grasują tutaj Mikrobajtki?

– Wszystko, co tutaj widzisz było piękne i zielone... – zaczęło ze smutkiem drzewo. – Rośliny potrzebowały coraz więcej wody do picia, wody, która dawała im życie. Było jej jednak coraz mniej. Ze smutkiem patrzyłem, jak z dnia na dzień nasze zapasy się wyczerpują. Próbowalem apelować, mówiłem, że niedługo może jej zabraknąć... Nikt nie chciał mnie wysłuchać. Najpierw, zaczęły więdnąć kwiaty. Potem słabsze krzewy i małe drzewka usychały na moich oczach. Gdy zaczął padać deszcz, wszyscy pochłaniali każdą jego kroplę. Jednak woda z deszczu nie wystarczyła. Poza tym była bardzo brudna. To tylko przyspieszyło koniec naszej pięknej krainy... – westchnęło głęboko drzewo. Struzik słuchał z zapartym tchem. – A potem... było już tylko gorzej. Wkroczyły tutaj Mikrobajtki i dokonały reszty zniszczenia.

Na samo wspomnienie o stworach, Struzik aż podskoczył ze strachu. Było mu bardzo przykro po tym, co usłyszał. Chciał się rozplakać. Wyobraził sobie, co złego może stać się z jego ogrodem, jeśli za chwilę czegoś nie wymyśli.

– Zaraz, a dlaczego tobie nic się jeszcze nie stało? Dlaczego nie uschłes, jak reszta?

– Widzisz, Struziku, trzymam się jakoś dzięki temu, że jestem taki wiekowy.

Stare drzewa mają bardzo długie korzenie. Tak długie, że sięgamy nimi bardzo daleko w głąb ziemi i tam znajdujemy wodę. Jednak nawet to mi nie pomoże. Mikrobajtki zniszczyły już prawie wszystkie rośliny, które były mi bliskie. Niedługo uschnę z tęsknoty...

Słowa te jeszcze bardziej zasmuciły Struzika. Jednak dzięki historii, którą usłyszał, wpadł na pomysł, jak przywrócić wodę w strumieniach. Zaczekał, aż drzewo skończyło swój monolog i krzyknął:

– Zaraz, zaraz, zaraz! Woda z głębi ziemi? To znaczy, że czysta woda może być pod nami? – rzucił i nie czekając na odpowiedź, zadał kolejne pytanie. – Czy potrafisz poruszać swoimi starymi korzeniami?

– Hmm... – zamyśliło się drzewo. – Jestem bardzo słaby, ale mogę spróbować. Zesztywniałe i stare drzewo nagle zaczęło się kołysać. Struzik pomyślał, że jeśli wszystkie drzewa zaczną poruszać korzeniami w tym samym momencie, to może sprawią, że krystaliczna woda wytrysnie. Zaczął biegać w podskokach od drzewa do drzewa. Namówił kilka z nich, żeby zaczęły drażnić w ziemi konarami. Na początku kopali sąsiedzi starego drzewa, następnie sąsiedzi sąsiadów, aż po chwili wszystkie żyjące jeszcze konary, kołysały się w równym rytmie, tam i z powrotem. Niektóre drzewa z wysiłku przewaliły się na ziemię, jednak po chwili leżenia, gdy już wydawało im się, że to koniec, poczuły wilgoć i po chwili wodę! Aż nagle spod drzewa, przy którym stał Struzik wytrysnęła czysta, krystaliczna woda. Zaczęła płynąć w czterech kierunkach świata, tworząc zawile meandry między konarami.

Struzik był zachwycony. Wskoczył spragniony do wody, a ta porwała go z nurtem nowo uformowanej rzeki.

– Dzięki wspólnej pracy dzielnych drzew udało się ocalić tę krainę! – krzyczał Struzik i śmiał się. Płynął wzdłuż wyschniętych jeszcze pól i widział, jak przerażone Mikrobajtki uciekają w popłochu. Dostrzegł zielony blask bijący z ziemi, która po wielu dniach suszy nareszcie mogła odżyć. Woda dotarła również do jego ogrodu. Był dumny, uratował swój największy skarb, swój własny dom. Chwycił się brzegu i powitał słabe już, ale jeszcze zdrowe rośliny. Był piękny poranek, zatem Struzik odnalazł nasiona rzucone wczoraj w pośpiechu i jak najszybciej rozpoczął swój codzienny rytuał.



Katarzyna Sadowska, Tomasz Sadowski

7 CZYSTA I DOSTĘPNA
ENERGIA



O piratach, księciu i energii

– Ahoj, zalogo! – krzyknął Brudnobrody do swych majtków. – Naszym dzisiejszym celem jest zdobycie okrętu księcia. Transportują nim multihipernapęd odrzutowy. Gdy tylko go przechwycimy, będziemy mogli śmigać naszą łajbą z prędkością światła i nikt nie powstrzyma naszych pirackich zamiarów! Arr, arr!

– Panie Kapitanie! – zasalutował Brudnobrodemu mały, lysawy pirat z jednym tylko zębem. – Jak mamy zaatakować księcia, skoro to on ma teraz napęd i może go wykorzystać w każdej chwili? Ja tam nie wiem, co taki napęd może nam wyrządzić, ale toż to ogromna siła i energia jest! Co więcej, dopiero niedawno odkryta i okiełznana! Jak przejmujemy nad nim kontrolę bez instrukcji obsługi?

– Milcz, Walkoni! – odparł pirat do śmiałka. – Na co nam instrukcja! To proste, jak piracki drut. Trzeba załadować arrrrrrrrmaty i gdy podpłyniemy nocą do okrętu księcia, zrobimy wielkie bum! Tylko zgasić mi wszystkie pochodnie, żeby nas straż książęca nie spostrzegła!

– Ale... Co jeśli nasz wybuch zniszczy nie tylko okręt, ale także multihipernapęd? – zapytał szeptem wysoki, chudy majtek. Miał na nosie binokle, a wiadomo, że okularników zazwyczaj uważa się za mądrzejszych od innych. Chudy trzymał w dłoni jakąś brudną książkę z czasów, gdy jeszcze chodził do szkoły. Na okładce widniał napis „Fizyka dla początkujących. Podręcznik szkolny”.

– Nic, trzeba sprytnie ominąć strażników i zagarnąć wszystko, co się nam po prostu należy tak samo, jak pirackiemu psu musztarda – rzekł Brudnobrody i splunął, na wszelki wypadek, przez lewe ramię.

Chudy zaczął rozpaczliwie przeglądać podręcznik do fizyki.

– Tu nie, tu też nie, tu coś napisali... O! Napisali, że z energią trzeba obchodzić się ostrożnie, bo skutki braku rozważań mogą być opłakane.

– Nie wertuj, tylko czyn! Coś ty! Brrrrrrrracie piracie, czyś nie słyszał? Podpływamy, potem ciach, bum z armaty i wchodzimy na ich pokład po nasz hipermultinapęd! – krzyknął Walkoń. – Jak już go zdobędziemy i będzie nasz, znikniemy z prędkością światła i już nikt nas nie dogoni.

– O tak... – dumał pirat Krzywooki, który miał oczy w innych kolorach, jedno bursztynowe, drugie niemal białe. – Z naszym hipermultinapędem będziemy przemierzać morza i oceany. Nikt nie będzie nas w stanie namierzyć! Wyobraź sobie te grabieże, te rozboje, my z armaty, zdobywamy skarby i raz dwa w nogi z prędkością światła... Ha, ha, ha, będą nas szukać i szukać, i nigdy nie znajdą... Będziemy niedoścignieni!

– Tak, ale nie wiemy, jakie są możliwości tego hipermultinapędu.

Nie wolno ryzykować, gdy w grę wchodzi potęga, o której nam się dotąd nie śniło – przestrzegał Chudy, ale nikt go już nie słuchał.

Tej nocy piracki okręt podpłynął do książęcego statku bezszelestnie. Nawet ryby w morzu nie zauważyły intruza. Jedna mała syrenka dziwiła się tylko, bo tej nocy żadna z jej siostr nie zaśpiewała. A było to raczej niespotykane, gdyż syreny snują swoje melodyjne pieśni długimi nocami. Dopiero za dnia skrywają swe wdzięki w głębinach mórz i oceanów, by nie dostrzegli ich ciekawscy marynarze.

Noc była ciemna jak dusza Brudnobrodego. Książę schował się za ciemnymi chmurami, gwiazdy postanowiły świecić w innych zakątkach świata. Wokół panowała całkowita ciemność.

Gdy piracki okręt podpłynął do książęcego statku, piraci sprawnie przerzucili liny na drugi pokład. Kiedy Walkoń i Krzywooki zobaczyli, że część ich załogi opanowuje już w ciemnościach statek nieprzyjaciela, bez wahania odpalili armaty.

– Raz, daw, trzy i... Buch!

Nocną ciszę przerwał grzmot i ogromny słup ognia rozświetlił ciemne niebo i morskie odmęty.

– Ratunku, pomocy, piraci! – wołał ktoś na książęcym pokładzie.

– Do broni, gamonie! – krzyczał Brudnobrody.

Straż dzielnie stawiała opór, lecz nie miała szans z okrutnymi i zdeterminowanymi złoczyńcami. Bitwa trwała całą noc, a syreny śpiewały, jakby wzywały sprawiedliwość i rozsądek dla tych, którzy odważyli się rozpocząć okrutną walkę.

Brudnobrody wszedł wreszcie na pokład książęcego okrętu. Był bardzo pewny siebie, majtkowie donieśli mu o rychłym zwycięstwie. Zszedł pod pokład, pomimo wielu przestróg. Zlekceważył proszących o litość marynarzy, a także nie posłuchał rad ministrów, wiernych towarzyszy księcia.

– Gdy tylko spojrzysz na to źródło energii, zginiesz! – mówili mądrzy doradcy.

– Ha, jakoś nie przypuszczam! Arr... – odpowiadał pirat i spluwał przez lewe ramię, aby nie zapeszyć.

Wreszcie Brudnobrody doszedł do książęcej komnaty i z impetem kopnął w drzwi prowadzące do multihipernapędu. W jednej chwili wszystkich ogarnęła jasność, kapitan musiał aż przysłonić oczy. Z przymkniętymi oczami podszedł do otwartej szkatuły. Bił z niej oślepiający blask, a dźwięk, który z niej dochodził był nieznośny, jakby tysiące szerszeni brzęczało tuż przy jego uchu.

– Mam cię! – krzyknął kapitan i wyciągnął rękę, by położyć ją na skarbie.

Gdy tylko to uczynił, niesamowita jasność zaczęła go palić żywym ogniem, a on, przez moment poczuł, że pochłania go piekło... Potem już nic nie czuł, bo zniknął w tej jasności. Rozpłynął się jak we mgle i tylko jeden złoty ząb było widać przez chwilę. Nagle ktoś zamknął skrzynię i wyniósł ją na górny pokład.

Na górze słychać było ciężkie oddechy pokonanych marynarzy i przekleństwa pirackiej braci. Książę, gdy zobaczył to pole bitwy, wyszeptał coś i uchylił wieko swego skarbu. W jednej chwili jasność tchnęła życie w dobrych i dzielnych strażników, a pochłonęła złoczyńców. W powietrzu unosił się zapach spalenizny i słychać było dźwięk brzęczących skrzydeł roju szerszeni. Marynarze przysłonili oczy, lecz już po chwili światło ukryło się ponownie w tajemniczej skrzyni.

Chudy, który jako jedyny spośród piratów przeczuwał, że nie należało ruszać

multihipernapędu nie brał udziału w rabunku. Gdy tylko nadarzyła się okazja, schował się w nadziei, że ocaleje w tej bitwie. Teraz drżał ze strachu, schowany pod podłogą.

– Wyjdź, lotrze! – rzekł książę, gdy spostrzegł pirata. – Myślałeś, że kradzież energii ujdzie wam na sucho?

– Nie, panie, ja wszystkich przestrzegałem – odparł Chudy i na znak, że nie ma złych zamiarów podniósł ręce do góry.

– Wierzę ci – rzekł książę – i jak przypuszczam – dodał, kiedy zauważył podręcznik do fizyki – domyślałeś się, że z energią należy postępować roztropnie.

– Tak, tak! – szybko odpowiedział pirat. – Właśnie tak wszystkim powtarzałem.

Książę rozejrzał się wokół i z zadowoleniem postawił skrzynię na deskach, a następnie zebrał wszystkich i przemówił:

– Bracia, oto nasze źródło życia i śmierci. Nie należy lekceważyć siły, jaką daje nam energia. Trzeba z niej korzystać z umiarem i spokojem. Nie wolno jej kraść potrzebującym, a należy się nią dzielić. Dzięki niej mogą przeżyć rzesze. Jednak potrafi też powalić największych tyranów. To dar, a taki dar trzeba szanować, daru trzeba strzec, darem trzeba się dzielić w dobrej wierze.

Wieść o porażce pirackiej załogi rozniosła się bardzo szybko, w każdą stronę świata, co było zasługą syren. Odtąd każdy, kto poznał tę historię, przestrzegał słów księcia, dzięki czemu na świecie zapanował porządek.





Izabela Barankiewicz

7 CZYSTA I DOSTĘPNA
ENERGIA



Odnawialne źródła energii

Cała planeta Ziemia
Z kłopotem się boryka.
Groźny dwutlenek węgla
Atmosferę przenika.

Z kopalni i kominów,
Ze spalin samochodów,
Otacza nas wciąż chmura
Niebezpiecznego smogu.

Gdy smog nas gryzie w oczy,
Dym niszczy środowisko,
Co my możemy zrobić,
By ocalić to wszystko?

Ochroni nas jedynie
Postępowa, specjalna,
Nasza nowa nadzieja –
Energia odnawialna!

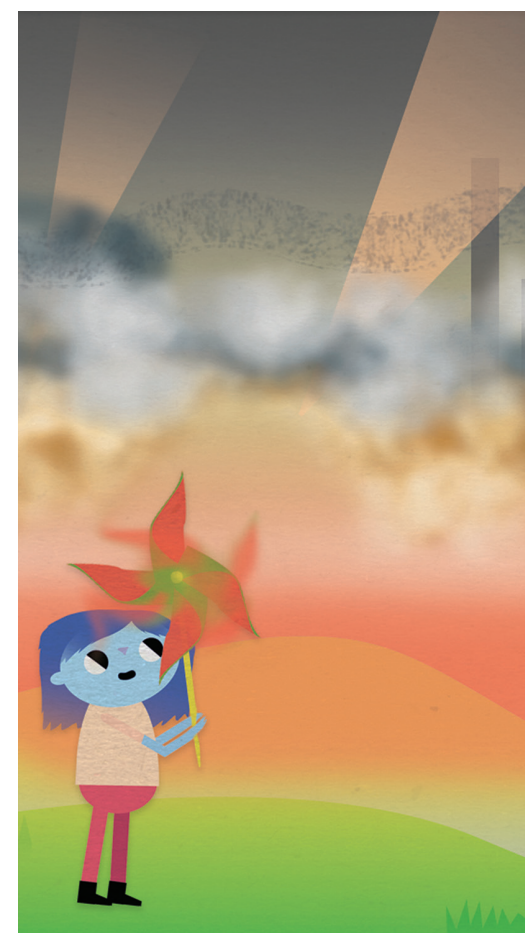
Nie z paliwa ma siłę,
Lecz czerpie ją z natury!
Z wiatru, słońca i ziemi,
Nawet śmieci niektórych!

W procesach oczyszczania
Ścieków i środowiska
Można też biopaliwa
Naturalne uzyskać.

Także z wody – fal, prądów,
Można czerpać zasoby.
Są na to technologie,
Nowoczesne sposoby.

A co w tym najważniejsze:
Zasoby odnawialne
Nie dosyć, że są zdrowe –
Są niewyczerpywalne!

Oznacza to, że zawsze
Wykorzystać możemy
Energję odnawialną –
a spalin już nie chcemy!





Kinga Kuszak



Jak Józek i Jagódka znaleźli zatrudnienie

Daleko od wielkiego miasta, a nawet od ruchliwej drogi znajdowała się mała wieś. Ot, zaledwie kilka domków sąsiadujących ze sobą. Droga do wsi prowadziła przez lasy i łąki. Była wąska, wąziutka, wąziuteńka... Tak wąska, że tylko wprawny kierowca mógł ją pokonać i do tego tylko średniej wielkości samochodem. Większy pojazd, nie mówiąc już o autobusie, nie zmieściłby się na polnej drodze. Zatem, jak łatwo się domyślić, do wsi rzadko przybywali goście.

Mieszkańcy słynęli w okolicy z pracowitości i solidności. Zajmowali się uprawą roli oraz hodowlą krów, kur, kaczek i gęsi. Wszystkim dzielili się sprawiedliwie, a to co zostało, zawozili na targ do miasteczka, by sprzedać z zyskiem.

Jak zawsze rano, Franciszek pakował do swojego niedużego samochodu wszystko, co mieszkańcy wsi chcieli, aby zostało sprzedane na targu. Pojazd był wypełniony po dach dorodnymi jabłkami, pachnącymi gruszkami i soczystymi śliwkami. Mężczyzna zatrzasnął drzwi bagażnika, usiadł za kierownicą i poczuł intensywny zapach świeżo zerwanych pomidorów, papryk, kiszonych i młodych ogórków oraz kapusty.

– No to w drogę, mój koniku! – poklepał kierownicę i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Jechał wąską dróżką. Codziennie pokonywał tę drogę, więc miał już wprawę. Tak dobrze znał każdy kamyczek na drodze, każdą nierówność i każdy jej zakręt, że z pewnością mógłby dojechać do miasteczka z zamkniętymi oczami. Wiedział, gdzie trzeba zwolnić i jechać bardzo ostrożnie, bo droga stawała się grząska albo tu czy tam wystawały korzenie ogromnego dębu. Doskonale znał odcinki trasy, na których mógł bezpiecznie docisnąć pedał gazu i nieco przyspieszyć. Otworzył okno i radował się promieniami jesiennego słońca. Jechał i pogwizdywał swoją ulubioną melodię... Niespiesznie zbliżał się do miasteczka. W oddali widział już dachy domów.

– Za chwilę będę na targu – pomyślał. – Sprzedam wszystko szybko i wracam do żony i dzieci. Taki piękny dzień, zdążymy jeszcze pobawić się w ogrodzie. Maluchy bardzo lubią biegać wśród drzew i chować się między krzewami. Tak, trzeba wykorzystać ten czas, póki nie ma zimy... Eh! Po pięknej jesieni zawsze nadchodzi mroźna zima...

Nagle w oddali dostrzegł postać. Właściwie dwie. Stały na środku dróżki. Zatrąbił. Dwie sylwetki drgnęły, ale nie ruszyły się z miejsca.

– Co to ma być? – pomyślał zdumiony Franek. – Nie słyszą?

Wysiadł z samochodu. Był już blisko, tak blisko, że mógł wyraźnie zobaczyć ich rysy twarzy. Zatrzymał samochód, wysiadł z niego i już chciał zrobić wielką awanturę, gdy spojrzał na twarze nieznajomych... Zobaczył w nich coś, co powstrzymało wybuch emocji. Chłopak i dziewczyna byli niemal identyczni, obydwójce mieli blond włosy do ramion i do tego w całkowitym nieładzie. Ubrani byli w lniane koszule, spodnie i sportowe buty.

– Przepraszamy, jesteśmy z daleka, idziemy do miasteczka. Czy mógłby pan nas zabrać ze sobą? – zapytała nieśmiało dziewczyna. Franciszek spojrzał na wędrowców. Dopiero teraz dostrzegł, że dźwigają ogromne plecaki.

– No cóż, mam niewiele miejsca – odpowiedział. Po chwili jednak dodał – Wsiadajcie! Jakoś się zmieścimy – pomógł nieznajomym zapakować plecaki, otworzył drzwi i zaprosił ich do samochodu. Niespiesznie ruszył.

– Co was sprowadza w nasze strony? – zapytał. – Jesteście na wakacjach, w podróży?

– Szukamy pracy – odpowiedziała dziewczyna. – Tam, skąd pochodzimy nie ma dla nas zajęcia, więc podróżujemy po całym kraju z nadzieją, że ktoś nas zatrudni.

– A co umiecie robić? – zapytał zaciekawiony Franciszek.

– Wyplatamy koszyki – z powagą odrzekł chłopak.

– Co? – zapytał Franek i zaczął się śmiać. – Pytam poważnie, co umiecie robić? Czym się zajmujecie?

– Widzisz, on też się śmieje. Nie znajdziemy pracy w miasteczku, bo poza wyplataniem koszyków nic nie potrafimy – ze smutkiem wyszeptala dziewczyna i wielka łza spłynęła jej po policzku.

– Nie, nie to miałem na myśli – Franciszek zawstydzil się. Nie chciał przecież urazić podróżnych. – Kto w dzisiejszych czasach zajmuje się wyplataniem koszyków? Czy koszyki są potrzebne?! Przecież wszystko pakuje się do foliowych lub papierowych toreb i gotowe! Tak jest łatwiej i wygodniej – mówił, co mu tylko ślina na język przyniosła.

Chłopak i dziewczyna milczeli zawstydzeni. Gdy tylko dojechali do miasteczka, pożegnali się szybko. Franciszek udał się na targ. Dorodne owoce i warzywa szybko znalazły nabywców i zadowolony z siebie mężczyzna mógł wracać do domu. Zanim ruszył, poszedł do ulubionej cukierni, w której jak zwykle kupił słodkie drożdżówki dla wszystkich mieszkańców wioski.

Jechał już do domu i powinien być zadowolony, bo przecież sprzedał wszystko szybko i do tego w dobrej cenie, będzie miał też dużo czasu na zabawę z dziećmi oraz rozmowę z żoną. Jednak coś nie dawało mu spokoju. Ciągłe myślał o dziewczynie i chłopaku, których spotkał w drodze na targ.

Kiedy dotarł na miejsce, rozdzielił zarobione pieniądze sąsiadom i poczęstował ich pysznymi drożdżówkami, na które wszyscy czekali z niecierpliwością, bo zbliżała się pora podwieczorku. Pomimo udanego dnia, Franciszek był niespokojny. Jak zazwyczaj usiadł z żoną do popołudniowej kawy. Nie miał jednak ochoty na pachnące słodkości.

– Spotkałem dzisiaj dziwnych podróżnych – powiedział w końcu do żony, która doskonale wyczuwała, że coś trapi Franciszka. Opowiedział jej całą historię.

Kiedy skończył, żona spojrzała mu w oczy i powiedziała ze smutkiem:

– Wiesz, Franku... Szkoda, że ich nie wysłuchałeś. Może wtedy dowiedziałbyś się skąd pochodzą i co potrafią. Może trzeba było pomóc tym nieznajomym? – zamyśliła się.

– Ale w jaki sposób? – zapytał Franciszek. – Przecież w dzisiejszych czasach nikt nie używa i nie potrzebuje ręcznie wyplatanych koszyków.

– Mylisz się, kochany – powiedziała żona łagodnym głosem. – Pomyśl, jak pięknie wyglądałyby nasze warzywa i owoce na targu, gdybyśmy wystawiali je w takich pięknych, wiklinowych koszach. A tobie byłoby łatwiej je przewozić. Moglibyśmy też przechowywać zapasy na zimę w dużych plecionych pojemnikach...

– Jak zwykle masz rację – odpowiedział Franciszek. – Szkoda, że nie pojechałaś ze mną do miasteczka. Przy tobie nie popełniłbym takiego błędu – powiedział zawstydzony.

Franciszek dopił kawę, ale drożdżówki nie tknął, chociaż pachniała bardzo zachęcająco. Zatraskany poszedł bawić się z dziećmi. Zabawa z maluchami trwała do wieczora. Następnego dnia, tak jak zwykle wczesnym rankiem czekał na sąsiadów przed swoim niedużym, ale wygodnym samochodem. Odbierał od wszystkich produkty przeznaczone na targ.

– Pamiętaj, Franuś – powiedziała pani Malinowska. – Powiedz, że te pomidorki, te malinowe rosły na słońcu i są ekologiczne. Wiesz przecież, podlewam je mieszaną z polnych ziół. Dlatego są tak wyjątkowo smaczne!

– Tak, tak, pani Malinowska, pani pomidorki sprzedają się błyskawicznie! Całe miasteczko na nie czeka! – odpowiedział i mrugnął do starszej pani figlarnie. Zapakował warzywa i ruszył w drogę do miasteczka. Nie odjechał jeszcze daleko, gdy na wąskiej drodze zauważył dwa cienie. Czyżby to byli podróżnicy? Tak, dziewczyna i chłopak szli w jego stronę. Zatrzymał się.

– Może was podwiozę? – zaproponował.

– W miasteczku nikt nie jest zainteresowany naszymi umiejętnościami, nie znaleźliśmy tam zajęcia dla nas. Musimy szukać dalej – powiedział chłopak.

– Chwileczkę, chyba mam dla was propozycję. Wskakujcie do samochodu. Opowiecie mi, co dokładnie potraficie robić i wtedy zobaczymy. Możliwe, że będę mógł wam pomóc – powiedział Franciszek.

– Mieszkamy w małej wsi daleko stąd – zaczęła dziewczyna. – Wszyscy z naszej wioski pracują w dużych miastach w wielkich korporacjach. Codziennie tam dojeżdżają i dobrze zarabiają. A my, tak jak nasi rodzice, dziadkowie i pradiadkowie zawsze zajmowaliśmy się wyplataniem koszy. Kiedyś ludzie kupowali wiklinowe koszyki, dzisiaj wszyscy używają plastikowych worków, sam zresztą to przyznałeś – przerwała i zamyśliła się.

– Tak, tak – odpowiedział Franciszek. – Mimo to mam dla was propozycję. Jak szybko potraficie wypleść koszyk? – zapytał.

– Jesteśmy w tym najlepsi. Wszystko, czego potrzebujemy mamy w plecakach. Mów, co trzeba zrobić, a w kilka minut wypleciemy najwspanialsze kosze! – zawołali niemal jednocześnie.

– Znakomicie! – ucieszył się Franciszek. – Zabieram was na targ i tam wszystko wyjaśnię.

Na miejscu poprosił, aby Jagódka i Józek wyplekli kosze, w których mógłby wyeksponować dorodne ogórki, pomidory, kabaczki, cukinie, jabłka, gruszki, śliwki oraz inne warzywa i owoce. Rodzeństwo z zapalem zabrało się do pracy. Pracowali tak szybko i sprawnie, że Franciszek aż zagwizdał z podziwu. Spod ich rąk wychodziły prawdziwe dzieła sztuki. Mieszkańcy miasteczka nie mogli przestać się zachwycać, gdy patrzyli na dorodne owoce i warzywa zaprezentowane w pięknych wiklinowych koszach. Dzięki ładnej ekspozycji, Franciszek sprzedawał wszystko jeszcze szybciej i o wiele drożej, niż zwykle. Kiedy dzielił się z Jagódką i Józkiem zyskiem ze sprzedaży, zaproponował:

– Pojedźcie ze mną do mojej wsi. Jest niewielka, ale ludzie są życzliwi i pracowici. Znajdzie się też dla was jakiś kąt i praca.

I w taki oto sposób Jagódka i Józek mogli zająć się tym, co potrafili robić najlepiej i co naprawdę kochali, czyli wyplataniem koszyków. Byli w tym prawdziwymi mistrzami! Mieszkańcy wsi i miasteczka szybko docenili ich talent. Rodzeństwo nieustannie otrzymywało zamówienia na wiklinowe kosze, skrzynie, wyplatane krzesła, stoliczki, a nawet na wiklinowe zabawki. Zaczęli wyplatać też huśtawki i ogrodowe rzeźby, które mieszkańcy wioski ustawiali w ogrodach i przed domami. Wiklinowe cuda Jagódki i Józka cieszyły się powodzeniem nawet w dalekich miastach. Dzięki ich twórczości wieś, w której zamieszkali stała się sławna i nazwano ją Plecionką.



Kamila Jasińska

9 INNOWACYJNOŚĆ,
PRZEMYSŁ,
INFRASTRUKTURA



O tym jak Struzik odmienił życie przyjaciela

Krople deszczu spadały z nieba i uderzały w ogromne liście palm, bananowców oraz cyprysów tak głośno, że nie było słyhać nic więcej. Struzik siedział w drewnianym domku i obserwował przez okno piękny ogród, dzieło swojego życia. Przyglądał się, jak bardzo w ostatnim czasie zmieniło się jego ulubione miejsce. Ogród był duży i tak bujnie porośnięty, że nie było widać, gdzie się kończył. Poświęcił temu miejscu bardzo dużo czasu i włożył wiele pracy, żeby wyglądało tak jak teraz. Prawdą jest, że tak naprawdę niczego by nie osiągnął, gdyby nie jego pomysłowość, zaradność i wytrwałość. Kiedy patrzył na ogród, zdawał sobie sprawę z tego, że już dawno nie opuszczał jego granic. Uznał, że dzisiejsza deszczowa pogoda to dobra okazja do spaceru. Po chwili namysłu wpadł na pomysł, że odwiedzi swojego starego przyjaciela – Drzewo, które rosło bardzo daleko od ogrodu. Mimo odległości Struzik uznał, że wybierze się do niego i zobaczy, jak przyjaciel radzi sobie w taką pogodę.

Zrobił tak, jak zaplanował. Nabral do bukłaka wodę z potoku i wyruszył w drogę. Już w trakcie pierwszych godzin marszu zauważył, że droga wiele się nie zmieniła od ostatniego razu, kiedy nią szedł. Wciąż była piaszczysta, poślizka, a co najdziwniejsze nie wyrosły przy niej żadne nowe rośliny. Po kilku godzinach marszu zrobiło się bardzo gorąco. Nie padał już deszcz, ale świeciło mocno słońce. Struzik był już bardzo spragniony i co chwilę pił wodę z bukłaka. Mimo zmęczenia maszerował dzielnie, aby jak najszybciej odwiedzić przyjaciela.

Wreszcie dostrzegł w oddali korony drzew. Jedna z nich należała do jego przyjaciela. To był znak, że jest już naprawdę blisko. Na pierwszy rzut oka liście wydawały się soczyste, zielone i cudownie ozdabiały bardzo wysokie i potężne pnie. Jednak gdy nasz bohater zbliżył się do drzew, zauważył, że wiele z nich nie wyglądało ładnie i zdrowo. Były szare, pochyle i pozbawione zielonych liści, a na ich pniach widoczne były dziwne, pomarańczowe kształty. Na początku pomyślał, że to pomarańcze, jednak gdy zbliżył się na odległość kilku metrów, spostrzegł, że były to kółka namalowane farbą. Rozejrzał się ze zdziwieniem. Starł się przypomnieć sobie, gdzie rosło zaprzyjaźnione Drzewo. Myślał, że bez problemu rozpozna przyjaciela, bo Drzewo zawsze wyróżniało się tężyzną na tle swoich kolegów. Jednak nie dostrzegł go wśród zielonych roślin, więc podszedł w stronę tych, które były oznaczone farbą. Nagle je ujrzał. Drzewo stało przed nim, wielkie, stare, ale przede wszystkim jakieś suche, poszarzałe i zmęczone.

– T... to... niemożliwe! – wykrzyknął zdziwiony Struzik. – To naprawdę ty?

Odpowiedziało mu tylko echo. Po chwili, stare i pomarszczone Drzewo powoli

unosło jedną powiekę i popatrzyło na małego bohatera.

– Proszę, proszę – wysapało. – Witaj, Struziku. Już myślałem, że nigdy więcej się nie zobaczymy.

– Bardzo się zmieniłeś od naszego ostatniego spotkania – odparł Struzik.

– Wyglądasz na zmęczonego, coś się stało? Cemu masz wymalowany brzuch? – zasypał go pytaniami.

– Ach, brzuch... Szkoda gadać. Wiem, nie wyglądam zbyt okazale – odparł ze smutkiem. – Mam teraz więcej dziur w swojej korze, powoli zjadają mnie szkodniki, a przede wszystkim bardzo chce mi się pić...

Gdy Drzewo wymieniało wszystkie swoje dolegliwości, Struzik zamyślił się i ze smutkiem obserwował świat dookoła. W końcu przerwał przyjacielowi i zadał kolejne pytania:

– Mój drogi, a gdzie się podziały wszystkie rośliny, które zawsze rosły wokół ciebie? Dlaczego ich tu nie ma? Dlaczego tak smutno wyglądasz?

– Oj, Struziku, może i byłem kiedyś silny, ale pogoda ostatnio mocno nam dokucza. Jeśli świeci słońce to tak bardzo, że usycham z pragnienia. Jeśli wieje wiatr to tak mocno, że opadają mi wszystkie liście, a jeśli pada deszcz, to tak krótko, że nawet nie zdążę się napić. Poza tym zazwyczaj towarzyszy mu burza – narzekalo Drzewo. – Widzisz tamte zielone drzewa? Są młodsze ode mnie i zdołały przystosować się do nowych warunków. Ich liście są silniejsze, a gałęzie bardziej sprężyste. Niestety na nie również przyjdzie czas. Tymczasem cała reszta, my wszyscy oznaczeni pomarańczową farbą, nadajemy się już tylko do... – tłumaczyło zasmucone Drzewo, jednak nie zdążyło dokończyć, ponieważ Struzik przerwał mu z entuzjazmem:

– To fantastycznie!

Na chwilę zapadła cisza, gdyż Drzewo kompletnie nie spodziewało się takiej reakcji na swoje narzekania. Struzik, widząc jego zaskoczenie, zmieszał się trochę, lecz szybko pospieszył z wyjaśnieniem:

– Przyjacielu, ja też zmagalem się z wieloma problemami, na które nie miałem większego wpływu. Jednak głęboko wierzę, że ze wszystkim można sobie poradzić!

Struzik doskonale wiedział, że każdą sytuację w życiu, nawet tę najbardziej fatalną można wykorzystać i zmienić w coś nowego i lepszego. Już nie raz przekonał się o sile tej mądrości. Drzewo patrzyło na niego z niedowierzaniem.

– Zawsze lubilem cię za to, że miałeś szalone pomysły, Struziku, ale mnie już nic nie uratuje, nikt nie może mi pomóc. Chcesz wiedzieć, dlaczego mam wymalowany brzuch? – spytał z rozpaczą. – Pomalowano tak wszystkich, których nie da się już uratować. Jesteśmy przeznaczeni do ścięcia, Struziku! – zawołało Drzewo głosem pozbawionym jakiegokolwiek nadziei. Struzik posmutniał. Nie spodziewał się takiego wyjaśnienia. Jednak po chwili namysłu uznał, że spróbuje zawalczyć o przyjaciela.

– Przykro mi mój drogi, że przestano w was wierzyć i pozbawiono nadziei. Jestem jednak przekonany, że nie wszystko jeszcze stracone! – Drzewo słuchało zrezygnowane, choć zaciekawione. – Wiem, że ciężko wam poradzić sobie z panującą tu pogodą, ale musicie połączyć siły, otworzyć umysły! – Struzik nie zobaczył entuzjazmu wśród drzew, więc szybko zaczął wymieniać swoje pomysły. – Jeśli pada mocno deszcz, możecie wspólnie połączyć swoje korzenie i stworzyć w ten sposób wielki zbiornik wodny, z którego skorzystacie w czasie suszy. Dzięki temu na gałęziach pojawią się młode

listki, silne, które wytrzymają najsroższy podmuch. Z wiatru możecie pozyskać siłę, dzięki której wyprostujecie się i znowu będziecie wysokie i potężne. Mój przyjacielu, będziesz mógł dać więcej cienia i chłodu zwirzętom, które nakarmisz owocami ze swoich gałęzi. Co więcej, owoce te pięknie cię przyozdobią.

– Struziku, Struziku! – wtrąciło Drzewo. – Ale...

– Dziupla! – nie dał sobie przerwać podekscytowany Struzik. Opowiadał z takim przejęciem, że ciężko było za nim nadążyć. – Wnętrze starej dziupli może się ogrzać, kiedy świeci słońce. Rozchyl gałęzie i daj jej się ocieplić, a wtedy i ty będziesz czuł więcej ciepła, nawet podczas burzy!

– T... tak... ale... – nie wytrzymało Drzewo. – Możliwe, że wszystkie twoje pomysły są dobre i okazałyby się przydatne, ale ja nie mam już siły. Nie mam nawet odrobiny nadziei, a na dodatek te korniki... Drażnią mnie!

Drzewo nie musiało długo czekać na odpowiedź Struzika. Niezrażony od razu zaczął wymieniać kolejne pomysły.

– Ależ i to da się rozwiązać! Jeśli zaświeci słońce, a ty wypijesz dużo wody, pojawiają się listki na twoich gałęziach oraz nowe roślinki przy twoich korzeniach. Zachęca one zwierzęta i ptaki, aby częściej cię odwiedzały. Być może wśród nich znajdzie się dzięcioł, który powyjeżdża męczące cię robaki – w oczach Drzewa pojawiła się isierka nadziei.

Struzik dostrzegł, że pozostałe drzewa również mu się przysłuchują z ciekawością. Nie zauważył jednak, że za jego plecami pojawiła się ogromna, czarna chmura.

– Będziesz mieć, mój drogi przyjacielu, lepszą ochronę niż ogród, w którym mieszkam!

– A jaki jest twój ogród, Struziku? – zapytało Drzewo.

– Jest ogromny! Czasem mam wrażenie, że można się w nim zgubić – zażartował. – Mam ciepłą chatkę, którą ogrzewają promienie słońca, a także specjalny zbiornik wymalowany czarną farbą, w którym zbiera się woda i ją również nagrzewa słońce. W moim ogrodzie rośnie mnóstwo owoców, dzięki którym zamieszkały u mnie rozmaite zwierzęta i teraz bronią wejścia do mojego ogrodu. Nie musiałem się martwić, że zostawiam ogród bez opieki i mogłem cię odwiedzić.

Gdy skończył, spojrzał za siebie i ujrzał ogromną, czarną chmurę, którą nagle rozświetliła błyskawica, a powietrze przeszył świst i huk burzowego grzmotu. Zerwał się potężny wiatr, tak silny, że Struzik stracił na chwilę równowagę.

– Struziku! – krzyknęło ożywione Drzewo. – Schowaj się pomiędzy moimi korzeniami! Prędko!

Jednak Struzik nie zamierzał posłuchać przyjaciela. Zamiast tego, zaczął biegać między zleknionymi drzewami i zaczął dyrygować wszystkimi.

– Hej! Wy, dwaj! Połączcie się korzeniami! Szybciej! – krzyczał, a jego głos niki w szumie wiatru. Drzewo przestało go słyszeć. Zaczęła się ulewa. Po chwili stracił go z oczu. Był tak przerażony, że nie wiedział, co się dzieje. Bał się, że straci przyjaciela. Na szczęście, po chwili w ścianie deszczu ujrzał mały zielony punkcik, który biegł w jego kierunku. To był Struzik! Mały, zielony stworek. Wydawało mu się, że coś do niego krzyczy. Struzik położył się pod jego wystającymi korzeniami i zawołał – To wasza ostatnia szansa,

spróbuj poruszyć swoimi korzeniami i połącz je z korzeniami sąsiada!

Drzewo było przerażone, ale odwaga Struzika dodała mu otuchy. To naprawdę była jego ostatnia szansa. Wzięło głęboki oddech i z całych sił poruszyło korzeniami. Wyciągnęło się jak najmocniej tylko potrafiło, aż po chwili poczuło, że dotarło do swojego sąsiada. Razem spleli mocno korzenie i trzymali z całej siły.

– Dalej, teraz z drugiej strony! – krzyczał Struzik, a Drzewo posłuchało go i wyciągnęło korzenie. Gdy poczuło, że chwyciło się sąsiadów z obu stron, otworzyło oczy. To, co ujrzało przed sobą, zupełnie je zaskoczyło. Oto przed nim z minuty na minutę powstawał coraz większy staw, ogromny zbiornik wody, który napelniał się wodą coraz bardziej i bardziej.

Gdy burza ustała, pozostali również zaczęli niepewnie i powoli otwierać oczy. Struzik wyszedł spod konarów. Rozejrzał się. Stał przed wielkim stawem, z którego pily wodę wszystkie uradowane drzewa. Natychmiast po burzy wyszło słońce, w świetle którego zaczęły wyrastać zielone pąki. Struzik wiedział, że odniósł sukces. Drzewa również to zrozumiały i zabrały się do roboty. Zielony bohater postanowił, że zostanie jeszcze przez kilka dni i pomoże im odbudować tę jakże zniszczoną krainę. Wiedział, że jego ogrodowi nie grozi nic złego, przecież strzegli go jego wierni mieszkańcy.

Po kilku dniach ciężkiej pracy w okolicy zaczęły pojawiać się pierwsze zwierzęta. Struzik pomógł ptakom założyć gniazda na drzewach. Zielony bohater usiadł nad brzegiem stawu i spojrzał z zadowoleniem na to, co udało im się razem stworzyć.

– Struziku, nie wiem jak mam ci dziękować! – powiedziało nieśmiało Drzewo. – Byłem taki zrezygnowany, uwierzyłem, że nadaję się tylko do ścięcia...

– Więcej wiary, przyjacielu!

Struzik nie powiedział nic więcej. Roześmiał się tylko głośno i podśpiewując, wskoczył z radością do stawu, a jego wokalowi towarzyszył rytmiczny stukot dzięcioła, który usiadł na Drzewie, aby się pożywić.



Kinga Kuszak

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Historia o mrówkach

Czy byliście kiedyś na wycieczce w lesie? Na pewno! Czy podczas leśnej wędrowki zdarzyło Wam się znaleźć mrowisko, ukryte wśród rozłożystych krzewów lub wysokich drzew? Zapewne tak! Czy mogliście zatrzymać się i przyjrzeć się jego mieszkańcom? Mam nadzieję, że tak. Czy mieliście czas, aby w spokoju obserwować pracowite mrówki? Nie wiem... Posłuchajcie zatem historii o mrówkach.

Na środku wielkiego lasu porośniętego dorodnymi drzewami, była polana, na której kwitło mnóstwo leśnych kwiatów i wonnych ziół. Pośród traw wznosiły się dwa mrowiska. Pierwsze dostrzec można było z daleka. Znajdowało się na niewielkim wzniesieniu, w cieniu rozłożystego dębu. Było niezwykle okazałe, imponowało przede wszystkim swoim rozmiarem i było je widać z każdego miejsca polany. Drugie zostało zbudowane w dolince i było ukryte wśród wysokich traw. Stąpając nieuważnie, można było je niechcący zniszczyć. W jednym i drugim mrowisku mieszkaly pracowite, uczciwe i dobre mrówki. Wiodły jednak zupełnie inne życie.

Te żyjące na wzgórzu często wygrzewały się na słońcu, a gdy przychodził letni skwar, chroniły się w cieniu drzewa. Ze swojego wzgórza z łatwością dostrzegały wszelkie niebezpieczeństwa i mogły się do nich przygotować. Kiedy padał deszcz, mrówki chroniły się na wyższych piętrach mrowiska i czekały, aż krople deszczu spłyną w dół polany. Ze szczytu mrowiska doskonale widziały, gdzie znajdują się najlepsze w całej okolicy mrówcze przysmaki. Kiedy tylko je ujrzały, szybko zbiegały, chwytaly je i przynosiły do spiżarni, w której przechowywano obfite zapasy. Mieszkańcy tego mrowiska nigdy nie zaznali głodu ani zimna.

Drugie mrowisko, znajdujące się w dolince, co chwila podmywał deszcz, który niestety dość często padał w tym regionie. Czasem opady były tak intensywne, że przy mrowisku tworzyły się wielkie kałuże. Bywało i tak, że woda przykrywała niemal całe mrowisko, a biedne małe mrówki musiały z niego szybko uciekać i chować się w pobliżu pod krzewami. Kiedy opady ustawały, przemoczone i przemarznięte mrówki zabierały się do renowacji zniszczonego domu. Były doskonałymi budowniczymi, do perfekcji wypracowały też zasady współpracy. Po każdym deszczu ich dom zostawał błyskawicznie naprawiony, wszystkie dziury załatane, korytarze i komnaty naprawione, a mieszkańcy mogli zająć się uzupełnianiem utraconych zapasów żywności. Musicie wiedzieć, że rwąca woda porywała wszystko, co znajdowało się w mrowisku. Zapasy trzeba było gromadzić od nowa. Mrówki czyniły to cierpliwie i wytrwale.

Gdy mieszkańcy dużego mrowiska magazynowali kolejne rezerwy jedzenia, zapelniali pełne już spiżarnie, rozbudowywali korytarze i modernizowali pomieszczenia, mieszkańcy małego mrowiska zajmowali się naprawianiem tego, co zniszczył deszcz.

Właśnie nadszedł czas intensywnych opadów... Trwało to już ponad tydzień.

Mrówki z dolnego mrowiska opuściły swój dom i czekały na poprawę pogody. Ukryły się między liśćmi poziomek. Były bardzo przemoczone i przemarznęte. Spod liści obserwowały, jak ich dom po raz kolejny zamienia się w grudkę błota, która za chwilę przekształci się w strumień płynący wzdłuż lasu. Powoli traciły nadzieję, że choć niewielka część mrowiska ocaleje. Prawie wszystkie zapasy zostały porwane przez wodę. A deszcz wciąż padał i padał... Mrówki od kilku dni nic nie jadły. Były już bardzo głodne i wycieńczone. Niektóre, te najbardziej osłabione położyły się pod liśćmi i nie miały już siły, żeby wstać, inne kasłały, bo porządnie się przeziębiły, a najmłodsze płakały głównie z powodu głodu.

– Nie ma na co czekać – powiedziała w końcu jedna z mrówek. – Trzeba znaleźć pożywienie i schronienie, bo nie damy rady tak dłużej chronić się wśród liści.

– Uważaj na siebie Józefino! – wołały zatroskane towarzyszki, ale nikt nie zatrzymywał ochotniczki. Wszyscy wiedzieli, że w tej sytuacji nie ma innego rozwiązania.

– Nie martwicie się o mnie – odpowiedziała. – Na pewno znajdę coś, co pozwoli nam wypełnić puste brzuszki – odpowiedziała mrówka Józefina i powędrowała w stronę dużego mrowiska. Miała nadzieję, że w jego pobliżu uda jej się znaleźć choć resztki żywności. Deszcz wciąż padał, a wiatr wiał tak mocno, że mała mrówka z trudem wspinała się na wzgórze. Szła, szła i szła, pięła się do góry powoli po wąskiej dróżce i była już bardzo zmęczona.

– Stój! Kto idzie? – usłyszała w pewnej chwili. Podniosła głowę i ujrzała dwie mrówki strażniczki, które należały do dużego mrowiska. Właśnie wybrały się na codzienny obchód po okolicy, żeby sprawdzić, czy mieszkańcom dużego mrowiska nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

– Jestem Józefina z dolnego mrowiska – odpowiedziała mrówka.

– Co robisz na naszym terenie? – zapytała jedna ze strażniczek. – Nie wiesz, że to jest nasze terytorium i obcy nie powinni się tutaj kręcić?

– Wiem, przepraszam, ale deszcz zniszczył moje mrowisko, a wszyscy od kilku dni chronią się wśród liści. Nie będziemy miały do czego wracać, bo nasz dom został zupełnie zniszczony. Jesteśmy bardzo głodne, przemoczone i zmęczone. Szukam pożywienia dla wszystkich mrówek, bo od dawna nic nie jadłyśmy. Boję się, że część z nas może nie przeżyć do końca opadów.

– Chodź z nami! – powiedziała jedna ze strażniczek głosem nie znoszącym sprzeciwu i poszła wąską dróżką w stronę górnego mrowiska.

Ta stanowczość w głosie mrówki strażniczki bardzo przestraszyła Józefinę, ale nie mogła uciec. Chciała przecież pomóc mrówkom, które liczyły na nią. Posłusznie podążyła za śladami strażniczki. Gdy dotarły na miejsce, zaprowadzono Józefinę przed oblicze mrówczej królowej.

– Co cię do nas sprowadza? – zapytała królowa. Z uwagą słuchała opowieści Józefiny o małym mrowisku ukrytym wśród traw, o deszczu, który za każdym razem niszczy dom mrówek, o jego odbudowie i o tym, że mrówki od kilku dni czekają na poprawę pogody, ukryte wśród liści poziomek. Słyszając to wszystko, królowa od czasu do czasu kręciła głową i cicho powtarzała – Niemożliwe, niemożliwe... – gdy Józefina skończyła, królowa mrówek zaczęła wydawać rozkazy. – Wysłać posłańców, aby przyprowadzili tu wszystkich z dolnego mrowiska! Te, które nie będą w stanie pokonać drogi o własnych siłach, trzeba bezpiecznie przenieść na noszach! Przygotować pokoje gościnne w zachodniej części mrowiska,

a w jadalni, obfity posiłek! Trzeba nakarmić nasze sąsiadki! Musimy im pomóc!

Bez chwili zwłoki ekipa ratownicza wyruszyła w dół polany, by przyprowadzić mrówki do górnego mrowiska. Rozpoczęły się gorączkowe przygotowania do przyjęcia gości. Wszystkie tak bardzo przejęły się losem sąsiadek, że każda chciała pomóc i ugościć je najlepiej jak tylko można. Przyniosły do jadalni półmiski pełne pachnących potraw oraz dzbanki z gorącymi napojami, żeby przemoczone sąsiadki mogły jak najszybciej się rozgrzać.

Po chwili wszystko było gotowe i mrówki z wierzchołka mrowiska wypatrywały ekipy ratowniczej i gości. Strugi padającego deszczu całkowicie zasłoniły im widok i trudno było cokolwiek zobaczyć. Mrówki czekały zniecierpliwione i przejęte.

– Idą! – zawołała w końcu jedna ze strażniczek, która spoglądała w dół polany z najwyższego punktu mrowiska. – Idą! Uwaga, idą! – wołała radośnie.

– Otworzyć drzwi! Wpuścić gości! – padły rozkazy. – Należyście przyjąć gości! Ogrzać i nakarmić!

W taki oto sposób mrówki z dolnego mrowiska zostały ugoszczone w dużym mrowisku na wzgórzu. Po kilku godzinach, ogrzane i najedzone mogły pomyśleć o odbudowie zniszczonego domu. Gdy tylko przestało padać, rozpoczęły pracę. Mrówki z górnego mrowiska pomogły swoim sąsiadkom przenieść wszystko, co przetrwało ze zniszczonego domu na wzgórze, tuż obok swojego dużego mrowiska. Podzieliły się nie tylko swoim terytorium, ale również zapasami jedzenia. Mrówki z dolnego mrowiska odwdzięczyły im się przyjaźnią i pomocą.

Poznaliście historię, w jaki sposób na wzgórzu leśnej polany, bliźniutko, bo tuż obok siebie znalazły się dwa mrowiska, duże i nieco mniejsze. W obu żyją pracowite mrówki, które choć mieszkają osobno, dzielą się ze sobą wszystkimi zbiorami, wzajemnie się wspierają i troszczą o siebie. Wiedzą, że razem zawsze dadzą radę. Kiedy sobie pomagają, żyje im się lepiej i czują się o wiele bezpieczniej. W dużej grupie jest im łatwiej zmagać się z różnymi przeciwnościami losu.

Jeżeli kiedyś będziecie w lesie i traficie na leśną polanę, rozejrzyjcie się uważnie dookoła. Może wśród kwiatów i wonnych ziół zobaczycie dwa mrowiska na niewielkim wzgórzu, jedno duże, drugie nieco mniejsze. Uważajcie, by ich nie zniszczyć. Wspomnijcie wtedy małe mrówki, które żyją w zgodzie i sąsiedzkiej przyjaźni, wciąż sobie pomagają i robią to najlepiej, jak potrafią.





Katarzyna Sadowska

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI

O Bałwanku i Niedźwiadku oraz pozostałych mieszkańcach pokoju Tosi



W szklanej kuli ze śniegiem, która stała na półce w pokoju Tosi, mieszkał Bałwanek. W drugiej bardzo podobnej żył Niedźwiadek. Gdy potrząsało się kulami, białe płatki śniegu unosiły się do góry, by następnie swobodnie i powolutku opadać w dół. Tosia miała w swoim pokoju bardzo dużo różnych zabawek. Można byłoby je podzielić na kilka odrębnych zabawkowych krain. Pierwsza i najważniejsza to kraina lalek. Inną była kraina maskotek, którą Tosia interesowała się głównie wtedy, gdy miała ochotę porzucać pluszakami lub gdy chciała wtulić swoje policzki w ich mięciutkie futerka. Nie można zapomnieć o krainie książeczek, do której Tosia zawsze chętnie zaglądała. Lubiła oglądać obrazki i słuchać, kiedy czytali jej rodzice. Była też kraina klocków, jedna z najczęściej przez Tosię odwiedzanych, lecz bardzo trudna do posprzątania. W pokoju dziewczynki znajdowała się także kraina przyborów plastycznych, w której zawsze panował artystyczny nieład i kraina rzeczy potrzebnych, o które dbała raczej mama. Ta ostatnia mieściła się w szafie z ubraniami i bucikami dziewczynki, pozostałe niezbędne rzeczy znajdowały się na półkach, w koszach wiklinowych i w tzw. szafce plastycznej.

Gdy Bałwanek wyglądał ze swojego małego, szklanego świata i widział jak Tosia bawiła się maskotkami czy lalkami, robiło mu się bardzo przykro. Czasami nawet popłakiwał. Wiedział, że nigdy nie wydostanie się ze swojej kuli, a bardzo chciał, żeby i jego przytuliła Tosia, żeby mogła zabrać go też do innej krainy zabawek. Bałwanek rozmyślał o tym, że dziewczynka nigdy nie dowie się, jaki jest mięciutki i ciepłutki, a przede wszystkim nie będzie wiedziała, jak on dużo rozumie i że potrafi być wspaniałym przyjacielem. Bałwanek żałował, że Tosia nigdy nie posadzi go w kraju lalek na plastikowym krzeselku. A lalki... Jak one mają dobrze... Wygodne łóżeczka, kuchenka ze ślicznymi filiżankami, garnuszkami i do tego mają swoją Tosię. Wśród lalek tylko jedna, trochę już sfatygowana Róża (Tosia wyszorowała jej kiedyś buzię oraz włosy gąbką z płynem do naczyń) nie była akceptowana wśród dobrze ubranych i modnych lał. W krainie klocków największą popularnością cieszyły się klocki Lego. Natomiast te drewniane nie były doceniane przez ich właścicielkę.

Niedźwiadek, który również był zamknięty w szklanej kuli, miał podobne odczucia jak Bałwanek. Gdy przypominał sobie, że dawniej gościł w dużym pokoju na kominku i miał nieco szerszą perspektywę, zaczynał szlochać. Był bardzo ciekaw świata i z całego serca pragnął odwiedzić wszystkie krainy w mieszkanku. Nie było jednak na to sposobu, wciąż był uwięziony w śnieżnej kuli.

– Gdybym tak mógł wyjść ze szklanej kuli, z tej okropnej klatki i przez

przypadek wpaść do samochodu Misia Pandy... Mógłbym wtedy odnaleźć swój kraj, swoją tożsamość, a tak... Jestem tylko przywódcą krainy jednego Niedźwiadka – wzdychał Niedźwiadek. – Poza tym mogę się założyć, że zainteresowanie moją osobą przeminie wraz z zimową aurą. Och, wyląduję w koszu na śmieci!

– Tak, tak! – wtórował mu Bałwanek. – Ja też chciałbym, tak jak lalki być wolny i cieszyć się zabawą z Tosią... Teraz tylko rządę sobie i gospodaruję sztucznym śniegiem. Nikt mnie nigdy nie przytuli i nie doceni – płakał.

– Ten to ma dobrze! – mówił dalej Bałwanek spoglądając na pluszowego pieska. – Tosia wyprowadza go na smyczy, karmi plastikową kością i tuli na dobranoc...

Pomimo wielkich marzeń kule wciąż były zamknięte, a w nich uwięzione nieszczęśliwe figurki, które ani nie siadały, ani nie kładły się do łóżek, tylko wciąż stały i do tego w tych samym pozycjach.

Pewnego dnia, gdy Tosia była w przedszkolu, do pokoju przez okno wleciał wielki gawron. Biedny ptak był tak przerażony, że rozpaczliwie machał skrzydłami, fruwał bez ładu i składu po całym pokoju. Narobił ogromnego bałaganu. Najpierw przewrócił domek dla modnych lalek, potem zaplątał się w uszy pluszowego królika z krainy maskotek. Porozrzucił książeczki i zniszczył budowle z klocków, pomieszał wszystkie przybory plastyczne. Farby rozlały się i poplamily rysunki, nad którymi dziewczynka pracowała przez kilka ostatnich dni. Plastelina pozlepiała wycinanki, a pędzelki i kredki pospadały na podłogę. Na samym końcu, całkiem już przerażony gawron wleciał wprost na kulę z Bałwankiem i... Trach! Kula upadła na podłogę, rozpadła się w drobny mak. To samo przydarzyło się Niedźwiadkowi. Gawron zahaczył skrzydłem szklany dom Niedźwiadka i... Bum! Chlup! Woda, śnieg, szkło i Niedźwiadek znaleźli się na dywanie tuż obok Bałwanka.

Tata, gdy usłyszał hałas, wbiegł do pokoju i otworzył szeroko okno, by gawron mógł odlecieć. Ptak początkowo zląkł się dużego człowieka, lecz gdy zorientował się, którędy może uciec, wyfrunął tak szybko, jak spadają na niebie gwiazdy.

Pod nieobecność córeczki uprzątnął, co mógł. Poukładał wszystko według przyporządkowania do zabawkowych krain, pozbierał szkło, przybory plastyczne i spojrzał niepewnie na Niedźwiadka i Bałwanka.

– Gdzie was położyć? – zapytał tata spoglądając na dwie nieruchome figurki i nie namyślając się długo, ułożył je na jednym z łóżek w kolorowym domku dla lalek. Figurki ze szklanych kul wreszcie znalazły się w miejscu swoich marzeń, krainie wiecznej szczęśliwości. Tak przynajmniej im się wydawało...

– Co to tu leży? – zdziwiła się Anna. Spojrzała na Niedźwiadka i dodała – Fuj, jaki włochaty!

– I nie zna się na modzie! – dodała Dorota.

– A tu, jakiś okrągły dziwak bez nóg i rąk. Chyba zaraz pękne ze śmiechu! – zawołała Lila i wszystkie modne lalki zaczęły śmiać się w niebogłosy.

Nieproszeni goście spojrzeli na siebie i jednym susem wyskoczyli z komnaty tych „czarownic”, by za chwilę znaleźć się na kolanach Róży, dla której tata znalazł miejsce na parterze kolorowego domku.

– Oj, przepraszamy panią – rzekł Niedźwiadek do zaskoczonej Róży. – Nie mieliśmy zamiaru pani niepokoić.

– Hej, nic nie szkodzi, miło mi, jestem Róża. O ile pamiętam, obaj pochodzicie

z krain wiecznej, miniaturowej zimy.

– Tak, to my! – ucieszył się Bałwanek z serdecznego powitania.

– Zbyt przyjaźnie to nas nie przyjęto w twojej krainie! – poskarżył się Niedźwiadek.

– Tak, ja także nie spełniam wymagań pozostałych lalek... Traktują mnie bardzo źle – pożałowała się Róża.

– A Tosia? Czy ona cię nie broni? – zapytał Bałwanek.

– Nie, Tosia woli ładne lale, a ja jestem już stara i zniszczona. Rzadko na mnie spogląda, w ogóle już się mną nie bawi.

– A maskotki? Czy w ich krainie dzieje się lepiej, niż w twojej? – zainteresował się Niedźwiadek.

– O nie! Tam to dopiero toczą się boje... Miś to okropny dyktator. Każe czesać swoje futro potarganemu zającowi i rozprutemu kotu. Poza tym jest jeszcze pies, który przy Tosi udaje przyjaznego, a tak naprawdę warczy na każdego, kto jego zdaniem może odebrać mu względy dziewczynki – rzekła Róża.

– A klocki? Czy im żyje się lepiej? – zapytał Bałwanek, który wielokrotnie obserwował dzieci, które odwiedzały Tosię i zachwycaly się jej klockową krainą. Miał nadzieję, że choć tam jest dobrze.

– Chyba jest tam trochę lepiej, niż u maskotek. Wśród klocków są takie, które Tosia uważa za brzydkie i gorsze, więc rzuca nimi w złości o ścianę. A te z drewna... Od dawna nikt do nich nie zaglądał, nie zapytał o zdrowie, nie złożył życzeń urodzinowych. Kiedyś mi się poskarżyły, że ich czas przeminął wtedy co i mój, czyli gdy nasza Tosia skończyła dwa latka. Czują się bardzo samotne, tak jak ja...

– A książki? – dopytywał się Bałwanek. – Kraina wytworów plastycznych? Jak im się wiedzie?

– Nie pytaj! Tosia dusi z całej siły wszystkie kredki, łamie je i pędzelki też, tępi nożyczki. A książki? Ogląda tylko wtedy, gdy naprawdę się bardzo nudzi. Zresztą przekonacie się już niedługo sami. Dotąd byliście panami swoich szklanych krain, mieliście spokój, nikt nie okazywał wam pogardy. Teraz zamieszkacie w innych krainach i przekonacie się, jak to jest być nierówno traktowanym.

– Ale, ale my chcieliśmy żyć wśród was. Marzyliśmy o tym od dawna – rzekł niepewnie Niedźwiadek.

– Tak, nikt nas nie przytulał, byliśmy samotni, zamknięci i tak bardzo oddaleni od innych zabawek – dodał Bałwanek.

– I nie mieliśmy własnej krainy w tym pokoju, nie mieliśmy ojczyzny, w przeciwieństwie do was! – powiedział Niedźwiadek. Teraz zaczął się jednak zastanawiać, czy dobrze się stało, że gawron zwrócił im wolność.

– Niestety w tym pokoju wielu spośród nas traktowanych jest gorzej, niż na to zasługuje – szepnęła Róża i rozplakała się.

– A ta znów beczy! – palnęła Anna.

– No jasne, a cóż ona innego potrafi? – dodała z pogardą Dorota. – Ani się ubrać, ani umyć, ani nawet spokojnie wypić soczek z parasolką. Szkoda słów!

– Dlaczego jesteście takie niemile? – zapytał Niedźwiadek.

– Bo tak! – odparły chórem trzy modne lalki.

– A gdyby ktoś tak traktował was? Podobaloby wam się to? – zapytał Bałwanek.

– Nas tak nikt nie traktuje, bo jesteśmy ładne – odparły lalki.

– Ale Róża też jest ładna, a co więcej miła i sympatyczna – dodał Niedźwiadek. Lalki spojrzały w niebo i wybuchły gromkim śmiechem. Nic a nic nie przejęły się sytuacją rozszalonych zabawek, do których stale odnosiły się z wyższością. Podobnie szydziły z poszarpanych maskotek i nadgryzionych zębem czasu książeczek.

Dochodziła już godzina piętnasta, tata poszedł po Tosię do przedszkola.

– Witaj córeczko, miło cię widzieć. Wiesz, dziś u ciebie w pokoju zdarzył się mały wypadek – oznajmił.

– Wypadek, jaki wypadek? Czy lalki i maskotki są całe? – przejęła się Tosia.

– Tak, nie martw się. Dziś przez okno wleciał do twojego pokoju gawron i powywracał wszystko do góry nogami, ale już zabawki są na swoim miejscu.

– Dziękuję, że wszystko poukladałeś – odetchnęła z ulgą dziewczynka.

– Tak, ale szklane kule się zbiły. Niedźwiadek i Bałwanek zostali bez swoich domów – dodał tata, chwycił córkę za rękę i pomaszerowali w stronę domu.

Gdy tylko Tosia wróciła z tatą do domu, od razu pobiegła do swojego pokoju w poszukiwaniu Niedźwiadka i Bałwanka. Zauważyła ich na kolanach Róży. Podniosła całą trójkę i popatrzyła na lekko wyblakłą suknię lali, dotknęła miękkiego, gumowego brzuszka Bałwanka oraz podniosła Niedźwiadka na wysokość oczu, by lepiej mu się przyjrzeć.

– Dotąd w ogóle ich nie dostrzegałam – rzekła Tosia i przytuliła całą trójkę.

Potem usadowiła Różę na fioletowym tarasie domku dla lalek, postawiła przed nią filiżankę i talerzyk, a na leżaczku obok Róży posadziła jej nowych przyjaciół ze śnieżnych, szklanych kul. Przyglądała im się cały czas, aż wreszcie zawołała mamę.

– Mamo, czy uszyjemy wspólnie nową suknię dla Róży? Chciałabym, by ładnie wyglądała – zapytała stojącą w progu pokoju mamę, która spoglądała na dziewczynkę z wielką miłością.

– Pewnie, mam trochę materiału i satynowe lamówki. Zrobimy z Róży książniczkę! – ucieszyła się mama, bo bardzo lubiła robić pożyteczne rzeczy wspólnie ze swoją córką.

– A dla Niedźwiadka zrobimy szaliczek? – dodała Tosia zerkając na kudłatego, gumowego przyjaciela Róży.

– Pewnie, możemy mu uszyć całą kolekcję szalików. Szczególnie, że zamieszkał na tarasie, a nie pod dachem. Szaliki przydadzą mu się zwłaszcza zimą – zaśmiała się mama.

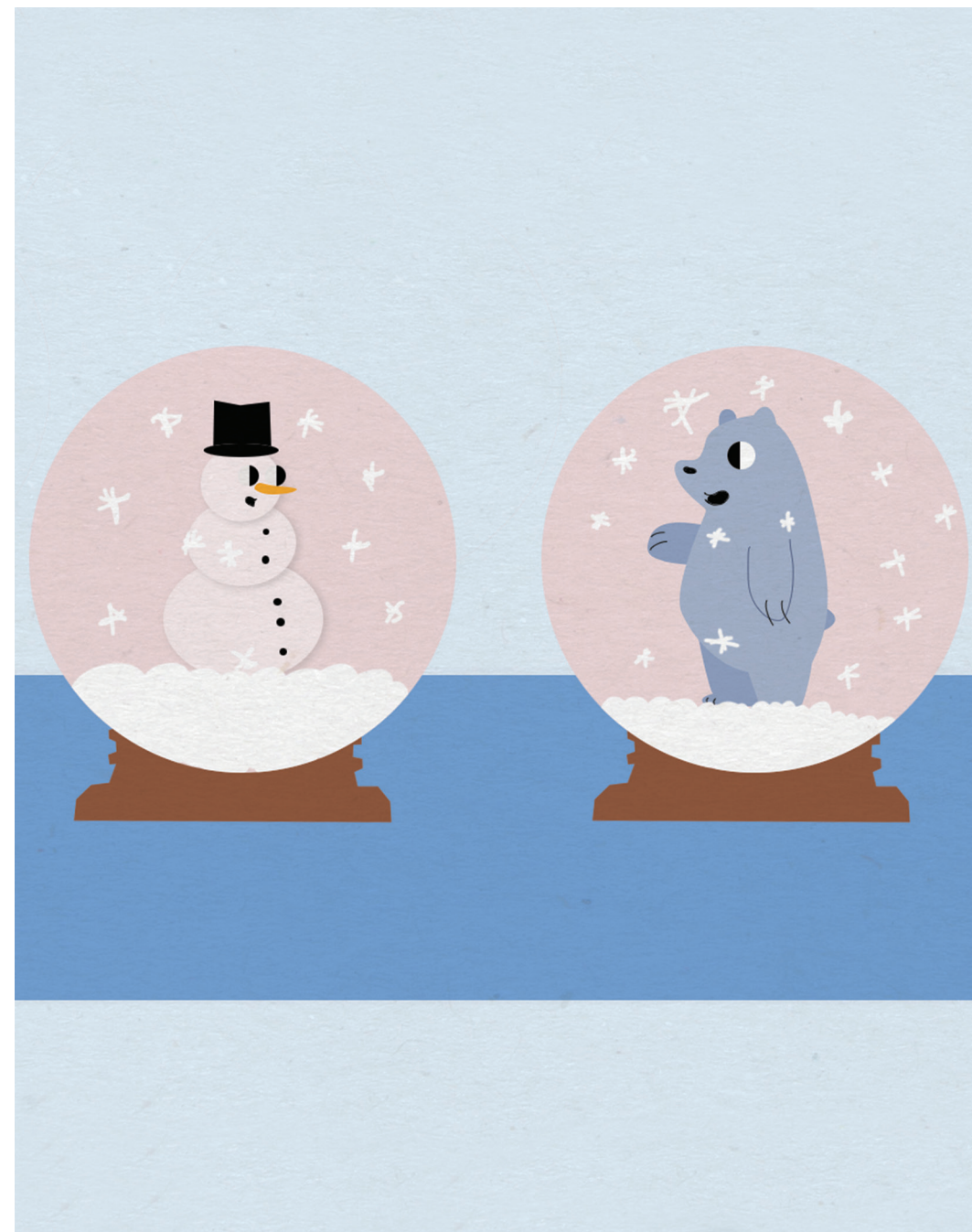
– A co dla Bałwanka? Jest taki mały, że nie wiem, czy uda nam się coś dla niego uszyć – zasmuciła się dziewczynka.

– Dla Bałwanka zrobimy puchową kołderkę i poduszkę, żeby było mu wygodniej na leżaczku. Pod pierzynką będzie mu cieplej – powiedziała mama i zabrała się do poszukiwania odpowiednich skrawków materiału.

Tosia siedziała na środku pokoju i patrzyła na wszystkie krainy zabawek.

– Od dziś będę o was wszystkie bardziej dbać, bo każda z was jest moja i jedyna w swoim rodzaju. Jestem waszą opiekunką i was potrzebuję. Dobrze, że gawron nie zrobił wam krzywdy. Każda z was ma dla mnie ogromną wartość. A jeśli jesteście już stare, to kocham was jeszcze mocniej, bo jesteście ze mną dłużej. A wy, zepsuta Różo, Bałwanku i Niedźwiadku, nie pozwolę was skrzywdzić, zaopiekuję się wami.

Tosia w niektóre dni bardziej lubi bawić się lalkami, kiedy indziej klockami, a są też dni, kiedy z chęcią zabiera do przedszkola maskotki lub książeczki i nie może się z nimi rozstać choćby na chwilę. Niektóre zabawki lubi bardziej od innych, ale mimo to wie, że o wszystkie powinna dbać tak samo. Wszystkie są jej potrzebne, lubi przecież bawić się różnymi rzeczami. Dzięki nim lepiej i ciekawiej spędza czas i jest szczęśliwa. Już wie, że wszystkie swoje zabawki powinna szanować, by im także żyło się lepiej. Skoro one dają jej tyle radości, powinna sprawić, by im również było miło i wesoło.





Anna Krystynek-Kuryś

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Smok Tomaszek Sprawiedliwy

Pewnego dnia za piątą górą, siódmą rzeką i ósmą chmurą wydarzyła się rzecz niesamowita! Czy ciekawi Cię, jaka?

Dawno temu, właśnie tam za piątą górą, siódmą rzeką i ósmą chmurą. Dokładniej mówiąc, w małej wiosce pod Krakowem żył sobie mały i wyjątkowy Tomaszek. Nie był zwykłym chłopcem, różnił się od swoich rówieśników, ponieważ nie był człowiekiem, ale smokiem.

Tomaszek mieszkał wraz ze swoimi rodzicami i starszą siostrą w pięknej i ogromnej grocie nad rzeką Dobrawą w wiosce zwanej Dobrowicami. Nie tworzyli typowej smoczej rodziny. Każdy z nich posiadał bardzo wiele ludzkich cech, które pozwalały im funkcjonować w świecie ludzi, którzy bardzo szybko przyzwyczaili się do ich obecności. Nawet wyglądem różnili się od znanych Wam zielonych smoków, które zieją ogniem. Ich łuski przypominały tęczę i przepięknie lśniły różnobarwnymi odcieniami. Cała smocza rodzina była bardzo wyjątkowa, ale Tomaszek wyróżniał się najbardziej.

Nadzwyczajność Tomaszka nie objawiała się jedynie tym, że był smokiem. To, czym najbardziej się wyróżniał, to ogromny i niepowtarzalny dar, jakim było jego dobre serduszko. Jego chęć do niesienia pomocy innym była wręcz nieoceniona! Od najmłodszych lat Tomaszek uwielbiał słuchać, kiedy mama czytała mu o przygodach Robin Hooda.

– Mamo, gdy dorosnę, będę taki jak on! – powtarzał za każdym razem, gdy mama kończyła czytać.

Tomaszek zawsze uważał, że wszyscy ludzie powinni być tak samo zamożni. Zależało mu na całkowitym wyeliminowaniu biedy. Nie zgadzał się na to, aby ludzie żyli w ubóstwie. Nie mógł zaakceptować faktu, że niektórzy bardzo bogaci ludzie wydają pieniądze na blahe, do niczego nieprzydatne luksusowe przedmioty, podczas gdy inni nie mają za co kupić jedzenia i chodzą głodni. Bardzo lubił dzielić się z innymi wszystkim, co miał. Pomagał kolegom w codziennych obowiązkach. Potrafił sprawić, że nawet na najsmutniejszych twarzach pojawiał się szczery uśmiech.

Oprócz wspaniałego serca, Tomaszek posiadał również magiczną moc, dzięki której mógł zmieniać złych i skąpych ludzi w tych przepelnionych pokorą i dobrocią. Świat mógłby wtedy z dnia na dzień, stawać się coraz lepszy. Niestety nie było to takie proste, ponieważ niektórzy byli odporni na jego moc i nie dało się ich zmienić.

W krainie Tomaszka żyło kilku bardzo złych i mściwych ludzi, którzy zaburzali

spokój i harmonię, o którą walczył Tomaszek i jego rodzina. Posiadali wielkie majątki, niczego im nie brakowało, ale wciąż pragnęli więcej i więcej. Nie chcieli dzielić się z innymi, wręcz przeciwnie, potrafili nawet okraść swoich sąsiadów, a przecież niczego im nie brakowało... Nikt nie miał pomysłu, jak temu zaradzić, a było coraz gorzej. W całej wiosce odczuwało się pewien niepokój i ogólne poruszenie, a przede wszystkim strach wśród mieszkańców. Tomaszek nie mógł już na to patrzeć spokojnie, postanowił położyć temu kres.

– Pójdę tam! Przekonam tych ludzi, żeby zmienili swoje zachowanie – wykrzyknął do mamy, pełen entuzjazmu.

Jak powiedział, tak też zrobił. Wybrał się do pięknego, złotego domu złych ludzi, aby rozmówić się z nimi raz na zawsze. Chciał, żeby w wiosce jak najszybciej zapanowały znów spokój, szczęście i równość. Niestety, tak jak przypuszczał, spotkanie nie należało do najłatwiejszych.

– Mamy się dzielić swoim bogactwem?! Chyba oszalałeś Tomaszku! To jest nasze, tylko nasze! – wykrzyknął złośliwy mężczyzna.

– Nie będę się dzieliła z jakimiś biedakami! Oni mnie nie obchodzą! – dodała na koniec jego żona.

Tomaszek zauważył, że mężczyzna wyglądał inaczej, niż mieszkańcy Dobrowic. Miał surowy wyraz twarzy, w ogóle się nie uśmiechał i cały czas marszczył brwi.

– Z pewnością nie jest szczęśliwy – pomyślał Tomaszek i od razu zrobiło mu się żal bogacza.

Żli ludzie wyśmiali Tomaszka i wyrzucili go za bramę swojego pięknego domu, a niegrzeczny chłopiec, który tam mieszkał, cisnął w Tomaszka drewnianym klockiem i zaczął krzyczeć.

– Uciekaj stąd! Nie oddam swoich zabawek nikomu, wolę wyrzucić je do śmieci!

Właśnie wtedy nastąpił przełom, którego nawet Tomaszek się nie spodziewał. Nagle zrobiło się bardzo ciemno, rozpętała się straszna burza, zerwał się przeraźliwy wiatr. Wszystko zaczęło wirować, a domy zostały całkowicie zrujnowane. Tomaszek był przerażony, nie wiedział, co się dzieje. Po chwili zza gęstych chmur wyszło piękne, jasne słońce. Zaczęły dziać się naprawdę magiczne rzeczy. Na brzuszku Tomaszka pojawiło się niczym tatuaż – wielkie czerwone serce, które tak pięknie mieniło się, że było je widać z daleka. W miejscu zniszczonych domów zaczęły błyskawicznie powstawać piękne posiadłości. Wszystkie były jednakowe, od razu wyposażone w niezbędne sprzęty, które zapewniały wygodne i dostatnie życie. Natomiast tam, gdzie wcześniej znajdowały się piękne, złote domy złych ludzi, zaczęły powstawać małe, drewniane i ubogie chatki.

Tomaszek był zdumiony. Zupełnie nie rozumiał, co się wydarzyło... Aż nagle przypomniał sobie, jak mama zawsze powtarzała mu, że sprawiedliwość prędzej czy później osiągnie każdego, a dobro zawsze zwycięży nad złem. Tak się też stało i tym razem.

Od tej pory nad Dobrowicami zawsze świeciło słońce. Wszyscy ludzie stali się względem siebie bardzo życzliwi i pomocni. Nie było już biedy, panował ład i porządek, a przede wszystkim sprawiedliwość. Żli ludzie zrozumieli swoje złe postępowanie, wyciągnęli wnioski i obiecali Tomaszкови i wszystkim innym mieszkańcom, że już zawsze będą dobrzy i uczciwi.

Wieść o Tomaszku, jego dobrym sercu i magicznej przemianie złych ludzi dotarła do najdalszych zakątków świata. Tomaszek stał się bohaterem i wielu pragnęło czynić dobro, tak jak on.

– Mamo, jak dorosnę, będę taki jak Tomaszek! – powtarzały dzieci na całym świecie.

Od tej pory ludzie chętnie pomagali sobie i dzielili się wzajemnie, czym tylko mogli. Coraz więcej radości przynosiło im robienie dobrych uczynków. Nareszcie zapanowała równość. Nie było już głodu i biedy. Wszyscy byli szczęśliwi, a świat stał się piękny i radosny, pełen barw, uśmiechów i szczerzej życzliwości.

Dzięki Tomaszкови, który był bardzo wytrwały w dążeniu do czynienia dobra na świecie, wiele trosk i problemów zwykłych ludzi zniknęło. Dzięki naszym małym gestom, niesieniu pomocy innym, nawet tej drobnej i dzieleniu się z innymi tym, co mamy, możemy sprawić, że ich życie będzie lepsze i piękniejsze. Ich troski i problemy znikną, a zawita prawdziwa radość.





Ewa Skwarka

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Tak pięknie się różnimy

W ogrodzie zoologicznym panował straszny hałas.

– O nie! – zaskrzeczała papuga Laura. – Znowu te misie...
Codziennie się klócą i krzyczą. Dłużej tego nie wytrzymam!

Nie zastanawiając się zbyt długo, Laura wydostała się z klatki i poleciała tam, gdzie niedźwiedzie miały swój wybieg. Brunatny miś o imieniu Bazyli stał na dwóch łapach i wykrzykiwał:

– Ja jestem największy i najsilniejszy!

Za chwilę wyszedł z wody miś polarny, Anaruk, ustawił się tuż obok misia brunatnego, zaczął pokazywać swoje pazury oraz kły i przechwalać się:

– Nie, to ja mam wielką siłę, a do tego najpiękniejsze białe futro!

– Nieprawda! – śmiał się miś panda o imieniu Tamtam. – To ja mam najpiękniejsze futro. Wszyscy to widzą i mnie podziwiają.

– Właśnie, że nie! To mnie podziwiają – zawołał Alik, mały miś koala. – Przed moją klatką zbiera się najwięcej ludzi.

Misie nie zwracały uwagi na wzajemne słowa, ale bardzo chciały zostać usłyszane, więc zaczęły przechwalać się jeszcze głośniej.

– Dość! – zawołała papuga Laura. – Cisza!

Zaskoczone misie ucichły.

– Po co te klótnie? Bazyli, Anaruku, Tamtamie oraz Aliku, posłuchajcie mnie uważnie. Każdy z was ma futro w innym kolorze. Jeden z Was jest większy, drugi mniejszy, jeden silniejszy, inny słabszy. I co z tego? Najważniejsze, że wszyscy jesteście misiami!

Zwierzęta zaczęły uważniej się sobie przyglądać i po raz pierwszy dostrzegły podobieństwa: okrągłe uszy, mały ogon, śmieszny czarny nos i cztery łapy z pazurami oraz futro pokrywające całą skórę. Zdumiony Bazyli odezwał się:

– Tak, masz rację Lauro, pięknie się różnimy. Nieważne, który z nas jest groźniejszy, silniejszy czy większy. Wszyscy jesteśmy misiami, ale każdy z nas jest inny i nie ma w tym nic złego. Powinniśmy to zaakceptować i cieszyć się, że każdy z nas wyróżnia się czymś innym, lubi inne rzeczy oraz jest lepszy w tym czy tamtym. Tak jest o wiele ciekawiej.

Po chwili wszystkie misie zgodziły się ze słowami misia brunatnego. Zaczęły lubić to, że różnią się między sobą i nie miały już potrzeby przechwalania się tym, który z nich w czym jest lepszy. Od tej pory misie już nigdy się nie klóciły, a papuga Laura cieszyła się ciszą i spokojem.



Katarzyna Łapacz

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Mały dorsz Atelis¹

Gdzieś za górami,
W morskich głębinach
Mieszkała sobie
Dorszów rodzina.

Państwo Dorszowie ze swym narybkiem
Wiedli żywot spokojny, szczęśliwy
Do czasu, gdy wykluł się z ikry
Mały dorsz, że aż dziw nad dziwy.
Atelis, bo tak miał na imię
Nasz dorszyk, o którym opowiem,
Miał głowę i ogon, łuski wspaniałe,
Lecz nie miał zupełnie pletwy
grzbietowej.

A pletwa grzbietowa rzecz ważna,
Bo bez niej nie pływa się zwinnie.
Trzeba mieć pletwę grzbietową,
By zmieniać kierunki płynnie.
Czasami, gdy Atelis pływał,
To wirował na wszystkie strony.
Pan Dorsz mówił wtedy cichutko
Do swojej zasmuconej żony.

– Ciężko mu będzie w ławicy,
Choć on nie jest temu winny.
Urodził się bez pletwy,
On nie jest zły – jest inny.
Kiedy Atelis próbował w wodzie

Utrzymać kurs zupełnie prosty,
Śmiali się już wszyscy dookoła
Począwszy od ryb, po wodorosty!
Pewnego dnia, kiedy płynął
Wąską podwodną ulicą,
Nagle skręcił, choć wcale nie chciał
I zderzył się tam z ośmiornicą!
– Hej, uważaj jak pływasz!
Dorszowy chuliganie!
Nie widzisz, że tutaj jestem
I właśnie chcę zjeść śniadanie?
– Przepraszam, nie chciałem cię trącić.

Nie miałem zamiaru takiego.
Niestety wciąż kogoś potrącam
Z powodu defektu mojego.
Nie mam pletwy grzbietowej,
Taki się urodziłem
I właśnie przez brak owej
Sterowność mą straciłem.

Ośmiornica się zamyśliła
I podrapała za uchem.
– Nie masz pletwy grzbietowej?
Pływaj do góry brzuchem!
Pomyśl, to przecież takie proste!
Na brzuchu masz pletwy aż cztery.
Kiedy się do góry brzuchem obrócisz,
Wtedy nawet cztery stery mieć będziesz!

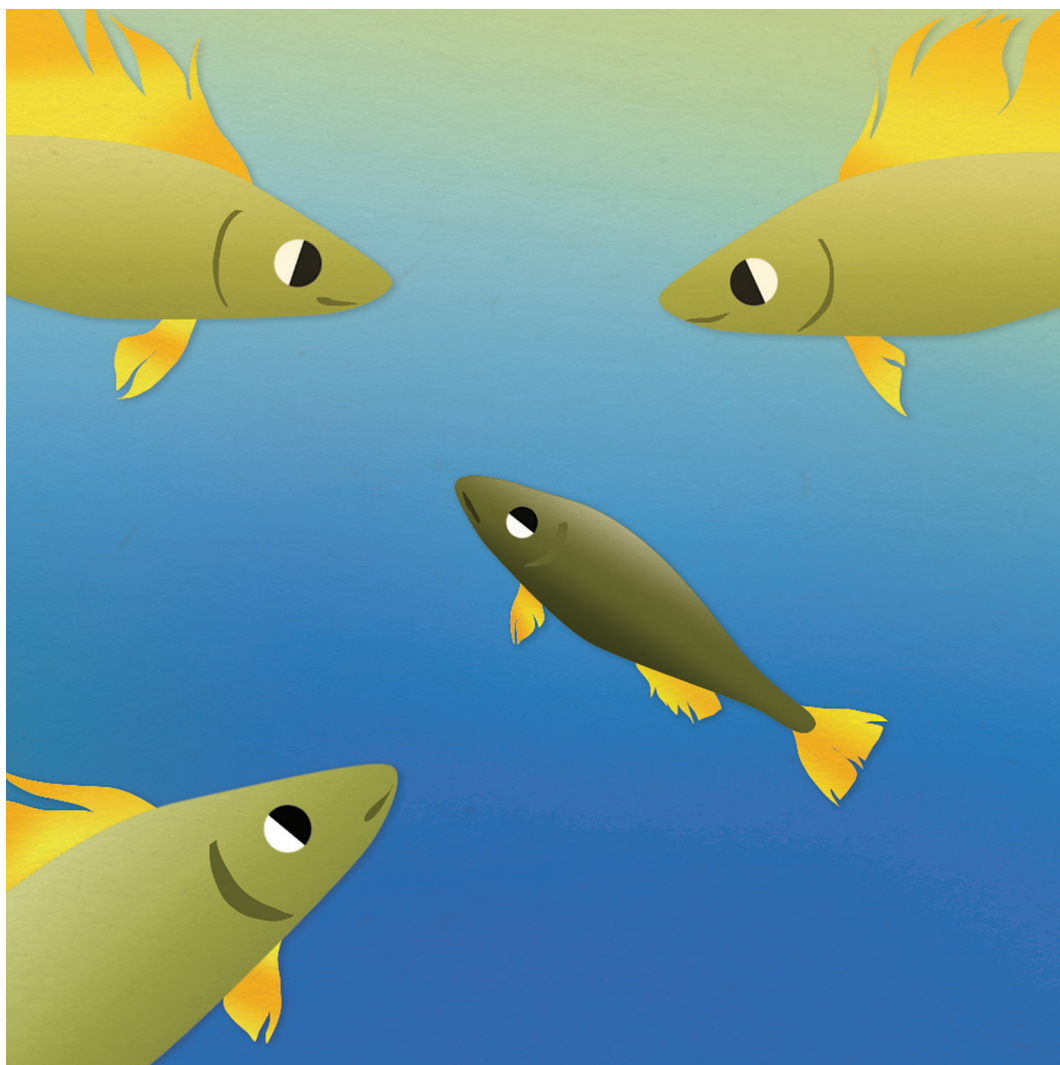
¹Atelis (grec.) niepełny, niekompletny

– Popłyniesz zawsze tam, gdzie zechcesz
I nigdy nie zaznasz już klęski.
A nowy twój styl pływania
Nazwiemy „Stylem Zwycięskim”!
Atelis tej rady posłuchał,
Do góry się szybko obrócił,
Powoli ruszył do przodu
I zwinnie w miejscu zawrócił.

– Dziękuję ci Ośmiornico,
To była wspaniała rada!
Zobacz, jak teraz sam pływam
I na nikogo nie wpadam.

Szczęśliwy Atelis powrócił
W stronę swojej rodzinnej wody.
Pokazał, jak pięknie teraz pływa,
I jak zwinnie omija przeszkody.

Od tego dnia można
Usłyszeć od dorszy:
– Jeżeli ktoś jest inny
Nie znaczy, że jest gorszy!



Kamila Jasińska

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Nietypowy świat Szarlotki

Był spokojny i słoneczny dzień. Kiedy za oknem rozkwitały rośliny na wiosnę, przedszkolna sala wrzała od głośniejszych piosenek, wesołych zabaw i szczerego śmiechu dzieci. Pani Paprotka ozdabiała salę rysunkami oraz stworzonymi z papieru kolorowymi kwiatami i owocami. Wśród wszystkich ozdób, od których mogłoby się zakręcić w głowie, stała pod ścianą długa, drewniana szafka z książkami. Znajdowały się tam pamiętniki z rysunkami dzieci. Każdego dnia na prośbę Pani Paprotki dzieci zapelniały swoimi malunkami kolejną stronę. Po skończonej pracy każdy odkładał swój pamiętnik na półkę i mógł dalej się bawić.

Nikt jednak nie wiedział, że na szafce obok książek mieszkał ktoś jeszcze. Był to bardzo niewielki stworek, wielkości paznokcia. Nikt nigdy nie zauważył szarego mieszkańca z małymi łapkami i okrągłą główką. Jego kostki były cieniutkie jak włoski najmniejszego pieska na świecie. Dzięki temu potrafił wślizgnąć się w każdą szczelinę, a nawet wejść pomiędzy kartki książki! Nazywał się Kostek. Codziennie, tuż po tym jak dzieci odłożyły swoje pamiętniki na półkę, przeskakiwał z jednego do drugiego i podziwiał ich piękne obrazki. Znał wszystkie rysunki, które do tej pory stworzyły przedszkolaki. Zazwyczaj malowały mamę, tatę, dziadka, babcię, pieska, kotka, a nawet zdarzały się świnki morskie. Wśród rysunków nie zabrakło również kolorowych kwiatów oraz dużego słońca. Czasem na sam widok ogromnej, żółto-czerwonej gwiazdy robiło mu się bardzo gorąco.

„Dla mamy” czytał czasem na głos podpisy rysunków, po czym brał kredki i zabierał się do pracy. Trzeba przyznać, że Kostek był małym psotnikiem i lubił dla własnej uciechy „upiększać” rysunki wykonane wcześniej przez dzieci. Czasami dorysowywał wąsy namalowanemu tacie, innym razem gryzmołił wielką, czerwoną kokardę wpłataną w długie włosy narysowanej mamy. Bawiło go to niesłychanie. Potrafił też zamienić kredki w pudełkach i dzieci musiały potem długo się naszukać, żeby znaleźć swoje ulubione kolory. Kostek obserwował ich reakcje z ukrycia i sprawiało mu to dużo radości. Stworek lubił też przyglądać się dzieciom podczas zabawy. Widział, że często się śmiały, lubiły się bawić, śpiewać oraz tańczyć. Wiele uwagi poświęcały nowym zabawkom, chciały wspólnie zbadać wszystkie ich możliwości. Czasami klóciły się o to, kto pierwszy będzie się nimi bawił. Kostkowi najbardziej podobało się, kiedy dzieci budowały wysoką wieżę z klocków i każdego dnia starały się pobić rekord w tej zabawie.

Pani Paprotka zaprosiła dzieci do stolików i jak zawsze rozdała im ich pamiętniki. Tym razem zachęcała wszystkich do narysowania wiosennego obrazka. Gdy dzieci szukały swoich ulubionych kolorów i już zabierały się do rysowania, ktoś wszedł do sali. Była to mała dziewczynka, którą przyprowadziła do przedszkola mama. Miała jasne włosy,

spięte w kucyk, kolorową sukienkę oraz białe kapcie. Kostek również zauważył, że ktoś nowy pojawił się w sali. Pani Paprotka podeszła do dziewczynki z uśmiechem, wzięła ją za rączkę i przedstawiła całej grupie. Nowa dziewczynka miała na imię... Szarlotka.

– Ojej! Chyba mamy nową koleżankę! – ucieszył się Kostek. – Na pewno będzie miała dużo kredek, które można pomieszać z innymi! – planował już mały psotnik. Bardzo ciekawiło go, co nowa dziewczynka namaluje w swoim pamiętniku.

Szarlotka mimo zachęty Pani Paprotki oraz zainteresowania dzieci, trzymała się z dala od wszystkich. Nie reagowała na swoje imię, nie chciała usiąść przy stoliku z innymi. Wybrała jednego misia z półki i cały czas bawiła się tylko z nim. Dopiero, gdy Pani położyła przed dziewczynką jej nowy pamiętnik oraz kredki, Szarlotka bez wahania podeszła i zaczęła malować. Używała wielu kredek i była bardzo pochłonięta rysowaniem, tak jakby cały świat wokół niej przestał istnieć. Dzieci podglądały, co rysuje Szarlotka, ale ona nie zwracała na to uwagi. Kostek również obserwował uważnie. Z jednej strony ciekawiło go, co też nowa dziewczynka narysuje, z drugiej nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł splatać jej jakiegoś figla. Cieszył się na samą myśl o dorysowaniu niespodzianki na rysunku dziewczynki.

– Kokardki, kolorowe buty, owoce zawieszane na uszach mamy – wyobrażał sobie Kostek, wyczekując, aż Szarlotka dokończy swój rysunek i odłoży pamiętnik na półkę.

Nareszcie dziewczynka skończyła i Pani Paprotka pokazała jej, gdzie powinna odkładać swoją książeczkę. Kostek poczuł przyspieszone bicie serca. Jak tylko oddaliły się od półki, wyskoczył z ukrycia i ruszył pędem w stronę nowej książeczki. Gdy tylko dobiegł do celu, oniemiał z wrażenia. To, co zobaczył nie było podobne do obrazków, które do tej pory widział. Co więcej, rysunek nie przypominał żadnego znanego mu przedmiotu ani żadnej postaci. Dziewczynka namalowała dużo kół, kolorowe paski oraz wielką plamę, przypominającą postać człowieka. Była ona jednak... Czerwona.

– Ojej! I co ja tutaj mam dorysować? – pochmurniał Kostek. – Nawet nie mam żadnego pomysłu! Co to za rysunek? – wydawał się być rozczarowany. – Ale zaraz... Na półce mam jeszcze pióro do pisania! – wykrzyknął i po chwili stał już z ogromnym piórem nad rysunkiem. Uznał, że skoro nic nie może dorysować, to przynajmniej rozleje trochę atramentu. W ten sposób powstały dwie duże i purpurowe plamy na samym środku następnej strony.

Na drugi dzień, gdy dzieci przyszły do przedszkola, Pani Paprotka rozwieszała na ścianie ich zdjęcia. Przyszła także Szarlotka, która znów zaczęła bawić się w samotności pluszowym misiem. Kostek obserwował ją tego dnia bardzo uważnie. Zauważył, że inne dzieci próbowały podejść i zaprosić dziewczynkę do wspólnej zabawy, jednak ona sprawiała wrażenie niezainteresowanej. Odpowiadała pojedynczymi słowami i nie przyłączała się do żadnej zabawy. Nie zwróciła również uwagi na swoje zdjęcie na ścianie. Dzieciom zrobiło się smutno. Nie wiedziały, jak mogą dotrzeć do dziewczynki, a bardzo chciały ją poznać i pobawić się razem z nią. Zaobserwowały, że Szarlotka co chwilę podchodziła do półeczki z książeczkami i wpatrywała się w swój pamiętnik. Pani również to zauważyła i podeszła do dziewczynki.

– Ty pewnie, Szarlotko, bardzo lubisz rysować?

– Pamiętnik... – odpowiedziała zdawkowo Szarlotka. Wzięła z półki swoją książeczkę i usiadła przy stoliku. Otworzyła ją i patrzyła na stronę, na której Kostek rozlał dwie purpurowe plamy. Stworek przyglądał się tej sytuacji z rosnącym napięciem. Ciekawiło go, co się stanie. Dziewczynka jednak spojrzała ze spokojem na plamy i zaczęła malować, jakby nic się nie stało. Kostek był zdumiony. Spodziewał się innej reakcji. Dziewczynka rysowała z wielkim skupieniem,

jak gdyby pamiętnik był całym jej światem.

Pod koniec dnia, gdy wszystkie książeczki trafiły już na półkę, mały psotnik z ciekawością zajrzał do pamiętnika Szarlotki. Był zaskoczony. Dziewczynka zamieniła jego atramentowe plamy w piękne, fioletowe kwiaty.

– One wyglądają identycznie jak te, które zawieszała na ścianie Pani Paprotka. To są te same kwiaty! – ekscytował się.

Kostek był pod wrażeniem rysunku Szarlotki. Zrozumiał, że dziewczynka właśnie w ten sposób wyrażała swoje emocje, rysowała to, co grało jej w sercu. Bardzo chciał z nią porozmawiać, dlatego zaczął wołać Szarlotkę, gdy tylko zbliżała się do półki z książkami. Wiedział, że będzie to trudne, bo jest mały, ale bardzo chciał zwrócić na siebie jej uwagę. Ona jednak nie reagowała. Nie mógł już dłużej wołać Szarlotki, ponieważ chyba usłyszała go Pani Paprotka i co chwilę spoglądała na półkę z książkami. Nie chciał, żeby go zauważyła. Wpadł na nowy pomysł. Wyrwał jedną kartkę z dzienniczka i narysował... Portret Szarlotki. Wykorzystał do tego wszystkie kredki. Z trudem udało mu się postawić rysunek na półce, jednak gdy to zrobił, stało się coś niesamowitego. Szarlotka zbliżyła się do obrazka i patrzyła na swój portret. Podeszła ostrożnie, wzięła rysunek do ręki i usiadła na ziemi, cały czas wpatrywała się w dzieło Kostka. Inne dzieci otoczyły ją i zaczęły krzyczeć:

– To jesteś ty!

– To Szarlotka!

– Jaka podobna!

Dziewczynka trzymając mocno swój portret w rękach, zbliżyła się do swojego zdjęcia, zawieszonego przez Panią na ścianie.

– Jeśli chcesz, zawiesimy rysunek z Twoim portretem, zamiast tego zdjęcia – powiedziała Pani Paprotka.

Dziewczynka uśmiechnęła się i za moment rysunek znalazł się na ścianie. Szarlotka długo się jeszcze na niego patrzyła, po czym usiadła przy stoliku i zaczęła malować dalej. Dzieci usiadły obok i rysowały razem z nią. Kostek jak zwykle siedział w swojej kryjówce i rozmyślał nad tym, co się dzisiaj wydarzyło. Przyglądał się z przejęciem, jak inne dzieci wpatrywały się w rysunek Szarlotki i próbowały odgadnąć, co też ona teraz myśli oraz jak się czuje. Był bardzo wzruszony tym widokiem. Zrozumiał, że przez przypadek pomógł dziewczynce zadomowić się w przedszkolu, a wszystkie dzieci zaakceptowały ją taką, jaką jest.





Ewa Skwarka

10 MNIEJ
NIERÓWNOŚCI



Tomek i wakacje

Zaraz po śniadaniu Tomek wyglądał przez okno. Robił tak codziennie od początku wakacji. Przez szybę przypatrywał się chmurom, które wiatr rozganiał po niebie.

– Co tam zobaczyłeś? – zapytała mama.

Tomek nie odpowiadał. Właśnie wyobrażał sobie, jak unosi się na białym obłoku i leci nad morze. Jeszcze nigdy nie widział morza. Dzieci z przedszkola pojechały już na wakacje, a on przez cały dzień nie mógł znaleźć sobie ciekawego zajęcia.

– Może coś narysujesz? – zaproponowała mama. Tomek wziął niebieską kredkę i szybko zamalował całą kartkę.

– Mamo, wiesz, co to jest? – spytał.

– Chyba niebo – odpowiedziała mama.

– Nie zgadłaś, to jest morze! – wykrzyknął Tomek, a po chwili dodał – Tak bardzo chciałbym pojechać nad morze!

– Nie zaczynaj! Przecież wiesz, że nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy. Taki wyjazd jest bardzo kosztowny.

Tomek nie chciał już dłużej słuchać mamy. Wpadł na pewien pomysł. Pobiegł szybko do biurka starszej siostry. Wyjął papier, przybory do pisania oraz nożyczki. W skupieniu zaczął coś rysować, kolorować i wycinać. Gdy skończył, wręczył mamie pokolorowane małe kartki, na których były napisane cyfry.

– Co to? – spytała mama.

– Jak to co? Pieniądze! – zawołał Tomek. Zrobiłem ich tak dużo, że na pewno wystarczy na wyjazd nad morze.

Tomek nie rozumiał, dlaczego jego pomysł nie ucieszył mamy. Teraz wydawała się jeszcze smutniejsza, niż zazwyczaj.

– Mamo, czy zrobiłem coś złego? – zmartwił się chłopiec.

– Nie, synku. Wiem, jak bardzo chciałbyś pojechać nad morze, ale czeka nas jeszcze tyle wydatków... Zbliża się jesień, musimy kupić ci nowe ciepłe buty, bo zeszłoroczne są już za małe. Trzeba też kupić kurtki dla twoich starszych siostr...

Tomek nie słuchał już mamy. Zawsze było tak samo. Ciągłe inne sprawy były ważniejsze od wyjazdu na wakacje. Nie mógł zrozumieć, dlaczego inne dzieci jeżdżą po całej Polsce, wyjeżdżają zagranicę, a on nie może. Musiał coś wymyślić.

Następnego dnia, zabrał na spacer z mamą kilka swoich ulubionych zabawek. W plecaku znalazły się niebieski autobus, pajacyk, mały metalowy samolot i kolorowa piłka. Na placu zabaw Tomek wyjął wszystko z plecaka i początkowo cicho, a potem z całych sił zaczął wołać:

– Zabawki! Kto kupi zabawki?!

- To twoje? – zapytali koledzy.
- Tak, moje ulubione – odpowiedział Tomek.
- To dlaczego je sprzedajesz?

– Bo potrzebuję pieniądze. Chciałbym wyjechać na wakacje i zobaczyć morze. Tomek nie dokończył mówić. Mama zebrała zabawki, chwyciła go za rękę i powiedziała stanowczo:

- Wracamy do domu!

Tomek chciał zaprotestować, ale powstrzymał się, bo zobaczył, że mama jest bardzo zdenerwowana. Nagle ktoś za ich plecami zawołał.

– Tomek, poczekaj! – to był Julek, najlepszy kolega Tomka. – Wiesz, właśnie wracam od lekarza. Przeziębilem się i jeszcze przez trzy dni muszę zostać w domu, ale jak tylko wyzdrowieję, pojadę na wakacje. Chciałbym, żebyś pojechał ze mną nad morze. Moi rodzice też chcą. Czy twoja mama się zgodzi?

– Mamo, mamo, czy mogę pojechać za trzy dni z Julkiem i jego rodzicami nad morze? – mówił szybko Tomek i śmiał się jednocześnie.

Już dawno nic go tak nie ucieszyło. Mama była zaskoczona propozycją. Zanim cokolwiek zdążyła odpowiedzieć, podszedł do niej tata Julka.

– Proszę się zgodzić. Mamy wolne miejsce w samochodzie i chętnie zabierzemy ze sobą Tomka. Chłopak nie widział jeszcze morza, a wiemy jak bardzo mu na tym zależy.

- Ale... – chciała zaprotestować mama.

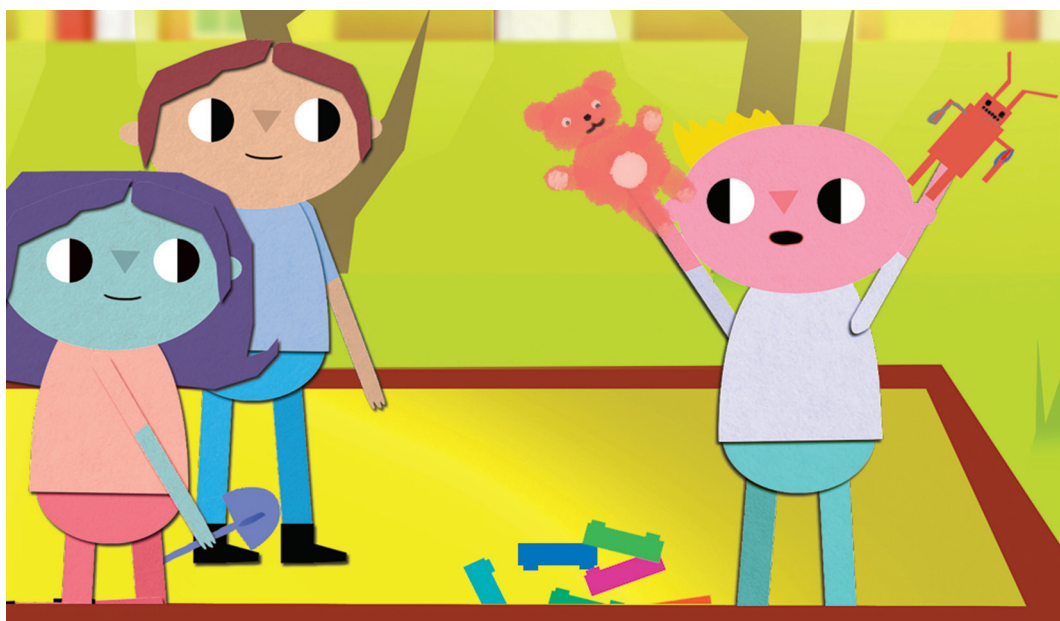
Tata Julka był jednak szybszy.

- Wiem, że jest pani ciężko, dlatego nasza rodzina pokryje wszystkie koszty.

Tomek nie mógł uwierzyć, że mama się zgodziła. Przez kolejne trzy dni myślał tylko o wyjeździe.

- Nie martw się o mnie mamo. Dam sobie radę. Jestem już przecież duży.

Na pożegnanie pocałował mamę i szepnął jej do ucha. – Przyślę ci pocztówkę. Będiesz mogła się poczuć tak, jakbyś była tam razem ze mną!



Katarzyna Sadowska, Tomasz Sadowski

11 ZRÓWNOWAŻONE
MIASTA
I SPOŁECZNOŚCI



O Tosi i jej budowlach

– Budujmy tak, żeby szybko skończyć kolejny domek! – rzekł zniecierpliwiony Krzys do młodszej siostry.

Zdaniem Krzysia opieka nad młodszą siostrzyczką bywała przyjemna, ale zdecydowanie wolałby już usiąść przy stole i poświęcić się swojemu ulubionemu zajęciu, jakim było rysowanie. Domki z klocków powstają po to, by Tosia mogła wstawić do nich swoją kolekcję małych zwierząt i pobawić się nimi samodzielnie. Właśnie taką taktykę przyjmował Krzys – szybkie budowanie nowych domków dla Tosi, by potem dziewczynka mogła już bawić się sama. Chłopiec mógł wtedy w spokoju zająć się rysowaniem, bo prawdziwa sztuka wymaga wiele czasu i dużego nakładu pracy.

– Krzysiu, to nie tak, źle budujesz. W takim domku nie zmieści się miś Horacy – narzekala dziewczynka, kiedy obserwowała, jak jej brat ustawia klocki. Gdyby nie zmienił ułożenia budowli, łapki misia wystawałyby mocno z domku, więc zmartwiona siostrzyczka dodała – A co, jeśli na moim osiedlu będzie deszcz? Horacy zmoknie!

– Co ty, Tosiu?! Przecież mieliśmy budować dla małych zwierzątek... Miś faktycznie jest za duży, a do tego nie pasuje do naszej kolekcji zwierzątek domowych. Nasza konstrukcja nie przewiduje misia i już!

Tosia spojrzała na Krzysia i tupnęła nóżką.

– Nie zgadzam się! – krzyknęła. – Miś też ma tu mieszkać! To co, że jest za duży. Ty też jesteś za duży, a czasem pożyczasz mój rower!

Krzys zamyślił się... Fakt, pożyczał od Tosi mocno już za mały dla niego rower... Tosia nigdy mu nie odmówiła, pomimo że ma dopiero trzy lata i bardzo przejmując się, gdy ktoś bierze coś, co do niej należy.

– Tosiu, ale ja chcę też porobić coś swojego. Budujmy szybko, bo nie mam już czasu – odparł nieco zmieszany, ale też zniecierpliwiony Krzys.

– Ale Horacy i żyrafa Ania nie mogą tu mieszkać! – upierała się Tosia, która na znak protestu zburzyła całą konstrukcję ułożoną dla niej przez brata.

– No nie! – zawołał Krzys. – To teraz radź sobie sama! Jeszcze ta wielka żyrafa?! – Krzys fuknął coś pod nosem, spojrzał z wyrzutem na Tosię i ostentacyjnie wyszedł z pokoju.

– Nie! Chodź, Krzys, pomóż! – krzyczała Tosia, ale Krzys nie miał zamiaru ustąpić.

Tosia stała nad klockami i bardzo się złościła. Rzuciła żółtym klockiem, czyli tym razem dachem, zburzyła domek dla małpek, cisnęła Horacym prosto w chatkę, w której miały mieszkać plastikowe chomiki. Po chwili dziewczynka zaczęła nasłuchiwać, czy Krzys jednak nie wraca, ale nie... Krzys był już w świecie kolorowych kredek

i pięknych rysunków. Nie miał zamiaru ulegać siostrze. Szczególnie, że jego zdaniem, wypełnił swoje zadanie najlepiej jak potrafił, a przede wszystkim miał dobre chęci.

Tosia spojrzała na klocki i zwierzątko. Czuła w głębi serca, że nie powinna już niczym rzucać, bo teraz miś Horacy już całkiem nie ma szans na to, by schronić się przed deszczem. Tosia uklękła obok misia i spojrzała w jego czarne oczy.

– Widzisz, Horacy, nie pasujesz do osiedla. Jesteś za duży, musimy coś z tym zrobić.

W tym samym momencie miś spojrzał na swoją opiekunkę i otworzył nieśmiało pyszczek.

– Ja jestem za duży? A ty?! To ty jesteś o wiele za duża, a mimo to masz gdzie mieszkać i nie trzeba cię wymieniać...

Tosia zaniemówiła ze zdziwienia. Jej Horacy potrafił mówić!

– Hmm... To ty żyjesz? – zapytała zmieszana, bo przecież dwie minuty temu rzuciła swoim pluszakiem w domek, jakby był zwykłym workiem na kapcie. – Przepraszam, że nawet o tym nie pomyślałam.

– Nic nie szkodzi. – odparł Horacy. – Wiesz, zazwyczaj nic nie mówię, bo nie mam wiele do powiedzenia, ale zrobiło mi się miło, że chciałaś, bym miał swój domek z klocków. Nawet nie wiedziałem o tym, że mogę mieć domek, a szczególnie taki, który pasowałby do moich kształtów i rozmiarów.

Miś uśmiechnął się i podszedł w stronę Tosi.

– Wiesz misiu, zdawało mi się, że jeśli można coś zbudować, to trzeba dla każdego, nawet jeśli wymaga to więcej czasu i jeszcze większego zaangażowania w to budowanie – wyjaśniła dziewczynka. – Krzyś miał mi pomagać, ale w tej sytuacji chyba muszę zadbać o to sama.

Tosia westchnęła głośno i wzięła się do pracy. Składała klocki, dokonywała skomplikowanych obliczeń matematycznych, wymyślała najbardziej pasujące rozwiązania architektoniczne, aż wreszcie udało się zmieścić całego pluszowego misia do domku zbudowanego z klocków.

Mieszkanie malpek zostało zrekonstruowane i przeniesione przez Tosię na inny róg dywanu. Wiadomo przecież, że gdyby miś chciał wyjść na spacer, nie może wejść prosto do domu malpek. Żyrafa musi mieć bezpieczną zagrodę, by malpki nie pomyliły jej szyi z pniem drzewa. Mogłyby wówczas zbyt rozhuścić żyrafą szyję i ta mogłaby ją roboleć... A panda, koala i pieski? One także powinny mieć swoje miejsce, bo każde z nich ma inne potrzeby.

– Tak będzie doskonale! – klasnęła w ręce Tosia, gdy skończyła.

Miś z podziwem potakiwał głową, żyrafa Ania radośnie kręciła ogonem, a pozostałe, znacznie mniejsze zwierzątka patrzyły z uznaniem na swoje nowe domki.

– A tu... Zbuduję dla was wszystkich wspólny plac zabaw – powiedziała Tosia do swoich zabawek. – Choć każda z was jest inna, to na pewno miło wam będzie wspólnie się pobawić od czasu do czasu.

Krzyś wstał z krzesła by sprawdzić, czy siostra radzi sobie z placem budowy i czy nie jest jej smutno siedzieć samej w pokoju. Podszedł cichutko, bo zdawało mu się, że Tosia coś szepcze i bardzo chciał usłyszeć, co takiego.

– Tak, teraz będzie wam bezpiecznie, wygodnie i miło! – Tosia siedziała pośród domków z klocków i kartoników, a wszystkie jej zabawki miały bardzo zadowolone minki.





Agnieszka Langmesser



Królewna Śnieżka i Hałas

Dawno temu, za siedmioma górami, za siedmioma lasami, na małej polance pośrodku gęstego, tysiącletniego lasu stał malutki, biały domek. Każdego ranka w małym białym domku otwierały się małe czerwone drzwiczki i na polankę, wychodzili malutcy ludzie, jeden za drugim. Tylko zwierzęta mieszkające w lesie wiedziały, że jest to domek siedmiu krasnoludków.

Codziennie Królewna Śnieżka, która mieszkała razem z krasnoludkami, budziła się wcześnie rano, żeby przygotować śniadanie dla swoich przyjaciół. Krasnoludki zjadały w pośpiechu, wypijały szklankę ciepłego mleka albo kakao i pakowały swoje narzędzia, by jak najszybciej wyruszyć do kopalni. Była to bardzo ciężka praca. Kiedy po kilku godzinach wracali do domu, czuli się bardzo zmęczeni. Szybko myli ręce i zasiadali do pysznego obiadu, przygotowanego przez Śnieżkę. Królewna bardzo kochała swoich małych przyjaciół. Z radością gotowała dla nich, chętnie pomagała w pracach domowych i lubiła spędzać z nimi każdą wolną chwilę. Kiedy zostawała sama w domu, układała w głowie różne gry i zabawy, które chciała zaproponować przyjaciołom podczas wieczoru. Lubiła też wymyślać ciekawe historie i bajki, które z radością opowiadała później krasnoludkom.

Uwielbiali spędzać razem czas. Wspólnie tworzyli budowle z klocków, organizowali wyścigi samochodowe, układali puzzle i lamigłówki. Często byli tak zajęci zabawą i tak głośni, że potrafili nawet nie zauważyć pani wiewiórki, która przyniosła im koszyk orzechów albo pani sowy, która chciała dostarczyć ważną wiadomość.

Śnieżka miała ochotę opowiedzieć krasnoludkom, jak spędziła dzień, a potem zainteresować ich bajką, którą dopiero co wymyśliła. Jednak krasnoludki pochłonięte głośną zabawą w ogóle jej nie słyszały. Często tak się zdarzało i Śnieżce było wtedy bardzo przykro. Tego dnia od harmidru rozboleła ją głowa. Usiadła w kącie i cichutko zapłakała. Zauważył to tylko jeden z krasnoludków. Gapcio odłożył na półeczkę puzzle, które właśnie układał i podszedł do Śnieżki.

– Śnieżko, czy coś się stało? – zapytał.

Królewna nieśmiało wymamrotala coś pod nosem.

– Nic nie rozumiem, kiedy mówisz tak niewyraźnie. Proszę, podnieś głowę i powtórz jeszcze raz.

– Chyba nikt mnie tu już nie lubi – zachlipała Śnieżka. – Tak się starałam cały dzień, wymyśliłam piękną bajkę, którą chciałam wam opowiedzieć, a jest tak głośno, że nikt nie chce jej wysłuchać. Poza tym przez ten hałas,

aż rozbolała mnie głowa...

– To może krzyknij głośno? Wtedy na pewno cię usłyszą – doradził Gapcio.

– Już próbowałam, ale to wcale nie pomagało i tylko boli mnie gardło...

Naprawdę nie wiem, jak sobie poradzić z tym hałasem.

– Hmm... – zastanowił się Gapcio. – Skoro tobie się nie udało, to może ja spróbuję porozmawiać z krasnoludkami.

– Naprawdę? To bardzo miłe, że chcesz mi pomóc. Będę ci bardzo wdzięczna!

Gapcio posiedział jeszcze chwilę, postukał się kilka razy w głowę. Widać było, że zastanawia się, w jaki sposób najlepiej będzie dotrzeć do pozostałych krasnoludków. Nagle wstał i podszedł do Apsika, który bawił się w kącie samochodzikami i głośno naśladował wyjące syreny i pracujące silniki.

– W co się bawisz Apsiku? – zapytał Gapcio.

– Nie widzisz? Przecież to ogromny wypadek! Straż i policja już jest, a zaraz przyjedzie jeszcze pogotowie!

– Bawisz się sam, a robisz tyle hałasu.

– Och, naprawdę? Nawet nie zauważyłem.

– Naprawdę. Wszystkie te „e-o”, „i-o” i „brrr”. Wszystko razem tworzy wielki, nieznośny hałas. Pewnie nawet nie pomyślałeś, że kogoś może od tego rozboleć głowa? – Gapcio spojrzał wymownie w stronę Śnieżki. – Tak naprawdę, to mi też przeszkadzasz, bo nie mogę się skupić na grze.

– Ojej, przepraszam. Nie chciałem. Wiesz, zabawa mnie trochę pochłonęła... Postaram się już bawić po cichu – obiecał Apsik i wrócił do zabawy.

Chociaż Apsik bawił się już całkiem cichutko, to Gapcio uważał, że w chatce jest wciąż stanowczo za głośno. Podszedł do Śpiocha, który przed chwilą skończył uroczysty podwieczorek, przygotowany w zabawie dla trzech pluszowych misiów. Po herbatce i ciasteczkach postanowił zaśpiewać misiom wszystkie piosenki, jakie znał. O dziwo, Śpioch, który zawsze wyglądał na bardzo zmęczonego, tym razem wcale nie miał ochoty na spanie. Cały czas coś mruczał albo śpiewał. W ogóle nie zwracał uwagi na to, czy komuś to przeszkadza. Sam doskonale się bawił.

– Śpieszku! – zagadnął Gapcio. – Pięknie śpiewasz, ale...

– Och, dziękuję! – przerwał mu Śpioch. – Miło to słyszeć. Cały dzień ćwiczyłem... Śpiewam i śpiewam, a misie, widzisz, nic mi nie chcą powiedzieć.

– Śpieszku... – zaczął ponownie Gapcio. – Pięknie śpiewasz, ale wiesz, trochę nam to już przeszkadza. Gdyby każdy z nas tak śpiewał, to od tego hałasu chyba by już szyby popękały. Teraz śpiewasz sam, a już jak jest głośno.

– Ojej, nie wiedziałem, że moje śpiewanie komuś przeszkadza. Już nie będę więcej – zasmucił się Śpieszek.

– Nie, nie! – zaprzeczył szybko Gapcio. – Naprawdę ślicznie śpiewasz i śpiewaj dalej, tylko gdybyś mógł tak troszkę ciszej.

– Skoro tak mówisz, dobrze. Postaram się – przytaknął Śpioch i rozejrzał się dookoła. – Ale wiesz, chyba nie tylko ja tu hałasuję... Popatrz, jak głośno rozmawia Mędredek z Wesółkiem.

– Masz rację – potwierdził Gapcio – Może pomożesz mi ich przekonać, żeby zachowywali się trochę ciszej?

– Dobrze – zgodził się Śpieszek i obaj podeszli do stojących koło warsztatu krasnoludków.

– Lepiej będzie, jeżeli tu połączymy – tłumaczył Mędredek.

– Ale zapomniałeś jeszcze o tej części! – przekonywał Wesolek. – A to jest potrzebne, żeby dobrze pracowała ta dźwignia!

– Dźwignia dźwignią, ale najpierw musi przecież jeździć! – sprzeciwił się Mędredek.

– Hej, chłopaki! – przerwał dyskusję Śpieszek. – Tak głośno rozmawiacie, że nawet nie zauważyliście, że od jakiegoś czasu próbujemy wam coś powiedzieć...

– No tak, rzeczywiście, chcemy zbudować taką maszynę do przenoszenia... – tłumaczył Wesolek.

– A o co chodzi? – przerwał mu Mędredek.

– Chcieliśmy poprosić, żebyście rozmawiali trochę ciszej – powiedział wprost Gapcio. – Zrobiło się bardzo głośno, a nam to przeszkadza. Też chcielibyśmy się pobawić, ale w takim hałasie jest to niemożliwe.

– Hmm... Dobrze, że zwróciliście nam uwagę – powiedział po namyśle Mędredek. – Ja też nie lubię, gdy ktoś mi przeszkadza. Nie będziemy już tak głośno.

– Tak jest! – poparł go Wesolek.

Gapcio nie zdążył odpowiedzieć, bo nagle w chatce zrobiło się głośniejsze, niż kiedykolwiek przedtem.

– To moje! Ja się tym bawiłem! – krzyczał w niebogłose Gburek.

– Wcale, że nie! Ja byłem pierwszy! – równie głośno wykrzykiwał Nieśmialek.

– Ja ci zaraz pokażę! – Gburek zamachnął się i chciał rzucić w Nieśmiałka jednym z klocków, którymi przed chwilą wspólnie się bawili. Na szczęście nie zdążył, bo Wesolek szybko zwrócił mu uwagę.

– Gburku! Co ty robisz?

Rozrabiaka stanął, jak osłupiały. Sam był zaskoczony swoim zachowaniem.

– Ja? Ale, bo on... – zmieszał się.

– Ale wstyd! – wszystkie krasnoludki pomyślały o swoim dzisiejszym zachowaniu.

– Przepraszam – wyszeptali równocześnie Gburek i Nieśmialek, a ich policzki zaróżowiły się ze wstydu.

– Czy wiecie, ile narobiliście niepotrzebnego hałasu? – zapytał Apsik.

– I czy to ładnie tak się kłócić? – dodał Śpieszek.

– Wiecie co? – Gapcio zrobił krok do przodu i widać było, że chce powiedzieć coś naprawdę ważnego. – Wszyscy musimy się bardzo starać, żeby bawić się znacznie ciszej. Wtedy nie będziemy przeszkadzać ani sobie nawzajem, ani innym. Gdybyśmy bawili się grzecznie i cicho, to usłyszeliśmyby, że Śnieżka chce nam coś opowiedzieć i zauważylibyśmy, że od naszego hałasu rozbolała ją głowa. Umówmy się, że kiedy sami spostrzeżemy, że robi się zbyt głośno, to będziemy wzajemnie

zwracać sobie uwagę. Zgoda?

– Zgoda! – wykrzyknęły chórem krasnoludki.

Po czym Nieśmialek, który zawsze trzyma się trochę na uboczu, podszedł do królewny.

– Śnieżko, przepraszamy, że bawiliśmy się tak głośno. Teraz już wiemy i będziemy pamiętać, że lepiej jest się bawić po cichu. Czy zechciałabyś opowiedzieć nam bajkę?

– Oczywiście! – ucieszyła się Śnieżka. – Opowiem, jeśli tylko będziecie jej słuchać w ciszy.



Katarzyna Sadowska

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



O nadwyżkach produkcji i znikomym popycie na ciasteczka

Kąsaczek, mieszkaniec jednej z szuflad bardzo lubił gotować i piec. Uwielbiał także płatać figle swoim przyjaciółom: Hakowi Gilakowi, Gałęzi oraz Szponowi. Jednak najwięcej przyjemności sprawiało mu psocenie z pomocą człowieka – Krzysia, który był pięcioletnim i niezwykle ciekawym świata chłopcem. Jako jedyny w rodzinie wiedział o obecności Kąsaczka oraz trójce jego przyjaciół. Staś, młodszy brat Krzysia domyślał się, że w szufladzie z bielizną mieszkają jakieś małe stworki, jednak był na tyle zajęty własnymi sprawami, że nie udało mu się ani razu zobaczyć ich „na sto procent”, jak mawiał.

Staś nie przepadał za zaglądaniem do szuflady, a już na pewno nie do szuflady z bielizną, ponieważ wiązało się to z ryzykiem, że trzeba będzie zrobić w niej porządek. Nawet jeśli kiedyś przez przypadek zauważył któregoś z szufladowych maluchów, to zapewne uznał go za robaka. Rodzice chłopców nawet nie przypuszczali, że w ich domu mieszkają jeszcze inni współlokatorzy. Gdy Krzysiek tłumaczył rodzicom, że to nie on porzucił ubrania, ale Kąsaczek i jego trzech przyjaciele, rodzice w ogóle nie przyjmowali tego do wiadomości. Pozostawali niewzruszeni na historie opowiadane przez Krzysia i zaganiali go natychmiast do sprzątania. Tata mawiał wtedy:

– Nawet, jeśli to nie ty Krzysiu, skoro tak twierdzisz, ale twoi przyjaciele z szuflady, to ty jesteś ich opiekunem i powinieneś czuć się za nich odpowiedzialny. Zatem powinieneś ponieść konsekwencje także za ich psoty.

Jak już wiecie, Kąsaczek lubił gotować i piec. Pewnego razu wraz z Krzysiem, Hakiem Gilakiem, Gałęzią oraz Szponem postanowili wyprodukować tak dużo babeczek z kremem czekoladowym, by pobić rekord całego świata.

Krzysia rano bolała głowa, więc został w domu z tatą, przed którym rzadko kiedy udało się coś ukryć. Na szczęście tego dnia tata musiał zajmować się młodszą siostrą chłopca – Tosią. Kiedy był zajęty kąpaniem córki, Krzysiek zaprosił wszystkie małe stworzonka do kuchni. Chłopiec, Kąsaczek, Hak Gilak i Szpon rozglądali się czujnie, czy tata nie wraca z łazienki, szli cichutko na paluszkach przez długi przedpokój.

– Uwaga, tata wraca! – krzyknął nagle przestraszony Kąsaczek.

Na szczęście okazało się, że to tylko kotka Krzysia. Właśnie gonila fruującą w mieszkaniu muchę.

– Uff, to tylko Rumbka biega za muszką – rzekł Krzysiek i szybko pobiegnął do kuchni.

– Wszystko w porządku, synku?! – krzyknął z łazienki tata.

– Tak, tak, przygotuję sobie tylko coś do jedzenia – odparł zgodnie z prawdą chłopiec i otworzył lodówkę, by wyjąć z niej jajka, mleko i masło, składniki do przygotowania ciastek.

– A co z czekoladą? – zapytał Kąsaczek, gdy na kuchennym blacie zobaczył poukładane produkty.

– Tu są całe zapasy czekolady! – pisała Gałąź, która często zaglądała do kuchennych szafek, a czasem nawet w nich zasypiała, ponieważ zapach czekolady, mleka i mąki działał na nią, jak mawiała – kojąco. Gałąź pochodziła z kraju, którego mieszkańcy często zmuszani byli do głodowania. Może właśnie dlatego szczególnie lubiła kuchnię obfitującą w zapasy żywności.

Krzyś i Kąsaczek założyli czapki kucharskie, chwycili za łyżki, mieszadła i inne przedziwne kuchenne sprzęty i zaczęli wyrabiać ciasto. Wciąż zdawało im się, że nie mają odpowiedniej ilości masy, by wystarczyło chociaż na cały tydzień dla wszystkich domowników. A już na pewno nie tyle, by pobić rekord.

– Za mało, za mało! – wołał Hak Gilak i wysypywał zawartość trzeciego opakowania mąki do miski z cukrem i masłem.

Zadaniem Kąsaczka było wymieszanie wszystkich składników, więc skakał i biegał wraz z naczyniem, by wszystkie produkty odpowiednio się ze sobą połączyły. Krzyś mieszał łyżką w misach wypełnionych po brzegi mąką. Gałąź kapała się w wiaderku z płynną czekoladą, a Hak Gilak otwierał kolejne opakowania słodkości. Tata zawołał ponownie.

– Krzysiu, czy wszystko w porządku? Słyszę dziwne dźwięki, ale nie mogę ci pomóc, bo teraz karmię małą. Dajesz sobie radę?

– O tak, tak! Jak skończę, to cię poproszę o pomoc! – krzyknął w stronę dużego pokoju chłopiec. Chciał, żeby tata rozgrzał piekarnik. Krzyś był rozsądnym chłopcem i wiedział, że nie wolno samemu obsługiwać kucharki elektrycznej.

– Ale się tata zdziwi, jak tu wejdzie – śmiał się Kąsaczek. – Tyle ciasta na raz w życiu nie widział!

– Tak, produkujemy więcej niż największa cukiernia w tym mieście! – zaśmiała się Gałąź.

– Chyba chciałaś powiedzieć, największa cukiernia na świecie! – ucieszył się Hak Gilak.

– Ach, gdyby tak produkcja ciast w dalekich stronach, z których pochodzę była równie duża... Tam nie było nawet kostki cukru do herbaty – westchnęła Gałąź, gdy przypominała sobie o strasznym uczuciu głodu, które bez przerwy towarzyszyło jej, jeszcze zanim zamieszkała w domu Krzysia.

I tak produkowali, i produkowali... Gdy skończyli, Krzyś spojrzał na ich cukiernicze dzieło. Na blacie, na stole, na krzesłach i na podłodze pełno było talerzy z ciastami. Pozostało też sporo czekolady do udekorowania. Zapanował ogólny bałagan, ale nikt nie miał już siły sprzątać.

– Chyba produkcja przerosła nasze najśmielsze oczekiwania – podsumował chłopiec z lekkim przerażeniem, gdy rozejrzał się wokół. Nawet nie przypuszczał, że są w stanie stworzyć tak wiele słodkości. Trzeba pamiętać, że mali pomocnicy Krzysia byli obdarzeni niezwykłą mocą. Jeśli tylko zapragnęli, mogli wykonywać

zwykle czynności w niezwykłym tempie. Coś co człowiekowi zajmowało godzinę, oni mogli zrobić zaledwie w jedną minutę.

Do kuchni wszedł tata i stanął jak wryty. Spojrzał z przerażeniem na Krzysia.

– Synku, po co przygotowałeś tak dużo ciast?

– Wiesz, tato... Chciałem pobić rekord w produkcji ciastek.

– A czy nie sądzisz, że jeśli zaczniemy je wszystkie piec w piekarniku, to zapłacimy za prąd rekordowy rachunek. Musielibyśmy również wtedy wymienić piekarnik, bo ten zostałby już całkiem zużyty?

– No, może...

– A kto zje tyle ciast?! Zazwyczaj pieczemy znacznie mniejsze ilości, a i tak potem nie jesteśmy w stanie wszystkiego upchnąć w naszych brzuchach – kontynuował zaniepokojony tata.

– Jakoś to zjemy, przecież nie wolno marnować jedzenia – odparł niepewnie Krzyś, bo przypominał sobie, jak podczas swoich urodzin zjadł za dużo tortu i czekolady, a potem bardzo cierpiał z przejedzenia.

– Synku, ale tu jest tego tyle, że potrzebnych by było dziesięć takich rodzin jak nasza... żeby to wszystko zjeść. Chociaż nie, chyba znacznie więcej...

Tata patrzył ze zdziwieniem na kuchnię, której każdy wolny kawałek był zajęty przez czekoladowe ciasta. Wyprodukowana przez Krzysia i jego przyjaciół ilość była naprawdę rekordowa. Był tak oszołomiony, że nawet nie poruszył jeszcze kwestii posprzątania kuchni.

– Wiem, ale jakoś to zjemy – powiedział Krzyś z trudem przełykając ślinę przez zaciśnięte gardło.

Minęło kilka dobrych godzin, zanim tata opanował sytuację w kuchni. Uznał, że część ciasta zamrozi, by zrobić je później, a pozostałą część od razu upiecze, by Krzyś i Staś poczęstowali dzieci w przedszkolu oraz zanieśli dziadkom. Trochę zostawi też dla domowników. Ale co zrobić z kolejnymi porcjami? Wciąż było tego dużo.

Krzyś nie był zbyt zadowolony z faktu, że tata zagonił go do pomocy w sprzątaniu kuchni. Przecież nie mógł wyznaczyć do tego zadania ani Kąsaczka, ani Haka Gilaka, ani też pozostałych łobuziaków z szuflady, bo dorośli z reguły nie dostrzegają małych mieszkańców. Warto jednak dodać, że tata miał w tym zakresie pewne podejrzenia.

Pieczenie ciast zajęło im dobre dwa dni, a jedzenie ich przestało sprawiać przyjemność po pewnym czasie... Ciastek było bardzo dużo, a przecież nie można żywić się jedynie słodkościami. Mama musiała uzupełnić zapasy jajek, mąki, cukru i masła. Nie zdecydowała się na odnowienie zapasów czekolady. Obawiała się, że Krzyś może wpaść na nowy kulinarny pomysł.

Staś, który zazwyczaj uwielbiał słodkocze, po zjedzeniu dziesięciu ciastek oznajmił:

– Nigdy już nie zjem ciastek. Żadnych!

Krzyś również nie miał już ochoty na ciastka. Zawinał kilka sztuk dla swoich kolegów z szuflady. Chciał żeby spróbowali swojego dzieła. Stworki były bardzo małe. Po zjedzeniu jednego wspólnego ciastka,

spaly z przejedzenia pięć kolejnych dób.

– Tato, przepraszam – wyszeptał Krzys.

– Wiem, że ci przykro – odparł tata. Doskonale pamiętał, jakie pomysły przychodziły mu do głowy, gdy miał zaledwie pięć lat.

– Ale przykro mi też z tego powodu, że zmarnowałem tyle jedzenia...

– Niestety... Zanim zaczniesz się coś produkować na masową skalę, trzeba zastanowić się, czy to w ogóle jest komuś potrzebne. Jeśli okaże się, że nie, to włożony w to wysiłek i praca zostaną zmarnowane tak samo, jak wszystkie półprodukty, które wylądowały w śmieciach. Wciąż na świecie istnieją obszary, na których brakuje wszystkiego, podczas gdy na innych wszystkiego jest stanowczo za dużo. Jak wiesz synku, bo jesteś bardzo mądry, najważniejsza jest równowaga.



Ewa Pokojńska-Trocyk

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Na pomoc bateriom, na pomoc Ziemi!¹

Niedaleko, nawet nie przed laty
Blisko siebie istniały dwa światy.
W jednym wybuchła nieczysta afera,
Bo oto Szpieg – Bakteria głos zabiera.

– Hejże, hejże, hola, hola,
Jest przebiegła moja rola!
Bo stoi przede mną zadanie kuszące,
Bakteria – na polu, bałagan – na łące!

Istniały zatem dwa światy,
Jeden mógłby być bogaty.
Wszak z czystości miałby słynąć
Lecz plan ten miał szybko zginąć!

Szpieg chytry zaciera ręce,
Przelewa coś, zapisuje,
Pomysłów niecznych ma więcej.
Spogląda przez lupę, zakasa rękawy.
– Ooo! Zdecydowanie plan mój jest ciekawy!

Świeci słonko nad ziemią,
A trawy się zielenią.
Wiosna już jest tu całkiem blisko,
Lecz zmienić się zaraz ma wszystko.

– Czysta ziemia? Świeża zieleń?
Aż po oczach moich bije!
Ale nudno, nieprzyjemnie,
Czystej wody ja nie piję!!!!
Szpieg znowu zaciera ręce,
Czyni zła więcej i więcej!

– To wielkie nieporozumienie,
Niech ciecz ogarnie całą Ziemię!
Zwoluję natychmiast, bez kokieterii
Czarno-Czerwone Oddziały Baterii!
Niechaj na mój rozkaz panoszą się wszędzie:
W dolinie, w kotlinie, niech ich pełno będzie!
W lasach, na łąkach, w sadach i ogrodach,
Na polach, w górach, w przejrzystych strumykach!
Ten sielski i czysty obrazek niech znikną!
Moje Oddziały Baterii zajmą wszystko!
Swą zabójczą substancją,
Tą substancją kleistą!
Namawiam Was na wczasy,
Woda, łąki i lasy.
Niech Wasze brzuchy zużyte, trujące
Ogrzewa gorące słońce!

Pomysłem baterii końca nie było,
W szaleństwach przeróżnych wciąż wybierały!
Tu się rozlały, tam wypływały...
Fantazja Szpiega – niedoskonała – granic
umiaru nie miała!

Tu w pobliskim przedszkolu często była mowa,
BY ZUŻYTE BATERIE KONIECZNIE
SORTOWAĆ.

Jużabrały się dzieciaki szybko do dzieła!
Wielka bateria w szatni, jak beczka się nadęła!
– Wypełnimy sortownik aż po brzegi same
I się skończy dla Ziemi ten niezdrowy zamęt!

¹Opowiadanie wierszem powstało na podstawie scenariusza Ewy Pokojńskiej-Trocyk do przedstawienia dla dzieci w wieku przedszkolnym *Czy baterie są jak bakterie?*, Przedszkole Integracyjne Nr 137 im. Janusza Korczaka w Warszawie

Nim wiosna rozkwitła, już była czysta okolica,
Bo żaden z pomysłów Szpiega tu dzieci nie zachwycił
I nie ma szans bakteria, by odejść z godnością,
Wszak dzieci się kierują prawdziwą mądrością.

Wydały osąd jasny i wstydlivy.
– BATERIA NIBY TAKA POWAŻNA,
A MANIER NIE ZNAŁA!



Izabela Barankiewicz

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Infrastruktura i budownictwo

Infrastruktura i budownictwo
Potrzebne są i konieczne,
Lecz by ich ludzie mogli używać
Muszą być zawsze bezpieczne!

Infrastruktura to drogi, mosty,
Chodniki oraz koleje.
Chciałbyś przejechać więc takim mostem,
Który się trzęsie i chwieje?

A budownictwo? Czy to przedszkole
Dobrze by dzieci chroniło,
Gdyby na wietrze albo wichurze
Dach własny by utraciło?

Nie – Ty odpowiesz, bo dobre drogi,
Budynki nowe i śliczne
Muszą odporne być też na trudne
Czynniki atmosferyczne

Na osuwiska i silne wiatry,
Opady, wstrząsy sejsmiczne
I na pożary oraz na burze,
Warunki geograficzne...

Dla środowiska ani dla ludzi
Nie będzie już zagrożenia,
Gdy te zjawiska nie spowodują
Ich zniszczeń czy uszkodzenia.

Dlatego najpierw inżynierowie
Muszą je tak projektować,
By budowlańcy drogi i domy
Bezpiecznie mogli budować!





Kinga Kuszak

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Historia Balandii

Przed wieloma wiekami, za wieloma górami, za wieloma lasami i wieloma morzami, znajdowała się kraina mlekiem i miodem płynąca. Zwano ją Balandią. Jej mieszkańcy żyli dostatnio oraz szczęśliwie. Choć dużo pracowali, potrafili znaleźć czas na ucztowanie i robili to znakomicie. Balandia słynęła na całym świecie, a może i w całym wszechświecie z wystawnych uczt i przyjęć. Ogromne stoły zastawiano wielkimi garnkami, półmiskami i wazami wypełnionymi zupą, wybornie przyrządzonym bigosem, zawieszistymi sosami, soczystymi mięsami różnego rodzaju oraz zapiekankami z roztopionym, ciągnącym się serem na wierzchu. Oprócz tego nigdy nie brakowało słodkości: ciast, ciasteczek, tortów, torcików, tart, bab i babeczek, pucharków wypełnionych lodami czekoladowymi, waniliowymi, śmietankowymi, owocowymi, a nawet takimi o smaku kielbasy, kotletów czy kiszzonej kapusty.

Balandia słynęła też z hucznych zabaw trwających przez wiele dni. Podczas balów mieszkańcy tańczyli przy najwspanialszej muzyce. Spotkaniom zawsze towarzyszyły wyjątkowe pokazy fajerwerków, które rozświetlały niebo tak bardzo, że na całej półkuli, a pewnie i w całym kosmosie wszyscy wiedzieli, że mieszkańcy Balandii właśnie teraz świętują. Bawili się często i z niebywałym rozmachem! W Balandii organizowano zawody, kto przygotowuje najznakomitszy bal. Ambicją każdego mieszkańca było te zawody wygrać albo chociaż znaleźć się wśród corocznych laureatów. Był to ogromny przywilej. Nagrody dla zwycięzców były niesamowite: ciężarówka pełna lodów czekoladowych, wagon maślanych babeczek nadziewanych rodzynekami, cysterna soku pomarańczowego. Każdy chciał zasłużyć na takie wyróżnienie, by móc podzielić się wygraną z rodziną, przyjaciółmi oraz sąsiadami.

Właśnie trwają przygotowania do kolejnego balu. Wyobraźcie sobie mieszkańców Balandii, tych małych i dużych, którzy krzątają się, by zorganizować najwytworniejszy, najwspanialszy, a przede wszystkim niezapomniany bal. Taki, którego do tej pory nikt nie zorganizował!

Przygotowania do balu nie były wcale takie proste. Oprócz zorganizowania samego przyjęcia, należało przygotować się również do pozostałych biesiad. Wpadało uczestniczyć we wszystkich balach, a przecież nie było w Balandii osoby, która nie wyprawiałaby tego dnia uroczystego bankietu. Trzeba było odwiedzić sąsiadów, znajomych, rodzinę i przyjaciół, po prostu wszystkich. Zaraz po jednej uroczystej uczcie spieszo na drugą, jeszcze bardziej wytworną i piękną. Mieszkańcy Balandii musieli przebierać się wiele razy, ponieważ organizowano głównie bale tematyczne. Przecież na przyjęcie

w stylu Gwiezdných Wojen nie można pójść w przebraniu z balu maskowego, na fecie morskiej pokazać się w stroju ludowym. To by dopiero była pomyłka! Co by powiedzieli sąsiedzi i znajomi?!

Wszyscy bardzo się starają, żeby wyrobić się z przygotowaniami do każdego balu, a odbywają się one niemal codziennie. Wszystko wymaga ogromnego wysiłku. Mieszkańcy Balandii nie mogą zaniedbać organizacji własnego przyjęcia. Musi przecież być naprawdę wyjątkowe! Starają się więc bardzo, ale muszą znaleźć też czas na udział w pozostałych balach. Zatem wciąż jedzą, piją, tańczą i śpiewają. Jednak z każdym dniem są coraz bardziej zmęczeni i coraz mniej cieszą się na myśl o kolejnym, wyjątkowym balu. Nie czerpią już radości ze spotkań z sąsiadami i przyjaciółmi. Wszyscy się spieszą i w przelocie tylko coś do siebie warczą, mruczą, zgrzytają zębami, żeby im nie przeszkadzać, bo się spieszą. Coraz częściej bale kończą się kłótniami między sąsiadami. Nie brakuje też bójek i pojedynków. Bardzo często pięknie udekorowana sala zostaje zniszczona, cenna porcelana wytłuczona, a smakołyki są porozrzucane i rozdeptane. Uczestnicy, gdy zacznie się bójka, uciekają w popłochu do swoich domów. Zamykają się w nich, zasłaniają okna i czekają, aż nastanie spokój. A o to nielato, bo przecież codziennie odbywają się bale, w których każdy powinien uczestniczyć.

Król Balandii z prawdziwą troską przygląda się mieszkańcom i coraz częściej wyrывa sobie włosy z głowy, marszczy brwi i kurczy się ze zgryzoty.

– Coś jest nie tak. Tylko co?! – trapi się każdego dnia i każdej nocy. Zamiast cieszyć się, że mieszkańcy zorganizowali kolejny, przepiękny bal, smuci się. – Co robić, co robić? – myśli król. – Mieszkańcy Balandii nie potrafią już cieszyć się, miło świętować, nie umieją być razem... Auguście, czy nie wydaje ci się, że w Balandii źle się dzieje? – zapytał król swojego wiernego rycerza i oddanego przyjaciela.

– Tak, królu, w Balandii źle się dzieje. Mieszkańcy utracili radość z codziennego świętowania – odpowiedział August. – Przestali być szczęśliwi... – dodał po chwili zadumy.

– Co radzisz Auguście? Wymyśl coś proszę, zanim będzie za późno!

August usiadł przy królewskim stole, pochylił czerep i milczał. Siedział tak ze zwieszoną głową, przymkniętymi oczami i wyglądał, jakby zasnął. Król jednak wiedział, że August nie śpi. Cierpliwie czekał. Siedział na tronie i czekał, czekał, czekał, czekał... Cały dzień i kolejny, i kolejny, i jeszcze następny dzień...

– Wiem! Mam! – radosny głos Augusta przerwał ciszę w królewskiej komnacie. – Królu, mam pomysł, posłuchaj! Pochylił się w stronę władcy, a oczy aż mu błyszczały z radości. – Jak wiesz, na środku wielkiego lasu znajduje się pieczara. Żyje tam mój stary przyjaciel, smok o imieniu Leonard. Słynie z wyjątkowej mądrości i roztropności, choć mieszkańcy się go boją, bo w czasach szalonej młodości porywał owce i krowy z wiejskich zagród. Od lat jednak nie skrzywdził nikogo, a wielu pomógł. Pójdę do niego, poproszę o radę.

I tak August udał się w długą i niebezpieczną wyprawę do pieczary smoka. Szedł bardzo długo i rozmyślał nad tym, co powie Leonardowi. W końcu znalazł się przed smoczą jamą. Zapukał grzecznie i czekał, aż gospodarz uchyli drzwi. Po kilku minutach usłyszał niespieszne kroki. Leonard człapał w kierunku wejścia do pieczary. Gdy uchylił drzwi i ujrzał przyjaciela, aż podskoczył z radości.

– Auguście! Jak miło cię widzieć, wejdź proszę do środka. Co cię do mnie sprowadza?

– Leonardzie, ratuj! W Balandii źle się dzieje! – tymi słowami rycerz rozpoczął opowieść o zmartwieniach króla, kłótniach mieszkańców, a także o zmęczeniu i złości, które ogarnęły już wszystkich, nawet tych małych.

Leonard siedział, słuchał i tylko od czasu do czasu kiwał ogromną smoczą głową, a jego mądre oczy stawały się coraz bardziej smutne.

– Tak, tak... – powiedział, gdy August skończył. – Źle się dzieje... Trzeba wam ziela rozsądku i równowagi. Jego niezwykła moc przywróci właściwe proporcje. Znajdźcie czas na pracę, rozrywkę, ale także na odpoczynek. Mieszkańcy są zmęczeni, potrzebują spokoju. Weź ten worek wypełniony ziołami. Zorganizuj bal, zaprosz na niego wszystkich mieszkańców bez wyjątku i poczęstuj magicznym wywarem. Zaczekaj do rana, zobaczysz, co się będzie działo – powiedział Leonard i uśmiechnął się do Augusta.

Rycerz był już spokojny, wiedział, że wszystko się ułoży. Z nadzieją w sercu wyruszył w drogę powrotną. A gdy dotarł do miast, zrobił tak, jak poradził mu mądry smok. Wyprawił wspaniały bal, zaprosił mieszkańców i poczęstował ich magicznym napojem. I czekał...

Kiedy rano wzeszło słońce, w miasteczku panowała cisza. Nie było słyhać żadnych hałasów, które zazwyczaj towarzyszyły kolejnym przygotowaniom do balu. Nie było czuć zapachu pieczonych mięs i gotowanych zup. Nikt nie rozwoził napojów, nie rozwieszał świeżo wypranych sukien. Nikt nie poszukiwał zgubionych pantofelków.

Spytacie, co robili mieszkańcy w tym czasie? Wyobraźcie sobie, że wszyscy siedzieli w swoich domach przy stołach zastawionych skromnym, ale smacznym śniadaniem: bułeczkami, mlekiem, miodem i dżemem truskawkowym. Rozmawiali, uśmiechali się do siebie i nikt nie spieszył się na dzisiejszy bal. Wielu przypominało sobie, jak pyszne są bułeczki upieczone przez mamę i dżem zrobiony przez babcię. I wszyscy radowali się tym, że nie muszą się spieszyć, ani donikąd gnać. Nie trzeba było nikogo popędzać. Można było za to wyrzeć przez okno i uśmiechnąć się do słońca czy wesoło harcujących wróbli. Niektórzy dopiero teraz zauważyli, że przyszła wiosna, zaczęły kwitnąć drzewa, krzewy i wszędzie zrobiło się kolorowo, dzięki wspaniałym tulipanom. Właśnie tego dnia mieszkańcy Balandii przypomnieli sobie, co tak naprawdę jest w życiu ważne.



Izabela Barankiewicz

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Baterie

Dzieciaki drogie, czy Wy to wiecie,
Że te zabawki, co grają,
Tańczą i skaczą na całym świecie,
Dzięki bateriom działają?

Waszym mówiącym lalkom i misiom,
Rakietom, które latają
Baterie nowe nadają życie
Gdyż wszystko uruchamiają!

Jest jednak sprawa, o której dzisiaj
Muszę powiedzieć koniecznie!
Baterie, nawet te już zużyte
Naprawdę są niebezpieczne!

Kiedy więc miś Wasz mówić przestanie,
A samolocik nie lata,
Starą baterię wtedy z zabawki
Wyciągnąć musi Wasz tata.

Gdzie ją wyrzuci? Powiesz: Do śmieci!
Bo przecież się już zużyła...
Lecz nie do śmieci ją wyrzucimy,
Tam zagrożeniem by była!

Mogłyby wyciec z wnętrza baterii
Okropnie groźne metale!
Żadnych baterii, kochane dzieci,
Nie wyrzucamy tam wcale!

Trzeba je zanieść do pojemnika,
Co się w przedszkolu znajduje
Stamtąd zabierze je pewna firma
Właściwie zutylizuje.

To znaczy, że je w nowe zmieni
Lub zniszczy je ostatecznie,
Tak, by odpady z Waszych baterii
Były na zawsze bezpieczne.

Zatem, gdy dbacie o środowisko,
O nasze zdrowie i życie,
Zapamiętajcie dobrze to wszystko,
Tak właśnie Wy postąpicie:

Żadnych baterii i tranzystorów
Nie wyrzucajcie do śmieci!
Do pojemnika w waszym przedszkolu
Wrzucicie je, drogie me dzieci!





Ewa Skwarka

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Staruszek akumulator

W pewnym mieście mieszkał pan Paweł, który bardzo lubił podróżować. Uwielbiał swój czerwony samochód z dużymi czarnymi oponami, skórzanymi siedzeniami i kierownicą pokrytą futerką, żeby nie marzły mu dłonie w czasie podróży. Najważniejszy dla pana Pawła był jednak mały akumulator, który znajdował się pod maską samochodu. Pan Paweł przed każdą długą podróżą szczykował się zawsze w ten sam sposób. Najpierw sprawdzał czy opony są napompowane.

– Są! – z uśmiechem odpowiedział sobie pan Paweł. – A czy zatankowałem samochód? Uff, wszystko w porządku – odparł, gdy sprawdzał poziom paliwa.

Na końcu pan Paweł ładował przez kilka godzin akumulator. Ale tego dnia coś było nie tak. Samochód nie chciał odpalić.

– Oj, staruszkule – powiedział pan Paweł do akumulatora. – Przyszła na ciebie pora.

Następnie zamknął drzwi od garażu i poszedł spać. Jednak nie wszyscy tej nocy mogli zasnąć. Oj, nie! W garażu aż wrzało od rozmów i krzyków.

– Jak to przyszła na mnie pora?! – wołał akumulator, zalewając się kwaśnymi łzami.

– No nie płacz już, bo zardzewiejesz – próbował go uspokoić młotek, który leżał w skrzynce z narzędziami.

– Jak mogę być spokojny? – odparł akumulator. – Co się teraz ze mną stanie? Nie chcę trafić na wysypisko śmieci. Słyszałem, że śmieci leżą tam przez wiele, wiele lat.

– To prawda – wtrąciła zapasowa opona. – Słyszałam, że wysypisko odwiedzają tylko ptaki i że podobno nie pachnie tam zbyt ładnie... – dodała i natychmiast zamilkła, gdy zobaczyła przerażenie w oczach akumulatora, który wciąż nie mógł zasnąć. Nie da się przecież spać, gdy w głowie klębią się ponure myśli.

Rano pan Paweł wstąpił do garażu i podszedł do samochodu. Wyjął z niego akumulator i włożył do plecaka. Młotek i zapasowa opona aż jęknęły z przerażenia, gdy to zobaczyły.

– Będzie nam ciebie brakowało! – zawołały.

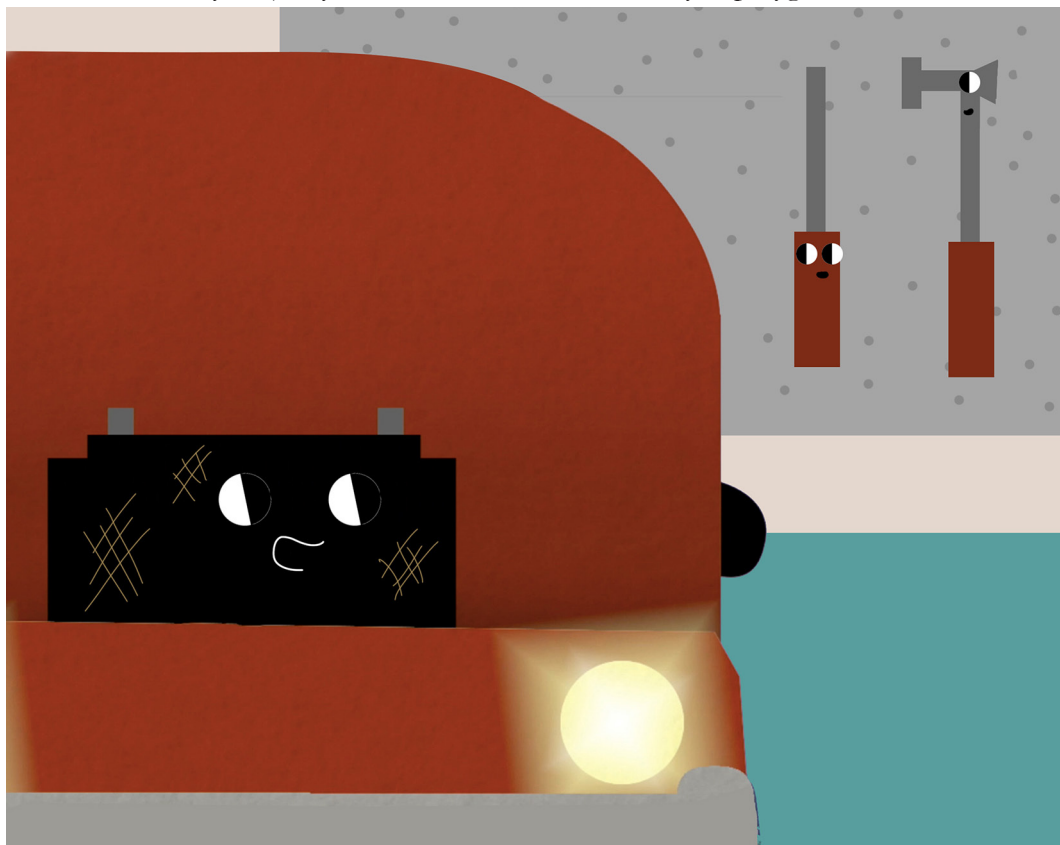
Po kilkunastu minutach pan Paweł doszedł już na miejsce, wyjął akumulator z plecaka i postawił na podłodze. Akumulator ostrożnie otworzył oczy. Bał się, co może tam zobaczyć.

– Czy to wysypisko? Gdzie ja jestem? – wyszeptał.

Wokół stały nowe samochody. Ich lakier błyszczał w słońcu, a na regałach w równych rzędach stały nowe akumulatory.

– Łal! Jakże piękne! – zawołał akumulator.

– Cześć staruszk! – powiedział największy z nich.
 – Cześć – odpowiedział nieśmiało stary akumulator i wyszeptał – Gdzie ja jestem i co teraz ze mną będzie?
 – Jesteś w sklepie z nowymi samochodami i częściami do aut. Choć jesteś stary, to cenny i w dodatku naprawdę niebezpieczny.
 – Ja? Niebezpieczny? – zdziwił się stary akumulator.
 – Ależ oczywiście. Nosisz w sobie olów i niebezpieczny kwas. Nie można cię zostawić na wysypisku śmieci ani wyrzucić gdziekolwiek. To bardzo ważne! Inaczej zacząłbyś niszczyć środowisko.
 – Ojej! – przestraszył się stary akumulator. – A co z moimi matalowymi i plastikowymi częściami?
 – Odzyskają je i przerobią. Być może będą mogły zostać wykorzystane do wyprodukowania nowego akumulatora. Takiego, jak ja – pochwalił się ten najbardziej błyszczący.
 – To cześć, staruszk! – powiedział pan Paweł i pogłodził akumulator. – Służyłeś mi długo. Byłeś ze mną w każdej podróży. Czas się pożegnać.
 Pan Paweł ociągając się nieco, przekazał stary akumulator pracownikowi sklepu.
 – Proszę się nie martwić – odparł mężczyzna. – Zajmiemy się nim. Odzyskamy, co tylko się da.
 Pan Paweł kupił nowy akumulator. Po przyjeździe do domu zamontował go w swoim czerwonym samochodzie.
 – Gotowy do jazdy? Czekają nas razem wiele nowych przygód!



Izabela Barankiewicz

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Produkcja i konsumpcja

Zadam trudne pytanie:
 Co to „produkcja”? Wiedziecie?
 To wyprodukowano,
 Co nas otacza w świecie.

Krzesło, na którym siedzisz
 I sok, który wypileś,
 I cegły, by zbudować
 Wszystko, gdzie dotąd byłeś.

A każdy, kto zakupił
 To, co produkowano,
 To zwie się konsumentem,
 Tak go właśnie nazwano.

Teraz świat gna do przodu,
 Więcej się produkuje,
 Bo każdy z nas codziennie
 Bardzo dużo kupuje.

To niszczy środowisko,
 Dlatego są wyzwania:
 Jak zmienić ma producent
 Sposób produkowania?

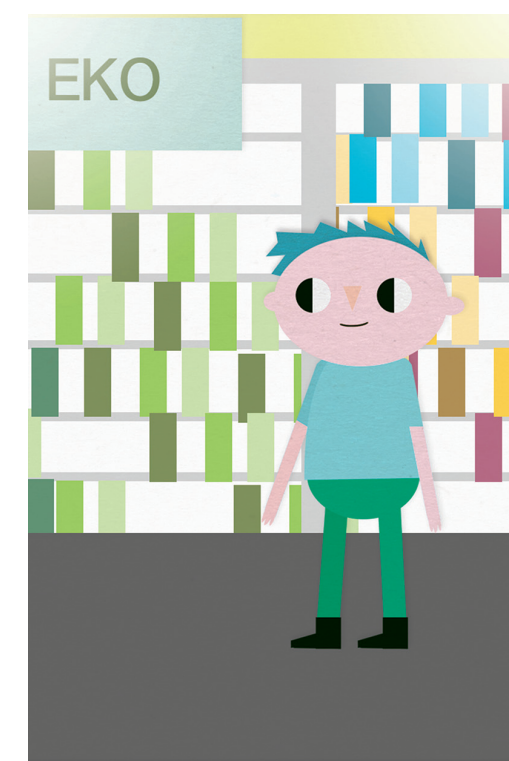
Ma produkować więcej
 A mniej surowców zużyć
 Po to, by zmniejszyć koszty,
 Środowiska nie burzyć.

Konsument – może kupić
 Rzeczy oznakowane,
 Że są ekologicznie,
 Zdrowo produkowane.

Konsument i producent,
 Odpowiedzialne strony.
 Od obu stron zależy
 Rozwój zrównoważony!

Dziś kupujesz, w przyszłości
 Będziesz też produkować.
 Konsument i producent
 Naturę ma szanować?

Ponieważ także Tobie
 Nasza Ziemia jest bliska,
 Niechaj też będzie ważna
 Ochrona środowiska!





Anna Krystynek-Kuryś

12 ODPOWIEDZIALNA
KONSUMPCJA
I PRODUKCJA



Zabawy w Paszkłopli

W Paszkłopli, gdzie mieszkały kolorowe smoki, które bardzo kochały porządek, zbliżał się właśnie dzień wspólnego biesiadowania. Wszyscy mieszkańcy przygotowywali się do tego dnia bardzo solidnie. Rodzina Smokowskich zastanawiała się nad przygotowaniem nowej potrawy. Zależało im na wygranej w konkursie na najciekawszą salatkę. Tata Smokowski sprawdził, czy wszystkie warzywa urosły w ogrodzie, a mama w tajemnicy przygotowywała przepis na salatkę. Bardzo chciała wykorzystać dorodne pomidory, kapustę, cebulkę i pestki słonecznika. Zastanawiała się jeszcze nad użyciem kilku innych warzyw. To miała być niespodzianka. Tradycyjnie, jak co roku, mama przygotowywała inną salatkę. Dzieci też chciały pomóc mamie i pewnie przyniosą warzywa z ogrodu i pomogą je pokroić. Wiedzą, że wszystko musi być poukładane na pięknych salaterkach. Zaza powycina ozdoby i przyklei na brzegu salaterek, mała Zola też pomoże przy tej pracy. Ząbek będzie asystował w układaniu salatkę w miseczce i przyozdabianiu jej ziółkami. Wszyscy bardzo się cieszą, że za chwilę będzie święto.

Paszkłopla słynęła z wesołych zabaw, ale też z idealnego porządku, który panował podczas wspólnych uroczystości. Mieszkańcy wioski wyróżniali się tym, że byli różnokolorowi. Ząbek ma piękny czerwony ogon, Zaza ma nieco mniejszy – niebieski, a mała Zola jakże śliczny – zielony ogonek. Zawsze robią dużo zamieszania, ale ile przy tym zabawy i śmiechu. Wszyscy w Paszkłopli przygotowują się do uroczystości. Mama nie chce nikogo wpuścić do kuchni, właśnie wyczarowuje swoją salatkę. Tata Smokowski ustawił duże kolorowe pojemniki na placu pośrodku wsi. Będzie do nich można wyrzucać śmieci. Wszyscy doskonale wiedzą, co należy wrzucić do zielonego, co do czerwonego, a co do niebieskiego pojemnika. Ząbek, Zaza i Zola biegają wokół pojemników i każdy z nich chowa się za kontenerem, który odpowiada kolorowi jego ogona. Mała Zola bardzo się ucieszyła, gdy tata dowiózł żółty pojemnik na plastik. Jej zielony ogonek pięknie się prezentował na tle tego koloru.

Na placu było coraz głośniejsze, robiło się wesoło i kolorowo. Przybiegły inne smoki i zabawa rozkręciła się jeszcze bardziej. Dorośli ustawiali stoły i ławki, a dzieci biegały pomiędzy i świetnie się bawiły. Zola chowała się za pojemnikami, Ząbek jej szukał. Łatwo było ją znaleźć. Najwięcej trudności miał, gdy ukryła się za pojemnikiem na szkło, bo był w tym samym kolorze, co jej ogonek.

Wieczorem wszystko było już przygotowane, a zmęczone smoczki poszły odpocząć do domu. Mama była nadal zajęta przygotowywaniem przysmaków, które ukrywała w spiżarni. Dzieci miały już tylko pomóc w przyozdobieniu salaterek.

Tata powinien jeszcze nadmuchać zielone, niebieskie, żółte i czerwone balony. Na każdym był stosowny napis: na zielonych – szkło, na żółtych – plastik, na czerwonych – metal, a na niebieskich – papier. W ten sposób małe smoki uczyły się, jak należy segregować śmieci. Kolorowe balony z napisami świetnie im o tym przypominały. W Paszkłopli porządek był bardzo ważny dla wszystkich, dla małych mieszkańców również.

Następnego dnia na placu zrobiło się jeszcze bardziej kolorowo. Wszyscy przybyli na wspólne biesiadowanie. Smokowscy byli ubrani odświętnie, tak jak pozostali. Na stołach ustawiono przysmaki. Komisja degustowała przygotowane potrawy i każdy w napięciu czekał na ogłoszenie wyników. Były występy, tańce i zabawy. Konkursowe potrawy znikły szybko ze stołów. Ząbek, Zola i Zaza brali udział w konkursie na najdalszy skok. Zabawa była wyśmienita.

Nadszedł jednak czas sprzątania. Trzeba było wszystko uporządkować i wrzucić śmieci do właściwych pojemników. Ząbek podbiegł z plastikami do pojemników i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wszystkie pojemniki były obklejone różnokolorowymi papierami. Ktoś chciał zakłócić porządek, jaki panował w Paszkłopli. Ząbek nie wiedział teraz, do którego pojemnika wrzucić plastikowe śmieci. Zostawił wszystko na ziemi i pobiegł po tatę. Zrobiło się niemałe zamieszanie. Nigdy wcześniej coś takiego się nie zdarzyło.

Tata Smokowski znalazł sposób, jak temu zaradzić. Do każdego pojemnika przyczepił balon w innym kolorze. Mieszkańcy Paszkłopli odetchnęli z ulgą, byli już spokojni o porządek w mieście. Rano słońce znów oświecił posprzątany plac. Ząbek, Zola i Zaza ochoczo pomagali w segregowaniu śmieci. Mama była dumna, ponieważ jej салатка wygrała w konkursie kulinarnym. Zola tuliła się do niej, a do jej zielonego ogonka przyczepił się zielony balonik. Małutka była tak zmęczona, że wcale nie zwracała na to uwagi. Wszyscy mieszkańcy Paszkłopli byli zadowoleni z udanego biesiadowania, ale też dumni ze swojej dbałości o porządek.



Katarzyna Sadowska

13 DZIAŁANIA
W DZIEDZINIE
KLIMATU



O Powietrzu, Ziemi, Wodzie, złym Ceod-Wa i Tempusie

Trzy żywioły – Powietrze, Woda i Ziemia mogły istnieć dzięki temu, że świat był czysty i uporządkowany. Nocami na niebie świecił dobry Księżyc. Towarzyszyły mu migoczące Gwiazdy, które wskazywały Zwierzętom w nocy drogę do domu. Za dnia Ziemię ogrzewało swymi promieniami Słońce. Powietrze przyjaźniło się ze wszystkimi, a w szczególności kochało zielone Krzewy i Drzewa.

Pewnego dnia na Ziemi pojawiły się istoty twórcze i myślące, które nazywano ludźmi. Zachwycali się czystym Powietrzem, życiodajną Wodą i potencjałem Ziemi. Rozpoczęli wędrówki przez lądy i rejsy przez oceany. Ludzie byli szczęśliwi, ponieważ Powietrze, Woda i Ziemia dobrze im służyły. Niestety, choć byli uważani za istoty myślące, mieli bardzo złą cechę. Nie potrafili służyć swym dobrodziejom. Czerpali więc nadmiernie Wodę, podporządkowywali sobie kolejne skrawki Ziemi i korzystali pełną piersią z Powietrza, jednak bardzo mało dawali im w zamian. Tak mijały kolejne dni, tygodnie, miesiące, lata i wieki...

Wysoko w górach mieszkał ród prastarych zegarmistrzów, którzy jako jedyni byli świadomi, że czas dany ludziom na Ziemi należy cenić i pielęgnować. Nikt jednak nie słuchał i nie zastanawiał się nad tym, co próbowali przekazać wszystkim ludziom... Uważano, że nie powinni się wymądrzać, skoro zajmują się tylko nakręcaniem zegarów...

Dawno temu pewien wolny Człowiek uznał, że warto byłoby zmienić nieco Ziemię, udoskonalic uprawy, zapanować nad zwierzyną i stworzyć takie wynalazki, by ludziom żyło się dużo wygodniej i łatwiej. Zebrał więc rzeszę mądrych Ludzi i zaczęli radzić.

– Dlaczego mam chodzić na własnych nogach, skoro mogę poruszać się na grzbiecie Zwierząt? – rzekł pierwszy z nich.

– Zamiast wykorzystywać zwierzęta, można skonstruować maszyny, które nie będą wymagały aż tyle czasu i opieki, co Zwierzęta... – rzekł drugi Człowiek, uradowany własnym pomysłem.

– Dlaczego w ogóle coś robić, skoro można skonstruować takie maszyny, które będą robiły wszystko za człowieka? Przecież można skonstruować nowy świat, w którym maszyny będą chodzić, pracować, a my, jako istoty twórcze i myślące będziemy tylko tworzyć i myśleć. Maszyny przez nas skonstruowane będą potem produkować kolejne maszyny, i kolejne, i kolejne... – zachwycił się swoją wizją trzeci z Ludzi. Następnie opowiadał o konstruowaniu przedziwnych tworów i maszyn. W ogóle nie zważał na to, że Powietrze, Woda i Ziemia były jego pomysłami bardzo zasmuczone.

Młody chłopiec o imieniu Tempus, który pochodził z prastarej rodziny zegarmistrzów i mieszkał w górskiej chatce na stromym zboczu góry Gnomon, otworzył okienko, by wpuścić do domu trochę Powietrza. Tempus był dobrym Człowiekiem. Od zawsze naprawiał zegary, tak jak jego pradziad i prababka, dziad i babka, ojciec wraz z matką i jak przypuszczał, w przyszłości również jego córka czy syn. Cała chatka młodzieńca aż tętniła dźwiękami tykających zegarów, a każdy traktowany był tu z wielkim szacunkiem. Wszystkie zegary, co nie często się zdarza, były tak zsynchronizowane, że wskazywały tę samą godzinę, tyle samo minut, a nawet sekund. Tempus posiadał również swój własny zegarek, który podarował mu niegdyś ojciec. Młodzieniec nosił tę pamiątkę na łańcuszku na szyi. Był to naprawdę wyjątkowy zegarek, idealnie zestrojony z rytmem serca osoby, która go używała.

– Dzień dobry, kochane Powietrze, co mi dziś przyniesiesz? Może zapach lasu, a może woń zielonej trawy? – zagadnął chłopiec do swojego przyjaciela. Gdy tylko uchylił okiennice, zawirowało mu w głowie, poczuł niesmak w ustach i szum w uszach. Zamiast świeżego Powietrza do jego pokoju wdarł się zły Duch, który rozpostarł skrzydła i objął czarnymi ramionami ciało młodzieńca. Tempus choć należał do odważnych, zląkł się. Nigdy wcześniej nie spotkał złego Ducha.

– Czym jesteś? – wyszeptał przerażony chłopiec i zakrył oczy dłońmi, by potwór nie opanował wszystkich jego zmysłów. Tempus poczuł także, że zegar na jego szyi zaczął tykać szybciej, niż zazwyczaj.

– Jestem Ceod-Wa, pan niemal wszystkiego, co stworzył myślący człowiek. Jestem duchem ludzkiego eksperymentu przeprowadzonego wobec Ziemi, Powietrza i Wody. Wdarłem się ukradkiem do Atmosfery, by zniszczyć każdy czysty powiew wiatru, skazić każdą kroplę deszczu, opanować lasy i skruszyć lodowce. Służą mi wiernie moi poddani, przede wszystkim Me-Tan i End-Wao. Jednak muszę przyznać, że to człowiek jest moim najwierniejszym sługą. Tyle czasu nikt mnie nie dostrzegał, tyle czasu nikt się mną nie przejmował... Nareszcie wybiła godzina mojej chwały! – zahuczał Ceod-Wa i wokół zrobiło się ciemno.

Tempus słuchał przerażony świstów i zgrzytów złego Ceod-Wa, zaczęły łzawić mu oczy i nagle jak przez mgłę dostrzegł, że cała Ziemia rozpada się na małe kawałki. Widział już tylko zarys górskich szczytów, suche gałęzie drzew, wypalone łąki. Słyszał, jak Zwierzęta rozbiegają się przerażone w poszukiwaniu choć skrawka bezpiecznej kryjówki... A wszystkie zegary w chacie zaczęły obracać swoje wskazówki tak szybko, że zdawało się, jakby czas bronił się przed wybiciem tej złej godziny, o której wspominał zły Ceod-Wa.

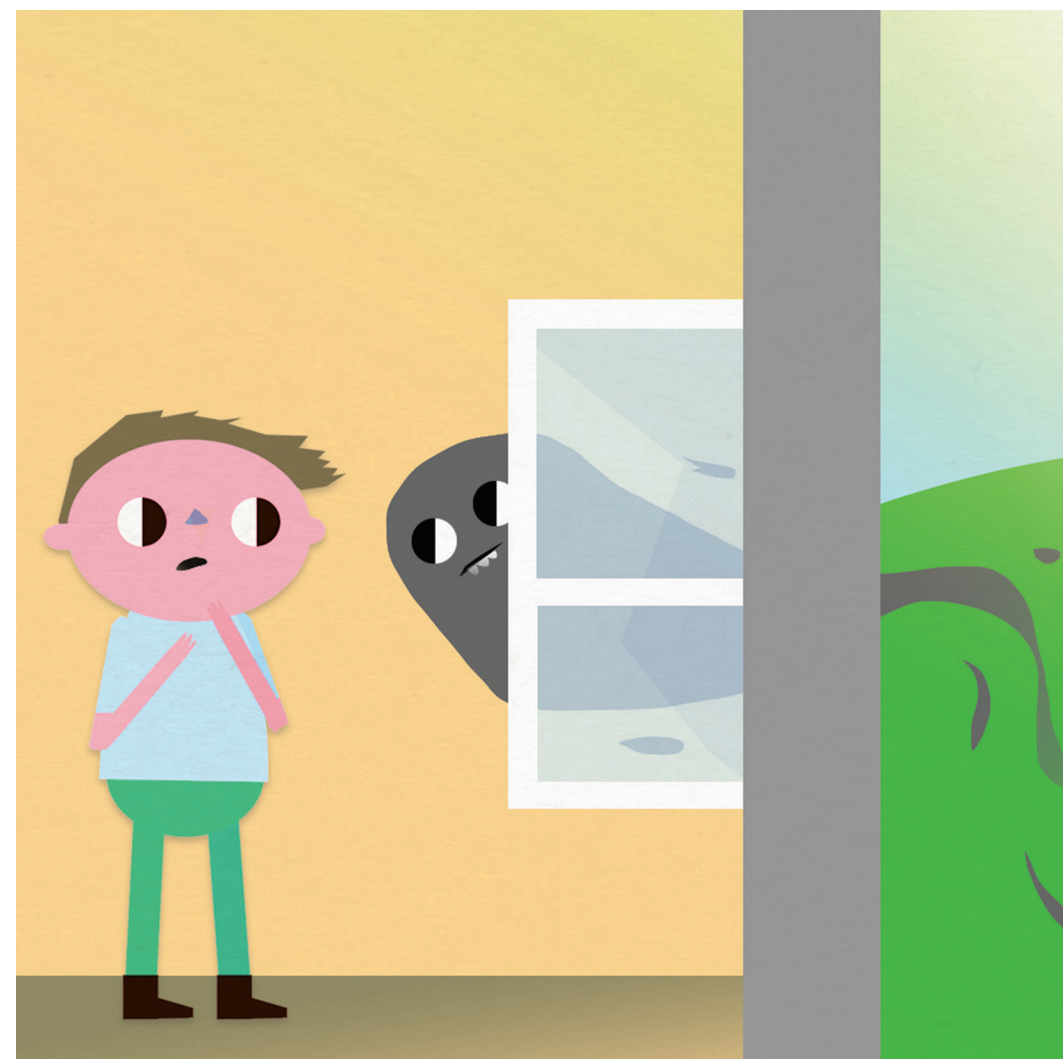
– Od momentu, gdy Człowiek stał się zupełnie bezkrytyczny i przestał dbać o Ziemię, Powietrze i Wodę, uzbroił mnie w siłę niszczycielską. A ja, początkowo bagatelizowany i przyczajony w ukryciu, rosem w siłę potężniejszą, niż jakakolwiek inna! Ha, ha, ha! – cedził Ceod-Wa i przybierał na mocy z każdym podmuchem wiatru.

Tempus widział, jak zły duch stawał się coraz większy, potężniejszy, straszniejszy, jak obracał wszystko w pył. Nagle uświadomił sobie, że musi

zatrzymać wskazówki zegara, wiszącego na jego szyi. W przeciwnym razie zły duch opanuje także jego serce. Zegar wydawał się być cięższy niż zazwyczaj, ciągnął chłopca gdzieś w dół, w przepaść bez dna... Nagle przyspieszył, tak jakby z każdym oddechem złego Ceod-Wa mechanizm chciał się wyrwać ze swojej kryjówki, a wskazówki uwolnić z tarczy zegara. Resztką sił wyciągnął śrubę w wiszącym niczym kamień u szyi zegarze.

Nagle Ziemia zadrżała, chłopiec upadł na posadzkę... Po chwili zrobiło się cicho, Powietrze jakby zatrzymało się w miejscu, zły Duch gdzieś zniknął, a Woda w pobliskim strumieniu zaszumiała.

Tempus otworzył oczy i rozejrzał się wokół. Zegary spokojnie tykały, Powietrze przyjemnie wibrowało, zegarek na jego szyi już mu nie ciążył, lecz delikatnie unosił się i opadał wraz z każdym wdechem i wydechem chłopca. Było całkiem spokojnie. Tempus odetchnął z ulgą, podniósł się i wyszedł na zewnątrz. Wydawało mu się, że jest jedynym Człowiekiem na Ziemi, że Czas cofnął się o tysiące lat i dał ludzkości drugą szansę na tworzenie i myślenie o nowym, lepszym życiu... Trzeba przyznać, że tak właśnie się stało...





Katarzyna Sadowska

14 ŻYCIE
POD WODĄ



O Lodowcu i Królu Oceanów

Dawno temu istniał Lodowiec, który bardzo kochał swoją ojczyznę. Mieszkał tam bardzo długo, bo aż od czasów epoki lodowcowej i znał całą okolicę, jak własną kieszeń. Każdego poranka Lodowiec obserwował wschód słońca. Przed południem miał w zwyczaju podziwiać niedźwiedzie polarne, które radośnie ślizgały się po lodzie. Pomimo swojej wagi i wielkości były zaskakująco zwinne. A jak wspaniale pływały! Popołudniami Lodowiec spoglądał na niebo. Znajdowało się bardzo blisko, tuż nad jego wierzchołkiem. Gdy je obserwował, z jego wnętrza dobiegał delikatny szum wody, tak jakby jego dusza cieszyła się, że niebo istnieje, że zapewnia całej ziemi stabilny i właściwy klimat, że właśnie to dzięki niemu wiele istot cieszy się życiem. Małe dzieci Lodowca dryfowały po wodach całej kuli ziemskiej. Lodowiec zadbał o to, by były dobre i użyteczne dla roślin, zwierząt i ludzi na całej Ziemi.

Pewnego dnia jeden z niedźwiedzi polarnych zachorował. Lodowiec spoglądał na chorego przyjaciela i mruczał niespokojnie:

– Mrr... Co się z tobą dzieje, drogi przyjacielu?

– Żle się poczułem...

– Co ci dolega, niedźwiedziu? Jesteś przecież taki silny i potężny, coś mogłoby cię tak powalić? – nie dowierzał Lodowiec, gdy patrzył na leżącego na boku i z trudem oddychającego przyjaciela.

Nagle oczom Lodowca ukazał się przeogromny tankowiec. Płynął prosto na nich... Tak, jakby nikt nie miał nad nim kontroli. Wokół tankowca, na wodzie unosiła się ogromna plama tłustej mazi, mieniająca się przedziwnymi kolorami. Tankowiec z pewnością był uszkodzony. Nie było jednak nikogo, kto mógłby go zreperować, a przede wszystkim naprawić szkodę wyrządzoną morzu.

– Chyba wiem, co zaszkodziło niedźwiedziowi... – pomyślał Lodowiec i zaczął wzywać króla oceanów. – Królu oceanów, pomóż! Zdarzyło się okropne nieszczęście!

– Kto mnie wzywa? – zahuczały i zawirowały wody.

Spod taflí dryfującego lodu wynurzył się król oceanów. Miał długie, białe włosy, które okalały jego pokryte łuskami ramiona. Jego twarz była pomarszczona od wody, a dłonie przypominały bardziej płetwy. Oczy króla wyglądały, jak dwie meduzy. Wokół szyi władcy pływały koralowce i tworzyły niesamowity morski kołnierz. Z nadgarstków zwisały bransolety z muszli i pereł.

– To ja, Lodowiec – odpowiedział, po czym uklonił się przed królem tak nisko, że przez chwilę zdawało się, jakby słońce oświeślało i ogrzewało biegun z dużo większą siłą, niż zazwyczaj. – Czy możesz pomóc uzdrowić niedźwiedzia? Czy mógłbyś, zacny królu, oczyścić wodę z tej gęstej plamy?

– A czy to nie powinno być zadaniem tych, którzy zanieczyszczali nasze oceany? – zagrmiał oburzony król.

– Tak, tak, ale ich tu nie ma, a niedźwiedzie polarne naprawdę źle się czują, nie wspominając już o innych istotach, które zamieszkują nasze wody... Przypuszczam, że te nie mają nawet siły, by odlepić się od tej paskudnej mazi – rzekł Lodowiec ze smutkiem i zaczął płakać nad losem morskich istot.

Lodowiec szlochał bardzo długo, a im bardziej zalewał się łzami, tym bardziej znikał w oczach króla. Woda zakrywała Lodowca i coraz większą powierzchnię lądu. Mimo że znacznie przybyło czystej wody, plama nie zniknęła... Lodowiec roztopił się z żalu już prawie do połowy, niedźwiedź leżał już niemal całkiem bez ruchu, aż wreszcie król coś postanowił.

– Ostatni raz sprzątam ten bałagan po człowieku! – powiedział stanowczym głosem. – Człowieku, masz ostatnią szansę! – zagrmiał król, a wody we wszystkich oceanach, morzach, jeziorach i rzekach groźnie podniosły się i złowieszczo zafalowały...

Król zebrał wszystkie swoje siły, a miał ich zadziwiająco dużo, jak na swój sędziwy wiek. Niedźwiedź podniósł oczy w stronę króla oceanów, on również spojrzał na polarne zwierzę i wyciągnął swe ramiona ku niebu. Spod królewskich rąk wypelzło tysiące pajaków, które zwinnie zaczęły tkąć gęstą sieć. Pracowały bez przerwy, wytrwale, aż sieć osiągnęła wielkość plamy. Wtedy król chwycił sieć w dłonie, które przypominały pletwy i powtórzył to, co zapowiedział chwilę wcześniej.

– Ostatni raz robię porządek po tobie, marny człowieku! Od tej pory wiedz, że gdy zaszkodzisz wodom i ich mieszkańcom, sam zostaniesz pochłonięty przez wody... Będziesz musiał sobie poradzić, bo mnie zabraknie już sił.

Król dmuchnął z całych sił i sieć pofrunęła nad wielką, lepką plamą, następnie osiadła na niej i objęła ją z każdej strony. Po chwili władca oceanów uniósł ponownie ramiona i sieć powędrowała ku górze, wysoko, wysoko, aż wreszcie zniknęła daleko w chmurach. Lepkie krople zanieczyszczonej ropy, którą wypił niedźwiedź polarny, opuściły jego brzusek i dołączyły do pajęczej sieci. Król dyszał z wysiłku. Jego pomarszczona twarz postarzała się o kolejne sto lat. Gdy sieć znalazła się wysoko, nagle zawisła na niebie i rozświetliła się tysiącem barw...

– Nie mogę zniszczyć zanieczyszczonej plamy całkowicie, ale mogę ją zamienić w coś innego. Jednakże sił starczy mi już tylko na ten jeden, jedyny raz... – westchnął król.

– Co to? – zapytał zachwycony Lodowiec?

– Co to? – powtórzył, spoglądając ku niebu, uzdrowiony niedźwiedź polarny?

– To znak ku przestrodze dla ludzi! – odpowiedział król. –

Nazwę to zorzą polarną, by każdy, kto tylko na nią spojrzy, przypomniał sobie, jak piękna potrafi być przyroda. Niech ci, którzy tu przyplyną i spojrzą z zachwytem na niebo, pamiętają, żeby nie niszczyć tego, co daje nam w prezencie natura... Muszą też pamiętać, że tym razem udało mi się ocalić przed zagładą wody i jej mieszkańców, ale wymagało to ode mnie wiele wysiłku...

– Zamieniłeś tę plamę w coś pięknego! – westchnął z zachwytem oczarowany zorzą Lodowiec.

– Tak, lecz następnego razu może już nie być... – rzekł król i powoli opadł na dno oceanu.

Lodowiec zachwycił się zorzą polarną. Kiedy mieniła się na niebie przepięknymi barwami, wszystkie stworzenia zamieszkujące Arktykę przystawały na chwilę, by ją podziwiać... Król nigdy więcej nie wychylił się ponad wody oceanów, więc od tamtej pory wszystko pozostaje w rękach człowieka.





Wioleta Bitner

14 ŻYCIE
POD WODĄ



Lolek. Smok, który ocalił morze

Na wyspie Samotnych Serc żył smok Lolek. Był tam jedynym przedstawicielem tego gatunku. Inne zwierzęta śmiały się z niego, że nie ma z kim się bawić i jest brzydki. Lolek często myślał jakby to było, gdyby miał smoczą przyjaciółkę lub smoczego przyjaciela. Niestety wiedział, że jest ostatnim smokiem na świecie.

Lolek chodził na plażę, aby popatrzeć na fale uderzające o brzeg. Bardzo też lubił łowić ryby, zbierać rozgwiazdy, małże i krewetki, a jego największym przysmakiem były ostrygi. Był naprawdę ogromnym smokiem i żeby nie czuć głodu, musiał zjeść bardzo dużo ryb i innych zwierzątek żyjących w morzu. Pewnego dnia, gdy poszedł na plażę po kolejną rybę, zobaczył w oddali pięknego, różowego delfina. Po chwili ten podpłynął do Lolka, popatrzył na niego uważnie.

– Ty jesteś Lolek? Smok z wyspy Samotnych Serc?

– Tak, to ja – odpowiedział zdziwiony.

Delfin przyjrzał się mu jeszcze dokładniej.

– Myślałem, że jesteś groźniejszy i większy. Wszystkie ryby w morzu mówią o tobie tak, jakbyś był najstraszniejszym potworem w tej okolicy.

Lolek bardzo się zdziwił i zasmucił, nie chciał być uważany za potwora.

– Dlaczego one tak mówią? – zapytał bardzo zaniepokojony.

– Nie domyślasz się? Przecież zjadasz wszystkie ryby, rozgwiazdy, małże, krewetki i ostrygi, które tylko na chwilę zbliżą się do wyspy! Jak tak dalej pójdzie, to w morzu zabraknie ryb i innych zwierząt.

– E tam! – powiedział Lolek. – To niemożliwe – i odszedł.

Zrobiło się bardzo późno i Lolek poczuł, że jest już bardzo zmęczony. Poszedł do swojego domku i położył się spać. Śniło mu się, że wybrał się nad morze po ryby i nagle zanurzył się pod wodę, ale ku swojemu zdziwieniu mógł tam normalnie oddychać. Chodził po dnie morza i rozglądał się dookoła. Szedł tak dłuższy czas, ale nikogo tam nie było, żadnych zwierząt, żadnej ryby, krewetki, rozgwiazdy... Nikogo, tylko pustka i ciemność. Przeraziło to Lolka i zaczął krzyczeć:

– Hej, hej, jest tu kto?! Hej, hej?! Odezwijcie się! Proszę! Czy ktoś tu jest?!

Ale nikt się nie odezwał. Po kilku godzinach chodzenia, Lolek usłyszał jakby wołanie z oddali.

– Chodź do mnie, chodź, tutaj!

– Ale gdzie? – spytał Lolek.

– Tutaj, jestem tu... I nagle przed Lolkiem pojawił się delfin, ten sam, którego spotkał dziś przy plaży.

– O! – ucieszył się Lolek – Jesteś!

– Tak, jestem – odpowiedział ze smutkiem delfin.
 – Dlaczego tu nie ma nikogo? – zapytał smok.
 – Mówiłem ci przecież dzisiaj, że zjadasz za dużo ryb i niedługo żadnej już nie zastaniesz w naszym pięknym morzu. Tak właśnie się stało. Pożarłeś na kolację wszystkie ryby, które były w morzu! I teraz morze umiera! Zobacz, tam w oddali już nic nie ma, nawet roślin, bo gdy nie ma ryb, to i rośliny umierają, a jak rośliny umrą, to już nic nie da się naprawić!
 – To straszne! – powiedział smok. – Tak nie może być! Co ja zrobiłem?! Delfinie, jak mogę uratować nasze morze?
 – Już nic się nie da zrobić. Chociaż...
 – Co? Co? – dopytywał smok. – Proszę powiedz, zrobię wszystko, aby uratować morze.
 – Jest pewne rozwiązanie, ale to będzie bardzo trudne zadanie. Nie wiem, czy dasz radę?!
 Lolek przerwał delfinowi.
 – Dam, na pewno dam! Mów szybko, póki nie jest jeszcze za późno!
 – Po pierwsze musisz przestać jeść tyle ryb. Po drugie na końcu tego morza żyje ogromny potwór, który zjadał równie dużo ryb, co ty. Kiedy nie było już tu żadnych zwierząt, przeniósł się do oceanu i teraz tam wyjada ryby. Musisz przekonać go, żeby przestał wylawiać ryby, bo inaczej umrze również cały ocean! Jeśli to ci się uda, przeniesiemy kilka gatunków ryb z oceanu i odbudujemy życie w naszym morzu!
 – Dobrze! – ucieszył się smok. – Tak, zrobię to na pewno!
 – Ale uważaj, bo ten potwór jest naprawdę niemiły i żarłoczny. Na pewno nie będzie tak łatwo go przekonać!
 Nagle Lolek obudził się i zobaczył, że leży nie w swoim łóżeczku, ale na plaży. Szybko podbiegł sprawdzić, czy ryby są w morzu. Nie był pewien, czy to był sen czy prawda. Niestety, ryb nie było. Popatrzył w dal i zobaczył odpływającego delfina, który krzyknął z daleka:
 – Powodzenia!
 Lolek zbudował solidną i piękną trawę. Wyruszył w podróż. Płynął bardzo długo, ale nikogo nie widział. A morze powoli umierało i doskonale o tym wiedział. Kolor wody już nie był tak piękny, a stał się smutny, szary i mętny.
 – Muszę znaleźć tego potwora, po prostu muszę! – pomyślał Lolek.
 Nagle na horyzoncie pojawił się zielony stwór, Lolek zaniemówił.
 – To, to... To przecież smok! Jak to możliwe? Przecież to ja jestem ostatnim smokiem na świecie!
 Podpłynął bliżej, przywitał się.
 – Cześć, jestem Lolek, a ty?
 – Jestem Pysia.
 – Wiesz, mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś przestać łowić ryby? – spytał nieśmiało.
 Smoczyca odwróciła się i zaczęła się śmiać.
 – A niby dlaczego?
 – Bo nasze morze umiera!

– Hmm, morze umiera?! Przecież ono nie żyje!
 – Tak, ale zwierzęta i rośliny w morzu i oceanie żyją. A my zjedliśmy prawie wszystkie ryby, wiesz? – powiedział smutno Lolek.
 – Jak to wszystkie? – spytała.
 – Spójrz na morze, jakie jest smutne, szare, ponure, to wszystko przez nas! Tu już nie ma ryb!
 – Ale ja łowię w oceanie, tu jest ich pełno!
 – Tak, ale wcześniej mieszkałaś na brzegu morza i tam je łowiłaś, prawda? Proszę, pomóż mi uratować morze. Spójrz jeszcze raz na ten widok... Czy to nie jest okropne?!
 – Jest! Masz rację! Pomogę ci, ale co my wtedy będziemy jeść?
 – Nie martw się – powiedział Lolek. – Ja będę gotował dla nas obojga, będzie smacznie i zdrowo, na pewno ci zasmakuje!
 Od tamtej pory Lolek i Pysia jedzą rośliny, owoce i tylko odrobinę ryb. Morze powoli odzyskało swoją dawną kondycję. Trwało to oczywiście długi czas, ale było warto. Woda błyszczała pięknym błękitem, a fale rozbijały się o brzeg plaży. Lolek nie tylko uratował morze, ale w końcu znalazł najlepszą przyjaciółkę, taką prawdziwą i na całe życie. Po całym zdarzeniu spotkał delfina, który serdecznie podziękował Lolkowi za pomoc i zniknął w pięknym błękitnym oceanie.
 Pamiętajmy, morze to nie jest sklep z niekończącymi się towarami. To naturalny system, któremu możemy wyrządzić wiele szkód. Dbajmy o nie, bo jest domem dla wielu zwierząt.





Joanna Wygachiewicz

14 ŻYCIE
POD WODĄ



Bajka o smoku, który szukał wody

Nie tak dawno temu, za pięcioma dolinami, trzema wąwozami i wysokim wodospadem żyła sobie smocza rodzina. Mieszkała w dobrze urządzonej i przytulnej jaskini u stóp wzgórza zwanego Tirmo. Nieopodal smoczej jamy znajdował się przepiękny sad. Owoce tam zebrane były tak pyszne i dorodne, że już sam widok, zapierał dech w piersiach. Sad był chlubą Smoka Zygmunta – głowy smoczej rodziny. Wraz ze swoją żoną, Kajrą, codziennie doglądali i podlewali każde drzewo z osobna. Owoce stanowiły główne źródło pożywienia dla całej rodziny i utrzymania, gdyż rodzina sprzedawała je na targu. Smoczęta: Dyzio, Mela i Augustyś pomagały rodzicom w pracy na roli, choć bardziej zajmowała je zabawa ze smoczymi sąsiadami. Lubili wspólnie rzucać księżycowe kamienie do beczki pełnej wody. Dużo zabawy sprawiało im rozchłapywanie wody nawet na dwa metry. Niektóre z kamieni zamiast wpadać do środka, odbijały się uparcie od wszystkiego i nie lądowały tam, gdzie powinny. Takie już były, odskakiwały na boki, jakby były pileczkami, a nie kamieniami.

Pewnego lipcowego dnia Zygmunt, jak co dzień, wybierał się właśnie do ogrodu z ogromną konewką. Gdy nachylił się nad studnią, zauważył, że jest w niej mniej wody, niż zwykle. Spuścił więc wiadro niżej. Wyciągając je, zastanawiał się, co mogło być tego przyczyną. Lecz gdy tylko napelnił konewkę, zaczął planować cały dzień.

W chwili gdy przekroczył bramę ogrodu, widok, który ujrzał, ocucił go natychmiast. Stał nieruchomo, jakby był z kamienia, a wiadro wysunęło mu się z pazurów. Wszystkie drzewa wyglądały jakoś inaczej, liście przykłyły, jakby je długo piekło słońce, a owoce pomarszczyły się lekko i straciły blask, który tak zawsze zachwycił Zygmunta. Nagle usłyszał łkanie dochodzące zza drzew. Podeszedł bliżej. To była Kajra, jego żona. Klęczała pod jednym z drzew i płakała.

– Och, Zygmuncie, nasze drzewa są chore! Spójrz na owoce... Co im jest? Co będziemy jedli i z czego żyli? – żaliła się głośno Kajra.

– Nie wiem, najdroższa, ale coś wymyślę, obiecuję – Zygmunt pocieszał żonę. Kajra otarła rąbkiem sukienki łzy z policzka i wstała. Podeszła do konewki.

– Przyniosę wodę, ta się wylała.

Odwróciła się i pomału ruszyła w stronę bramy. Słowa Kajry dźwięczały Zygmontowi w uszach.

– Wodę, wodę... – powtarzał w myślach. – Już wiem! – krzyknął.

Tak, teraz już wszystko stało się jasne. To woda! A raczej jej brak. Nie ma jej już prawie w studni i nie ma jej wystarczająco dużo w ziemi, dlatego rośliny więdną. Ale co teraz? Przecież to straszne. Kiedy to zrozumiał, zasmucił się i opadł na kolana na ścieżce pomiędzy rzędami swoich ukochanych drzew. Co teraz?! Zrozpaczony patrzył w kierunku sadu. W głębi duszy wiedział, co powinien zrobić.

Tylko jedna osoba w Smoczej Krainie mogła mu pomóc. Zerwał się z kolan i pobiegł do żony. Opowiedział jej wszystko, a całej rozmowie przysłuchiwały się ich dzieci z lekko otwartymi pyszczkami i strachem w oczach. Mela miała nawet łzy w oczach. Rodzice tak szybko wymieniali zdania między sobą, że części z nich Mela nie była w stanie zrozumieć. Jaki mędrzec? Jaka ścieżka przez urwisko? Była przerażona, a łzy same kapwały na jej lawendowy fartuszek.

Zygmunt wbiegł do domu i w pośpiechu zabrał kilka rzeczy i wrzucił do plecaka, który stał zakurzony na szafie, zapomniany już od kilku lat. Dyzio, jako najstarszy z rodzeństwa miał iść ze swoim ojcem. Dokąd? Otóż Zygmunt wybierał się do jaskini Starego Smoka Mędrca, który mieszkał na samym szczycie wzgórza Tirmo. Droga wiodła przez gęsty las, który wznosił się coraz wyżej i wyżej. Jednak to nie strome podejście było najtrudniejsze... Najbardziej niebezpieczna miała być przeprawa przez skalne urwisko u szczytu wzgórza. Ścieżka w tym miejscu była tak wąska, że łapa dorosłego smoka z trudem się na niej mieściła.

Spakowani pożegnali się z rodziną i ruszyli w drogę. Kiedy mijali ogrodzenie sadu, Zygmunt spojrzał błyszczącymi oczami na swoją jakże smutną, lecz nadal piękną plantację. Dyzio jeszcze długo machał do mamy i do swojego rodzeństwa, aż w końcu stracił ich z oczu. Chciał zapytać tatę, co ich czeka po drodze i czy te wszystkie opowieści o urwisku i wzgórzu są prawdziwe. Nie zadał ani jednego pytania, postanowił potraktować tę wyprawę jako przygodę życia i pomóc ojcu w trudnej sytuacji.

To, co mówiono, okazało się prawdziwe. Droga była niełatwa, cały czas pięła się stromo w górę, a w lesie nie było wydeptanych ścieżek, tak jak zazwyczaj to w lasach bywa. Gdy doszli do urwiska, Dyzio zerknął w dół. Widok był przecudowny, nigdy czegoś takiego nie widział. U ich stóp, daleko w dole kołysały się lekko czubki świerków i jodeł, które mijali przed chwilą. Z góry potężne drzewa wyglądały jak zielone patyczki.

– Jesteśmy już blisko – nagle odezwał się Zygmunt do syna. – Teraz czeka cię trudne zadanie. Musisz mi pomóc przedostać się na drugą stronę urwiska. Tylko taki mały smok, jak ty jest w stanie przejść tę ścieżkę. Poda mną kamienie się osuną i spadną razem nimi.

– Ale jak? – wydusił z siebie przerażony Dyzio.

– Gdy przejdziesz do końca tego urwiska, musisz się wspiąć na szczyt wzgórza. Tam stoi wielkie drzewo, do którego przywiązana jest gruba lina. Zrzucisz mi ją, a ja się po niej dostanę na szczyt.

Dyzio drżał ze strachu. Małymi kroczkami przesuwiał się do przodu. Postanowił myśleć o czymś przyjemnym, na przykład o swojej ulubionej zabawie, rzucaniu księżycowymi kamieniami do beczki z wodą. Nie minęła chwila, a Dyzio stał już pod drzewem i trzymał w łapce linę. Ojciec wspiął się po niej i dumny z syna porwał go na ręce, po czym posadził go sobie na barkach. W oddali ujrzeli palenisko, a za nim wejście do jaskini. Obok wejścia na starej wysłużonej ławce siedział równie stary smok z zamkniętymi oczami.

– Czekalem na Was – odezwał się pierwszy i siedział dalej nie patrząc na nich.

– Chcieliśmy prosić o pomoc – odpowiedział Zygmunt.

– Wiem – odparł starzec.

– Mamy duży kłopot. W naszej krainie...

– Wiem – odrzekł mędrzec. – Nie ma już wody.

– Nie – zaprzeczył Zygmunt. – Jeszcze jest, ale mało.

– Nie, już jej nie ma – odpowiedział mędrzec i po chwili dodał –

Nie słuchaliście mnie, kiedy was ostrzegałem. Sami ją sobie zabraliście.

Wstał. Podeszedł do krawędzi wzgórza i przywołał ich do siebie.

– Spójrzcie, widzicie te cieniutkie błękitne nitki? To są koryta wodne, które doprowadzają wodę do wszystkich domów w naszej krainie. Wykopali je nasi przodkowie. Stają się coraz cieńsze, aż pewnego dnia znikną całkiem.

– Co mamy robić? – zapytał Zygmunt.

– Wy wiecie, tylko musicie się rozejrzeć wokół siebie, ja nie mogę wam pomóc, sami ją sobie zabraliście... – powtórzył i zniknął w jaskini.

Zasmuceni brakiem odpowiedzi, ruszyli w drogę powrotną. Gdy schodzili, przyglądali się wszystkim mieszkańcom. Zygmunt zauważył, że smoki bardzo nieroztropnie korzystają z wody. Zostawiają odkręcone krany podwórkowe, a woda leje się na bruk. Myją swoje smoczochody, choć wcale nie są brudne. A dzieci? Dzieci chłapią się wzajemnie wodą w ferworze zabawy.

Zygmunt już wiedział, co należy zrobić. Teraz był wdzięczny starcowi za tę lekcję. Wcześniej nie interesował się, kto i w jaki sposób wykorzystuje wodę ze studni i innych zbiorników wodnych. On sam podlewał codziennie drzewa. Może wystarczyłoby to robić raz na dwa dni? Tak, już wszystko było dla Zygmunta jasne i wspomniawszy słowa starca „To my sami ją sobie zabraliśmy”.

Zygmunt czym prędzej wspiął się na dzwonnice i mimo zmęczenia, z całych sił pociągnął za sznur. Dzwon wydał z siebie dźwięczne „Baaaam” przywołując tym samym wszystkich mieszkańców do siebie.

Smok wraz z Dyziem opowiedzieli o powodzie braku wody w studniach. Wraz ze smoczymi mieszkańcami ustalili i zapisali „Smocze Zasady Wykorzystywania Zasobów Wodnych” w ich krainie.

Dyzio przyznał przed wszystkimi, że on i inne małe smoki również źle postępowali, kiedy na przykład bawili się w pluskanie księżycowymi kamieniami. Wymyślił też od razu nową odmianę tej gry. Zamiast do wody, będą rzucać kamieniami do pustej beczki. Czyż kamień z niej wyskoczy ten wygrywa. Przecież one świetnie się odbijają. To też będzie doskonała zabawa. I pobiegł szybko do swoich przyjaciół, by zaprezentować nową grę. Już układał w myślach, co im powie o marnowaniu wody i o spotkaniu ze Starym Mędrce z szczytu wzgórza Tirmo.





Katarzyna Sadowska

15 ŻYCIE
NA ŁĄDZIE



Niedokończona opowieść o uzdrowieniu królowej Harmonii

Nie tak dawno temu żył sobie Biotop wraz z żoną Biocenozą. Był ogrodnikiem, rolnikiem, gajowym. Znal się na uprawie ziemi, wiedział wszystko o roślinach i hodowli zwierząt zamieszkujących ląd. Biocenoza natomiast kochała wodę, więc troszczyła się o morza, jeziora, rzeki i o wszystkich ich mieszkańców. Każde z małżonków stało na straży przyrody. Doskonale wiedzieli, że należy dbać nawet o te najmniejsze organizmy, bo również dzięki nim światem może rządzić dobra królowa, Harmonia.

Pewnego dnia Harmonia zachorowała. Wezwała więc swoich wiernych poddanych, Biotopa i Biocenozę, by poprosić o radę. Uważała ich za najbardziej roztropnych doradców. Byli bardzo starzy, bardziej, niż można sobie wyobrazić. Dzięki temu, że tyle lat spędzili na Ziemi, poznali ją i jej zasoby znacznie lepiej od innych.

– Wejdźcie, drodzy doradcy. Jak tam tegoroczne plony? – zapytała królowa i zaprosiła ich do środka.

– Witaj, Harmonio! – rzekł Biotop nisko kłaniając się chorej królowej. – Bywało niegdyś lepiej...

– Witaj, zacna Pani! – ukloniła się Biocenoza i zakryła twarz dłońmi. Nie chciała, żeby królowa odkryła w jej oczach ogromny smutek i troskę.

– Czy lasy nadal obfitują w zwierzęta, ziemia wydaje ziarno, a woda chroni wodne organizmy?

– Niestety nie... – Biotop pokręcił ze smutkiem głową. – Zauważyliśmy z Biocenozą ogromną zmianę. Powoli umierają drzewa w lesie, tak jakby usychały od jakiejś zarazy. Gleba, która dotychczas rodziła wspaniałe plony, zamienia się w pustynię, na której już nawet kaktusy nie chcą rosnąć... A rzeki... – Biotop westchnął i spojrzał na smutną małżonkę. – Niektóre z nich zostały tak mocno skażone, że rybacy nie mają już czego łowić, a morskie ssaki uciekają na ląd, by uniknąć zatrucia. Jednak na plażach nie są w stanie się rozmnażać i tym samym jest ich coraz mniej.

– Tak przypuszczałam – rzekła przygnębionym głosem Harmonia. – Od jakiegoś czasu czuję, że coś we mnie tkwi, gdzieś w sercu i głowie... Wysysa ze mnie moc i sprawia, że zamieniam się w bezużyteczną i pustą istotę, która została pozbawiona równowagi. Poza tym, gdy wyglądałam z okna mojej komnaty, zauważyłam, że deszcz jest kwaśny, wiatr bardziej porywczy, niż zazwyczaj, a ptaków na moim parapecie przybywa coraz mniej każdego dnia. Moja siostra, Ekologia, także zaniemogła. To nie może być przypadek. Jesteśmy przecież od siebie bardzo zależne... Gdy tylko zachoruje pierwsza, druga od razu gorzej się czuje... Co radzicie zrobić, kochani Biotopie i Bioceno?

– Harmonio! – rzekł ogrodnik. – Wydadz proszę dekret, by chronić naszą ziemię. Opisz cały swój żal i swoje dolegliwości. Nasze zwierzęta przekażą pismo wszystkim stworzeniom na całej Ziemi. My także udamy się do każdej wioski i do każdego miasta, a żeby było szybciej, pomogą nam nasze dzieci. Nauczymy Ziemian tego, co sami potrafimy.

– Czy to wystarczy? – zapytała Harmonia.

– Nie wiemy... – rzekła strapiona Biocenoza. – Ale to jedyne wyjście. Jedyńy sposób, byś wyzdrowiała. Krok po kroku zaczniemy uzdrawiać ciebie, o pani, a wtedy i twoja kochana siostra poczuje się lepiej.

– A jeśli nie? – złękła się Harmonia. – Jeśli ci, którzy mogliby pomóc, nie posłuchają?

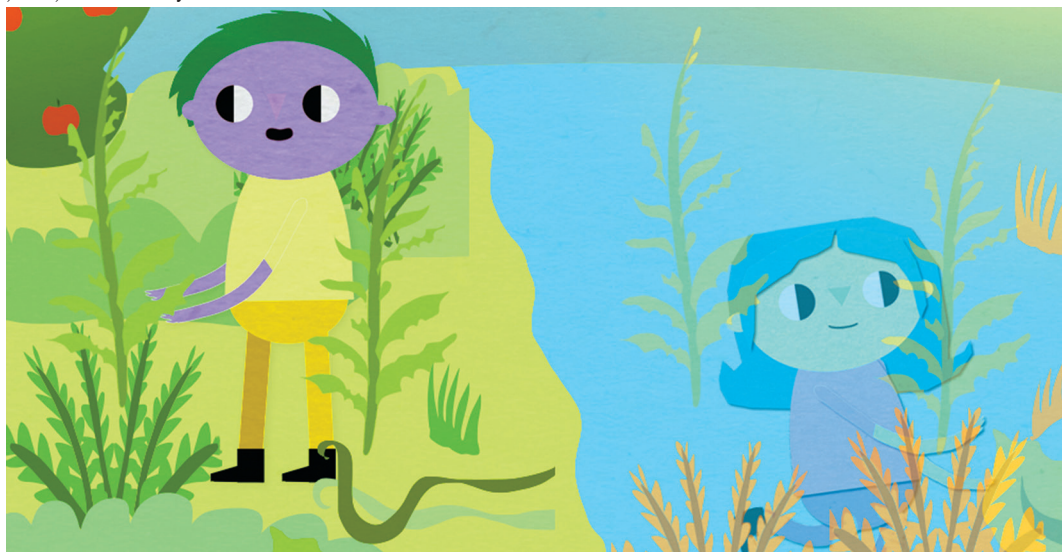
– Wtedy nikt z nas nie będzie bezpieczny, bo jeśli ty, Harmonio będziesz chora, zaraza rozejdzie się po całej kuli ziemskiej. Wszystkich nas pochłonie... Musimy spróbować! – oświadczył Biotop. Od razu, gdy opuścili dom Harmonii, zaczęli działać.

– Czy misja się uda? – zapytała drżącym głosem Biocenoza tuż po tym, gdy wraz z mężem wysłali w świat tysiące istot, których zadaniem było przekazanie innym wytycznych, zawartych w dekreście Harmonii.

– To zależy od każdego mieszkańca Ziemi – rzekł Biotop.

Wierzył, że skoro domem wszystkich istot na tej planecie jest właśnie Ziemia, to dla nikogo jej los nie powinien być obojętny. Mimo tego przekonania, niepokoił się, przecież nie znał tych wszystkich stworzeń zamieszkujących naszą planetę.

I tak, krok po kroku, w każdej sekundzie i minucie, każdego dnia, bez przerwy, pomocnicy Biotopa i Biocenozy wędrują po Ziemi z przesłaniem, by przywrócić równowagę i uzdrowić Harmonię. Jej los zależy od każdego z nas, wędrowcy odwiedzają każdego mieszkańca Ziemi... Nawet, jeśli czasem nie dostrzeżemy, że pozostawili dla nas wskazówki, jak zadbać o Ziemię, to możemy obserwować, w jaki sposób dbają o nią ci, którzy te zalecenia już odczytali. Jeśli będziemy ich stale naśladować, Harmonia wyzdrowieje, bo jak dotąd, mimo że miewa lepsze dni, tych gorszych jest jeszcze zbyt dużo.



Katarzyna Sadowska



O tym, jak zabrakło Temidy

– Temida wreszcie zasnęła! – ogłosił pewnego razu nowy zarządca ziemi i groźnie spojrzał na zebrany tłum.

– Zasnęła? – ośmielił się zapytać człowiek w szarej szacie. – Co to oznacza?

– Jak to, nie wiesz?! – huknął gromkim głosem zarządca. – To znaczy, że śpi i będzie spać bardzo długo. Prawo głosi, że jeśli Temida zamknie oczy, obowiązki władcy i sędziego przejmuje zarządca, czyli ja.

– Wybacz panie, ale od kiedy ty stałeś się zarządcą? O ile pamiętam, funkcję tę pełni brat Temidy, Srebrny Sfinks, który zna całą prawdę.

– Srebrny Sfinks zabrał miecz i wagę, po czym wyruszył w świat, by jak twierdził, bronić sprawiedliwości i porządku – odezwał się człowiek z białą długą brodą i w białej szacie. Ludzie zwali go mędrce. Znał dobrze Srebrnego Sfinksa i często odwiedzał go w świątyni, zwłaszcza wtedy, gdy Temida zaczęła chorować.

– Zatem, jak sami słyszycie, Sfinks nie jest już zarządcą. Teraz ja nim jestem z dwóch kluczowych powodów. To ja ostatni czuwałem przy Temidzie i to ja posiadam największy majątek z was wszystkich, więc mogę zapewnić wam spokojny byt – ogłosił samozwańczy zarządca.

Mędrzec podrapał się po głowie. Nie był przekonany, czy majątek i fakt, że mężczyzna czuwał przy łożu Temidy jako ostatni, czynią z niego prawomocnego zarządcę. Nie było jednak wyjścia. Mędrzec nie chciał podburzać ludu przeciw nowemu zarządcy, a pozostali otumanieni obietnicą wzbogacenia się, nie protestowali.

Mijały dni, tygodnie, miesiące, kraj powoli podupadał. Nowy władca rozdawał ludziom chleb, ser i szynkę, ale zabraniał zabawy. Pieklił się, gdy poddani prosili go o dzień wolny od pracy. Nienawidził kalekich i chorych, bo jak mawiał, nie przynoszą społeczności żadnych korzyści, a koszt ich utrzymania jest nieproporcjonalnie wyższy od zdrowych. Sam zarządca jednak nie pracował. Gdy pytano go, czym się zajmuje, bez namysłu odpowiadał, że zarządzaniem. Wykorzystywał ludzi i radował się z wytworów ich ciężkiej pracy. Bawił się wraz ze swoimi poplecznikami, wypijał wino i ucztował.

Temida wciąż spała, a przy jej łożu cały czas czuwał mędrzec. Cichym głosem opowiadał jej, że ludność jest coraz bardziej uciemniona, że wypędza się niewidomych z kraju, że zamyka się w strzeżonych osiedlach starszych i schorowanych. Wspominał również o tym, że dzieci zmuszane są do pracy, by zarobić na racje żywnościowe, że wszelka radość życia jest wypierana

przez ciągle zmęczenie i coraz większy niepokój.

Każdego dnia zarządca przypominał całemu ludowi, że stara się ponad swoje siły zaspokoić potrzeby całej społeczności. Wciąż krzyczał i upominał, że niewdzięczni zostaną wypędzeni z kraju, że nieprzydatnych i leniwych spotkają srogie kary i że tylko on potrafi zadbać o ład i dobrobyt.

W tym czasie Srebrny Sfinks, który znał prawdę i podróżował po świecie, by nauczać mądrości, sprawiedliwości, szacunku do życia i do drugiego człowieka, poczuł się bardzo zmęczony swoją misją. Postanowił wrócić do kraju, by pomóc siostrze w rządzeniu państwem. Gdy wracał, przez całą drogę gnębił go niepokój. Czuł, że wydarzyło się coś złego. Świat przybrał szare barwy, słońce nie świeciło już tak jasno, kwiaty przekwitwały w mgnieniu oka, a liście nie trzymały się gałęzi, mimo że wciąż był jeszcze maj.

Sfinks zatrzymał się w gospodzie na nocleg. Stąd miał jeszcze kilka dni drogi. Postanowił tu odpocząć, czuł się tak, jakby ogromny ciężar przytłaczał go, a serce zdawało mu się bić coraz wolniej.

– Dobry wieczór, gospodarzu! – rzekł podróżnik, gdy tylko wszedł do gospody. – Czy znajdzie się tu nocleg dla skromnego nauczyciela?

– Tak, zapraszam – odparł gospodarz zza baru, przy którym siedziało kilka osób. Zarówno gospodarz jak i jego klienci mieli zamglone oczy, poruszali się powoli. Od razu było widać, że zostali pozbawieni radości i woli życia.

– Jak wam się wiedzie? – zapytał Srebrny Sfinks i przysiadł się do towarzystwa. Jego obecność nie wzbudziła żadnego zainteresowania.

Po chwili jedna z osób przy barze zapytała:

– Ktoś ty? Wydaje mi się, jakbym cię już kiedyś spotkał, ale właściwie to nie wiem...

– Jestem nauczycielem, obrońcą sprawiedliwości i prawdy, jestem bratem władczyni, Temidy. Posłała mnie przed dwoma laty w świat, bym głosił jej mądrości. Dała mi wagę, bym ważył co dobre, a co złe. Podarowała miecz, bym bronił sprawiedliwości. Chciała mi nawet oddać własne spojrzenie, bym był obiektywny, lecz to byłoby zbyt wiele.

– Ach, tak! – zainteresował się drugi spośród mężczyzn. – Srebrny Sfinks, pamiętam. Zostawiliście nas tuż przed tym, jak Temida zasnęła, a nowy zarządca przejął władzę nad krajem.

– Moja siostra zasnęła? Zarządca? Co się wydarzyło? O czym wy mówicie?! – zaniepokoił się.

– Pewnego dnia wyszedł na taras domostwa Temidy i ogłosił, że nasza władczyni zasnęła. Zamknęła oczy i już. Oświadczył, że od teraz on będzie rządził. Uważał, że miał do tego pełne prawo, ponieważ to on był z Temidą, gdy zasypiała kamiennym snem. Zapewniał, że zadba o wszystkich ludzi, bo posiada największy majątek, ale... to było kłamstwo. Kazał nam się wynieść z kraju tylko dlatego, że nie byliśmy w stanie pracować.

– O czym wy mówicie? Zasnęła kamiennym snem?! To niemożliwe! Wypędził was? Dlaczego? – Sfinks coraz bardziej się niepokoił.

Spojrzał na mężczyznę siedzącego przy nim, zauważył, że był kaleką, nie miał dłoni. Drugi z jego rozmówców miał uciętą nogę i zapewne nie miał

też zbyt dużo siły w rękach. Widać było, że ciężko spracowane, zdążyły osłabnąć przez ostatnie lata. Trzeci mężczyzna i gospodarz zdawali się mieć więcej niż siedemdziesiąt wiosen. Na ich głowach, niczym przezroczyste nitki pajęczne, cieniutkie i ledwo widoczne, błyszczały już siwiuteńkie włosy.

– Tak – snuł opowieść siwy starzec. – Żle się zadziało. Niedobrze, że ciebie wtedy nie było. Przypominaliśmy, że ty powinieneś objąć obowiązki zarządcy, ale nie było cię, Sfinksie. Ja, w szarej wówczas szacie, nie miałem dość siły, by przeciwstawić się bogatemu panu. Mój brat, w białej szacie z długą brodą, świeć Panie nad jego duszą, czuwał przy Temidzie cały czas, lecz w końcu z rozpaczy pożegnał ten świat.

– A zarządca? – zapytał Sfinks, gdyż chciał wiedzieć, gdzie znajdował się nowy władca.

– Zarządca? Twierdził, że ma wiele pracy, jednak z jego gospodarstwa słychać było jedynie hulanki i swawole.

Sfinks słuchał i nie mógł w to wszystko uwierzyć. Wydarzenia, o których się dowiedział nie mieściły się ani w jego umyśle, ani tym bardziej w sercu. Postanowił wrócić jak najprędzej do domu i rozmówić się z samozwańczym zarządcą. Gdy przemierzał ostatnie mile swojej podróży, wciąż rozważał, jak to się mogło stać, że królowa zasnęła. Temida, jego rodzona siostra, nigdy nie zasypiała kamiennym snem. Zawsze czuwała nad prawdą, a gdy pojawiał się spór do rozwiązania, rozstrzygała go sprawiedliwie. Nie otwierała przy tym nawet oczu, a jedynie uszy – by dobrze usłyszeć i rozum – by obiektywnie rozsądzić spór.

Sfinks przekroczył bramy krainy już następnej nocy. Wszedł na Ścieżkę Prawdy, która wiodła do domu Temidy. Dostrzegł, że rośliny uschły, a żyzna niegdyś gleba zamieniła się w piach. Jego oczom ukazał się widok poszarzałych murów i suchych gałęzi. Do jego uszu nie dotarł choćby najbardziej cichy śpiew ptaków ani też najdelikatniejszy rechot żab. Świat milczał jak zaklęty. Wszyscy spali kamiennym snem, nawet zarządca wraz z jego strażą zupełnie stracili czujność.

Kiedy Sfinks zjawił się w domu siostry, dotarła do niego przerażająca prawda. Temida została podstępnie otruta przez zarządcę. Podeszedł do łóżka, na którym leżała jego ukochana siostra. Oczy miała przewiązane opaską. Jednym, szybkim ruchem zdjął ją i ujrzał nieruchome oczy Temidy. Sfinks spróbował tchnąć życie w te przerażające, martwe oczy. Pochylił się nad siostrą i delikatnie dmuchnął. Ponowił tę próbę jeszcze kilka razy, ale w niczym to nie pomogło. Padł na kolana i chwycił dłoń ukochanej siostry.

– Temido! Och, Temido! – szepnął. – Obudź się, jesteś potrzebna swoim poddanym. Kraj opanowała martwa cisza, nierówność, niesprawiedliwość, wygnano chorych i starszych, znęcano się nad niepełnosprawnymi, wyszydzano tych, którzy za szybko się męczyli. Wszystkim kazano pracować ponad ich siły. Ludzie głodują, chorują, umierają z rozpaczy. Kraj za chwilę całkiem się rozpadnie i nie będzie czego ratować.

Opowiadał siostrze, co zastał po powrocie, a z jego oczu płynęły łzy. Były czyste i szczere, a każda rozświetlona prawdą i miłością. Łzy kapły na twarz Temidy. Każda płynąca z serca łza troski i żalu zmywała mgłę, która przysłaniała

oczy Temidy. Każda z nich posiadała moc oczyszczania.

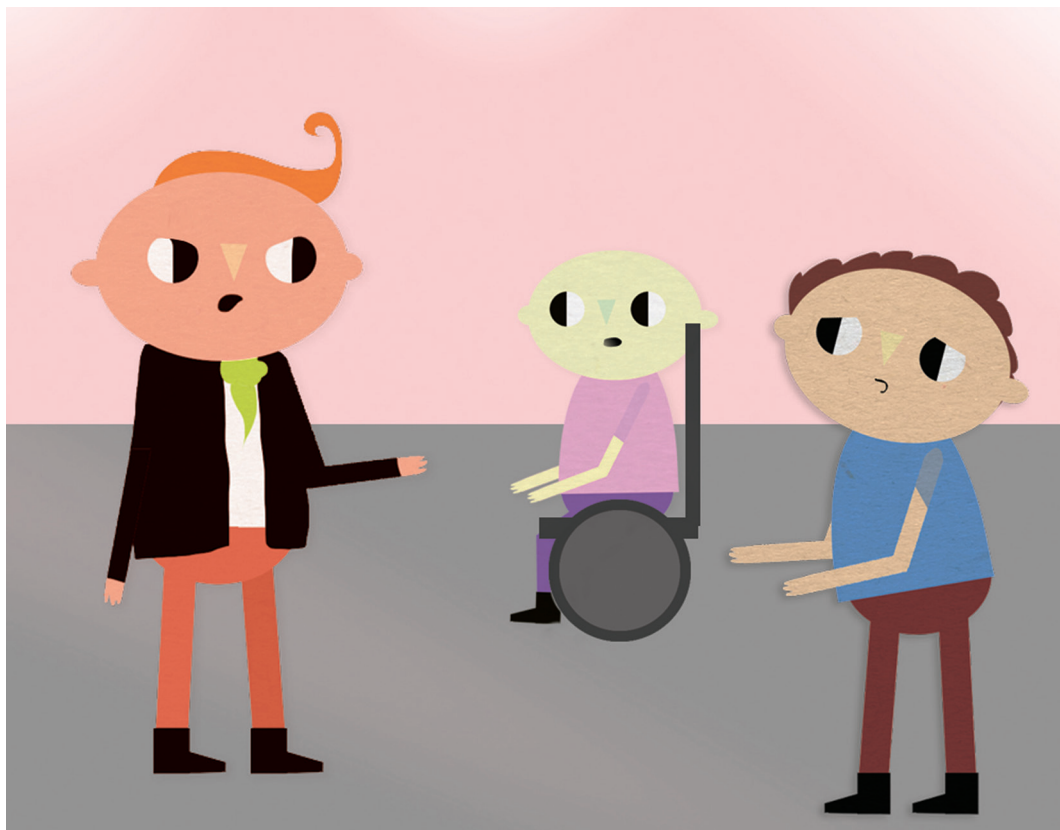
Sfinks uniósł głowę, by ponownie spojrzeć na siostrę i pożegnać ją na zawsze. Kiedy spojrział w nieruchome wcześniej oczy Temidy, dostrzegł, że uroniła łzę. Potem po jej policzku spłynęła kolejna, jeszcze jedna i następna. Jego łzy spłotły się ze łzami Temidy. Było ich tak wiele, że zamieniły się w potok. Rzeka łez przedostała się przez wrota komnaty, zburzyła drzwi domu, a następnie popłynęła Ścieżką Prawdy.

Czysta i sprawiedliwa moc łez tchnęła życie w to, co było z natury dobre. Rośliny nabrały barw a zwierzęta budziły się z letargu. Potok płynął dalej, coraz bardziej wdzierał się we wszystkie zakątki krainy, aż dotarł do domu zarządcy i jego strażników... Mówiono później, że w jednej chwili zatopił cały jego dobytek. Inni twierdzą, że to, co pozostało, potok porwał bardzo daleko, aż na drugą stronę świata. Nikt do końca nie wie, co się stało z zarządcą. Najważniejsze, że do tej krainy już nigdy nie powrócił.

Temida spojrzała na Sfinksa. Powoli usiadła na łożu, przytuliła brata i rzekła:

– Zostałam otruta i nie mogłam się przebudzić przez wiele miesięcy. Jednak przez cały czas śniłam o tym, że prawda, sprawiedliwość i równość zwyciężą. Pokładałam w tobie duże nadzieje. Dziękuję, że mnie ocaliłeś.

Powoli wstała i wraz z bratem wyszli na taras, by przekazać wszystkim ludziom dobrą nowinę.



Małgorzata Szczepańska



Coś dobrego

Za siedmioma górami, za pięcioma rzekami, niedaleko lasu znajdował się piękny ogród, w którym mieściło się przedszkole dla Owadów. Było ich tu bez liku: małe i duże, czarne i kolorowe, głośne i ciche, chodzące i fruwające. Hałaśliwa gromada zbierała się każdego ranka do wspólnej zabawy, a ich rodzice rozchodzili się do ważnych zajęć. Pani Stonoga miała mnóstwo pracy z tą wesołą ferajną. Tutaj nikt się nie nudził. Maluchy były zadowolone i bezpieczne. Nawet na spacerze nikt się nie gubił, bowiem wychowawczynie starczyło rąk dla wszystkich.

Już od kilku dni trwały przygotowania do letniego wydarzenia. Komary z prezentem w rękach oczekiwały na solenizantkę. Mszyca pojawiła się tuż po śniadaniu. I rozpoczęło się imieninowe przyjęcie pełne konkursów, tańców i degustacji smakolików.

Tego ranka Biedronka wstała lewą nogą i złościła się na wszystkich. Nawet nie starała się być miła dla świętującej koleżanki. W trakcie potańcówki łapała ją za odnóża i szarpała z całej siły. Choć wychowawczynie kilkakrotnie ją upominała, ta całkowicie się tym nie przejmowała. W pewnym momencie tak gwałtownie zakręciła Mszycą, że ta upadła na ziemię i nabiła sobie guza. Muzyka ucichła, rozległ się płacz poszkodowanej i dobry humor ulotnił się w mig. Głos zabrała nauczycielka:

– Przed chwilą wydarzyło się coś, co nie powinno mieć miejsca. To nie pierwszy raz, gdy sprawiacie przykrość innym. Od tej chwili będą panowały zupełnie nowe zasady.

Zdziwione przedszkolaki popatrzyły po sobie. Nie do końca rozumiały, co wychowawczynie miała na myśli. Zaintrygowane słuchały dalej.

– Od tej pory każdy, kto sprawi, że inny owad będzie cierpiał, będzie musiał wykonać dla niego coś dobrego!

Pomysł spotkał się z akceptacją prawie wszystkich zebranych. Tylko Biedronka stała z boku z niezadowoloną miną. Gdy dzieci wróciły do zabawy, wychowawczynie zbliżyła się do niej i rzekła:

– Proszę, podejdź do Mszycy i zapytaj, co mogłabyś zrobić dla niej dobrego.

Biedronka wykonała to, o co poprosiła ją Pani Stonoga. Poszkodowana koleżanka po chwili zadumy wyraziła życzenie:

– Chciałabym, żebyś pobawiła się ze mną w berka.

Tak też się stało. Nowe zasady spodobały się Owadom.

Pewnego dnia Pani Stonoga zauważyła, że niektóre dzieci zaczęły robić

coś dobrego bez wyraźnej przyczyny. Jakby tylko po to, by sprawić przyjemność koledze czy koleżance. Zdarzały się też przypadki, że również w domu zaczynały sprawiać przyjemność swoim najbliższym. Następnie rodzice przekazywali ten niezwykle podarunek sobie wzajemnie, dalszej rodzinie i znajomym w pracy. Ci z kolei obdarowywali następnych i dzięki temu dobro docierało już do najdalszych zakątków świata.

Choć historia ta wydarzyła się bardzo dawno temu, to do dziś wielu pamięta o tym, by zrobić dla innych coś dobrego. Dzięki temu dobroć odradza się każdego dnia na nowo. A szczęśliwa Pani Stonoga przygląda się temu wszystkiemu z uśmiechem.

– I niech ta bajka nigdy się nie skończy!



Kinga Kuszak

16 POKÓJ,
SPRAWIEDLIWOŚĆ
I SILNE INSTYTUCJE



Bajka o zielonej pszczole

Zapewne wiesz, jak wygląda życie pszczół. W ulu, gdzie mieszkają, bywa tłoczno i gwarно. Jest ich tam tak dużo, że nie sposób ich zliczyć. Trudno nawet czasami odróżnić jedną pszczołę od drugiej. Wszystkie zlocisto-czarne i bzyczące, sprawnie krzątają się we wnętrzu ula i w jego okolicy. Dla każdej znajdzie się zajęcie. Wszystkie są potrzebne i ważne, ponieważ efekty ich pracy służą całej społeczności. Pszczoły bardzo się starają, żeby jak najlepiej wykonywać swoje zadania. Każda bardzo chce być użyteczna. Tak było zawsze w społeczeństwie pszczół. Żyją w zgodzie i harmonii. Dbają, aby nic nie zakłócało ich spokojnego życia, wypełnionego pracą.

Wokół ula rośnie las, w którym kwitną duże i mniejsze drzewa. Młode okazy sąsiadują z wiekowymi. Leśne rośliny roztaczają apetyczną woń, która wabi pszczoły. Nieopodal, wielobarwna łąka przyciąga kolorami oraz aromatem ziół i kwiatów. Zachęcają, by zajrzeć do ich wnętrza i zebrać pachnący pyłek. Każdego dnia wraz ze wschodem słońca, pszczoły opuszczają ul i do zmroku pracowicie zbierają pyłek z kwiatów. Oblepione pachnącymi drobkami wracają do domu i tam dzielą się tym, co zdobyły. Ciężko pracują i stale pomnażają wspólne zasoby.

Tak było do tej pory... Tak miało być w przyszłości. Tak miało być zawsze... Jednak pewnego dnia w pszczolej rodzinie wydarzyło się coś, co zaburzyło dotychczasową harmonię i wywołało niemal zamieszanie! Na świat przyszły długo oczekiwane młode pszczoły. Cała społeczność zebrała się, by je powitać i troskliwie się nimi zająć. Oglądając nowo narodzone pszczółki, mieszkańcy ula wymieniali się spostrzeżeniami:

- Jakie urodziwe!
- Jakie do siebie podobne!
- Jakie piękne!
- Z pewnością wyrosną z nich pracowite pszczółki!

Nagle zrobiło się cicho, mieszkańcy ula spoglądali na jedną z młodych pszczółek i przecierali oczy ze zdumienia.

- Niemożliwe! – szeptali.
- To nie może być prawda!
- Uszczypnij mnie, chyba mi się śni.

W kącie siedziała najmniejsza pszczółka. Jednak to nie jej wielkość wywoływała zdumienie i niedowierzanie, ale to, że była całkiem zieloną, zieloną jak..., jak... wiosenna trawa.

– Trzeba ją natychmiast wykąpać! – zarządziła królowa wszystkich pszczół.

– Gdzie ona się tak wybrudziła? – pytały pszczoły i szybko zabrały się za szorowanie małej pszczółki. Szorowały, tarły, czyścili, pucowały przez cały dzień, a pszczółka jak była zielona, tak zielona pozostała. Coraz bardziej skulona i przerażona siedziała pośrodku ula, w ogromnej wannie pełnej mydła.

– To niemożliwe! Trzeba coś z nią zrobić. Kto to widział, żeby pszczoła była zielona? – stwierdziła jedna z dorosłych pszczół.

– Zielona może być żaba, zielone może być jabłko, zielone są wiosenne liście, ale nie pszczoła! – oświadczyła inna.

Małą pszczółkę nazwano Zielonką. Nikt w ulu nie wiedział (a może nie chciał wiedzieć), że miała na imię Petronelka. Mówili do niej nie inaczej, jak właśnie Zielonka! Nikt jej nie lubił i wszyscy się z niej śmiali. A to tylko dlatego, że była inna. Żartowały, że pomyliła ul z kałużą. Dokuczały jej każdego dnia. Przeganiały z kąta w kąt. Wszystkim przeszkadzała i każdy się na nią złościł.

Petronelka cierpliwie znosiła żarty i docinki, przesuwiała się z miejsca na miejsce, żeby tylko nie przeszkadzać innym pszczołom. Nie mogła nawet wyfrunąć z ula, bo pszczoły wstydzily się przebywać w jej towarzystwie. Nikt z nią nie rozmawiał. Uważano ją za dziwadło. Biedna Petronelka starała się schodzić innym z drogi i była coraz bardziej smutna. Czula, że zupełnie nie pasuje do pszczolej społeczności. Była inna! Nie była taka jak wszystkie pszczoły! Była bardzo, bardzo... nieszczęśliwa!

Gdy tylko nadarzyła się okazja i nikt nie pilnował wejścia do ula, Petronelka postanowiła uciec tak daleko, jak to możliwe.

– Pofrunąć najdalej, jak tylko zdołam, ile starczy mi sił! – myślała.

Machała małymi skrzydełkami i powoli oddalała się od miejsca, które знаła, ale które nie było dla niej bezpiecznym schronieniem. Była coraz dalej od domu, w którym doznała tak wiele upokorzenia i bólu. Nie wiedziała, co się wydarzy. Nie miała żadnego planu ani nawet pomysłu, dokąd powinna lecieć. Chciała tylko znaleźć się jak najdalej od innych pszczół. Machała skrzydełkami, machała, leciała, leciała, leciała... W końcu zabrakło jej sił na dalszą podróż. Strudzona postanowiła odpocząć. Przysiadła na żdźbale trawy, które było tak samo zielone jak ona.

– Ojej! Kto mnie budził! – usłyszała, gdy wylądowała. – Zejdz ze mnie!

– Przepraszam – grzecznie powiedziała Petronelka i przesunęła się nieco. – Kim jesteś? – spytała, spoglądając na dziwne stworzenie, które siedziało na żdźbale trawy. Dziwne stworzenie przypominało pszczolę. Jednak dziwne COŚ było całe czerwone. Nie mogło więc być pszczolą.

– Jestem pszczółką, mam na imię Rozalia – przedstawiło się dziwne COŚ. – A ty kim jesteś? – zapytało.

– Też jestem pszczółką, nazywam się Petronelka – odpowiedziała.

– Skąd się tu wzięłaś? – zapytała Rozalia. – Nie wyglądasz jak pszczółka. Zresztą... nieważne, ja też nie mam żółto-czarnych pasków, a mogę cię zapewnić, że jestem najprawdziwszą pszczolą. Zobacz, potrafię znakomicie zbierać kwiatowy pyłek – powiedziała czerwona pszczoła i pokazała pyłek przyczepiony do nóżek i skrzydełek. Jestem najlepsza w moim ulu. Fruwam najdalej i przynoszę ogromne ilości pachnącego pyłku.

– Ojej! – ucieszyła się Petronelka. – Ja też chciałabym zbierać pyłek.

W ulu, z którego pochodzę nie pozwalano mi wychodzić na zewnątrz, bo jestem inna... Jestem dziwna – Petonelka z trudem powstrzymywała łzy. – Wszyscy się ze mnie śmiali!

– Ja też jestem inna – odpowiedziała Rozalia. – Poleć za mną, pokażę ci mój ul! – zawołała i wzbiła się w powietrze.

Petronelka zerwała się do lotu. Szybko machała małymi skrzydełkami, by dogonić nową, niezwykłą koleżanką. Na szczęście ul Rozalki znajdował się niedaleko i obie pszczółki szybko wylądowały przed wejściem, którego pilnowały dwie strażniczki.

– Dzień dobry Rozalko! – zawołała jedna z nich – Jak zbiór pyłku? Czy znowu poleciałeś na tę odległą łąkę?

– Nie, dzisiaj nie zdążyłam dolecieć, bo spotkałam Petronelkę – wskazała na zieloną pszczółkę, która nieśmiało wystawiła głowę zza jej pleców.

– Dzień dobry – powiedziała Petronelka cichutko. Obawiała się, że pszczoły strażniczki wybuchną śmiechem na widok jej zielonego ciała.

– Dzień dobry – odpowiedziały pszczoły. Zupełnie nie zwracały uwagi na dziwny wygląd małej pszczółki. – Zapraszamy do naszego ula.

Petronelka weszła niepewnie do środka. Trzymała się blisko swojej nowej koleżanki. Serduszek łomotało jej tak mocno, że chyba w całym ulu było słychać. Tak bardzo była przestraszona.

– Dzień dobry, kochane pszczółki! – powiedziała głośno Rozalka, gdy otworzyła drzwi wiodące do dużej komnaty. – Przyprowadziłam gościa – powiedziała i przepuściła Petronelkę, żeby inne pszczoły mogły jej się lepiej przyjrzeć. Biedna Petronelka stała pośrodku sali i spoglądała w podłogę. Bała się podnieść głowę i spojrzeć w oczy innym pszczołom. Wolą unikać widoku ich wielkiego zdziwienia.

– Dzień dobry drogie dziecko. Jak masz na imię? – usłyszała Petronelka.

Powoli podniosła głowę. Cała sala wypełniona była pszczołami. Niektóre wyglądały tak samo jak te, które znała ze swojego ula, inne były dziwne i w niczym nie przypominały prawdziwych pszczół. Petronelka spojrziała w głąb izby. Na końcu dużego stołu siedziała mała pszczółka w czarno-białe łaty. Wyglądała jak krowa. Petronelka uśmiechnęła się do niej, a laciata odwzajemniła się jeszcze większym uśmiechem.

– Jestem Petronelka – powiedziała zielona pszczółka.

– Usiądź z nami przy stole i opowiedz o sobie – zachęciła królowa pszczół.

Petronelka przyjrzała się jej uważnie. Była piękna, smukła i miała niezwykle oczy. Petronelka zobaczyła w nich coś wyjątkowego... Zauważyła w nich dobroć i życzliwość. Podeszła do pięknej królowej i zaczęła opowiadać swoją historię. Przez cały czas przyglądała się uważnie pięknej pani. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że królowa pszczół nie ma jednego skrzydła.

– Jest inna – pomyślała – a mimo to taka piękna!

Kiedy skończyła swoją opowieść, królowa zwróciła się do niej:

– Widzisz moje dziecko, tak już jest, że każdy z nas jest inny i z tego właśnie powodu jest wyjątkowy. Spójrz na Biedroneczkę – wskazała dłonią na pszczolę w czarne kropki. – Jest najlepszą kucharką w naszym ulu. Rozalka,

którą już poznałaś, fruwa najdalej i przynosi najwięcej kwiatowego pyłku. Łaciatka wspaniale dba o porządek w ulu, a Zeberka troskliwie opiekuje się młodymi pszczołkami. Wszystkie są nam bardzo potrzebne i zawsze będzie dla nich miejsce w naszym ulu. Jeżeli któraś z naszych pszczoł potrzebuje pomocy, wspieramy ją. Takie zasady tutaj panują. Wszyscy pracujemy dla dobra naszej społeczności.

Petronelka patrzyła na piękną, mądrą królową oraz na radosne, kolorowe pszczołki. Rozejrzała się wokół. Niektóre z pszczoł jadły, grały w planszówki przy małych stoliczkach, inne wesoło gawędziły, a jeszcze inne drzemały zanurzone w wygodnych, miękkich siedziskach.

– Czy mogę zostać z wami? – zapytała nieśmiało. – Będę fruwać daleko i przynosić tyle pyłku, ile zdołam! Obiecuję! – zapewniła żarliwie.

– Oczywiście, zostań z nami. W naszym ulu jest miejsce dla wszystkich pszczoł, które chcą pracować, dzielić się z nami swoimi radościami i troskami. Pracy jest dużo, ale umiemy się nią sprawiedliwie dzielić. Z radością przyjmimy cię do naszej rodziny.

– Wspaniale! – zawołała Petronelka. Po raz pierwszy w życiu poczuła, że wcale nie jest dziwna albo inna. Uświadomiła sobie, że jest we właściwym miejscu i tu znajduje się jej prawdziwy dom.

– Cudownie! – dodała Rozalka. – Chodź ze mną, pokażę ci mój pokój. Będziemy razem mieszkać, wspólnie fruwać na łące i zbierać pyłek.

I tak mała zielona pszczołka zamieszkała w ulu, w którym każdy wykonywał swoją pracę oraz z troską i życzliwością odnosił się do innych. Tutaj nikt nikogo nie poniżał i nie obrażał. Właśnie tu szczęśliwie żyły kolorowe, radosne pszczołki i ich piękna, mądra królowa.



Katarzyna Sadowska

17 PARTNERSTWA
NA RZECZ CEŁÓW



O pięciu rodach

W pewnym pięknym baśniowym zamku mieszkali razem: Chochliki, Skrzaty, Elfy, Smoki, Czarodzieje. Różnili się między sobą wyglądem i obyczajami. Byli też odpowiedzialni za inne zadania.

W zamku znajdowało się pięć komnat, dla każdego rodu była przeznaczona jedna z nich. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak normalne sale. Jednak nie były takie zwyczajne... W każdej z nich znajdowały się ruchome ściany – tajemne wrota do różnych zakątków świata. Komnaty różniły się również wystrojem. Inne mebelki potrzebne były Skrzatom, a całkiem inne Smokom, które prawie w ogóle z mebli nie korzystały. Skrzaty bardzo kochały drzemki w swoich jednakowych i wygodnych łóżeczkach, natomiast Smoki wołały zwiśać z drzew lub skał. Lubily też jaskinie (choćby nawet te zrobione z tektury) i potrzebowały bardzo dużo przestrzeni, by rozwinąć skrzydła.

Czarodzieje cenili miejsca z przedziwnymi rekwizytami: kociolkami, wiaderkami, misami, klepsydrami i szklanymi kulami do tworzenia magii. Ważnym miejscem w ich komnacie był piec, na którym wypowiadano zaklęcia i ważono czarodziejskie mikstury. Chochliki nie miały ani skrzydeł, ani szklanych kul, ale mieszkwały za to w zalesionej komnacie z ogromną ilością tajemnych przejść do łąk i gór. Jeszcze inne były Elfy, które stroniły od skał i jaskiń. Ich komnata wyróżniała się czarodziejskimi grządkami, na których rosło wszystko, co zapewniało dostatnie i bezpieczne życie.

Skrzaty zamieszkiwały komnatę zwaną Skrzaciarnią. Mieściła się ona na parterze, w samym środku zamku. Mali mieszkańcy Skrzaciarni piekli ciasta i bułeczki, przyrządzali eliksiry na każdą okazję, stawiali też domy dla innych mieszkańców baśniowego zamku, wyrabiali też meble i ploty.

Czarodzieje z komnaty o nazwie Czarodziejnia strzegli skarbów takich jak: mądrość, zdrowie i miłość.

Smoki ze Smoczej Komnaty niczego nie musiały strzec. Latały wysoko w powietrzu i gdy brakowało słońca, rozpraszały chmury, a gdy deszcz nie padał od dawna, naganiały je z powrotem i zapędzały do pracy. Smoki potrafiły też panować nad wiatrem. Najważniejszym zadaniem smoków było dostarczanie do baśniowego zamku ognia, który ogrzewał cały budynek w długie, zimowe wieczory oraz umożliwiał Czarodziejom praktykowanie magii.

Mieszkańcy Chochlikarni stali na straży roślin i zwierząt. Mimo odpowiedzialnego zadania, bardzo często płatali figle. Oj, jakże często dla żartu Chochliki zaganiały owce do niewłaściwej zagrody...

Mieszkańcy Elfich Ogordów byli odpowiedzialni za wytwarzanie nietypowych

rekwizytów: monet, lekarstw, kolder, poduszek, odzieży i obuwia, a w ostatnim czasie także komputerów i tabletów.

Każdy z mieszkańców zamku miał więc do wykonania sporo pracy, z której efektów korzystali wszyscy. Mimo to podczas wykonywania obowiązków wcale nie myśleli o sobie nawzajem.

Pewnego razu zapracowane i bardzo zmęczone Smoki zdecydowały się na wzięcie urlopu. Na drzwiach komnaty na pierwszym piętrze wywiesiły kartkę z napisem: „Nieczynne do odwołania z powodu urlopu” i poleciały na wakacje za siedem gór i rzek.

Po kilku dniach informację na kartce przeczytali Czarodzieje, którzy chcieli poprosić Smoki o kilka płomieni, potrzebnych do zagrzenia ich czarodziejskich kociołków... Niestety nie zastali nikogo, kto mógłby im pomóc. Zmartwieni nie wiedzieli, co zrobić. Ogień w piecu, gdy nie był podsycany przez Smoki, dogasał bardzo szybko, aż wreszcie całkiem się wypalił.

– Co uczynimy bez ognia? – zapytał dyrektor Czarodziejni. – Chyba musimy przerwać pracę... Oj, co to będzie, co to będzie?

– No nic. I to dosłownie nic – odrzekł mędrzec Czarodziej i podrapał się po brodzie.

– Jak to? I co teraz? – zapytał dyrektor.

– Przerwa w pracy – odparł spokojnie mędrzec, choć jego twarz wyrażała niepokój. – Pożyjemy, zobaczymy, lecz czarno widzę naszą przyszłość...

W tym czasie Chochliki wypasaly właśnie stado owiec. Jak wiadomo do wypasania owiec potrzebny był drewniany, solidny płot i pies, który chroniłby je przed wilkami. Płot umiały zbudować wyłącznie Skrzaty. Jednak ponieważ Czarodzieje pozostali bez środków do pracy, nie wyczarowali tego dnia wystarczającej dawki mądrości dla Skrzatów...

Mali mieszkańcy zamku pracowali i pracowali, aż wreszcie udało im się stworzyć malutki płot, który choć był piękny, okazał się nieprzydatny. Zrobiony z papieru był nietrwały. Już po kilku minutach pies warczał na zbliżające się w zawrotnym tempie stado wilków, które miały chrapkę na owieczki. Chochliki dobiły ostatnich pochodni, jakie miały, by przegonić stado.

– Udało się, odeszły! – ucieszył się Chochlik pastuszek i bezmyślnie zdmuchnął ostatnią pochodnię.

– Nie, nie! – zawołał Chochlik przewodnik górski.

– Co takiego nie? Po co nam pochodnie? Jest już noc, idziemy spać, wilki też będą teraz spać – odparł pastuszek, po czym położył się na zielonej trawie i zsunął czapkę na oczy.

– Wilki wkrótce zechcą wrócić... – rzekł naczelny Chochlik i załamał ręce. – Zostaliśmy bez ognia, bez broni najbardziej skutecznej wobec wilczego stada. Oj, niedobrze, niedobrze... Płot się rozpadł, zdaje się, że wszystkich już dopadła skrajna głupota i beztroska... Czarno widzę naszą przyszłość...

Kłopotów robiło się coraz więcej. Urlop Smoków wpłynął źle również na ród Elfów. Wszystkie po nazbyt obfitym posiłku (wszak dla nich również zabrakło mądrości) bardzo się pochorowały. Lekarstwa uprawiane na elfickich grządkach rosły zbyt wolno, by wystarczyło dla wszystkich. Czarodzieje również nie byli w stanie

im pomóc, ponieważ ze względu na brak ognia pod magicznymi kociołkami, musieli przerwać produkcję magicznych mikstur.

– Czarno widzę naszą przyszłość – rzekły chórem Elfy i zaczęły skręcać się z bólu brzuszków.

Smoki w tym czasie wygrzewały się daleko za siedmioma rzekami, jadły lody dla ochłody, puszczały bańki mydlane i kąpały się w piasku. Dziesiątego dnia beztroskiego urlopu, do Smoków dotarły niepokojące wieści z baśniowego zamku, przekazane przez ptaki.

– Niedobrze, niedobrze! – ćwierkał wróbelek prosto do smoczego ucha. – Baśniowemu zamkowi grozi zagłada. Jeszcze kilka chwil waszego urlopu, a nie będzie dokąd wracać, ćwir, ćwir...

Smoki szybko zerwały się do lotu, szybowały pośród chmur z nadświetlną wręcz prędkością, a gdy wreszcie dotarły do domu ogarnęło je przerażenie. W baśniowym zamku panował chaos. Czarodzieje bezsilnie próbowali coś wyczarować. Zwierzyna i roślinność zaczęły umierać. Elfy skręcały się z bólu, a Skrzaty nuciły pod nosem mało mądre piosenki i chodziły na rękach.

– Lecimy na pomoc! – zawył zarządca Smoków. – Trzeba tu zrobić porządek!

– Widzisz, drogi Smoku – odezwał się jedyny spośród Czarodziejów, który zachował resztki rozsądku. Nie bez powodu zwał go mędrce. – Choć nasze rody różnią się między sobą, wykonujemy inne obowiązki, mieszkamy w innych warunkach, to wszyscy jesteśmy jedną wielką rodziną. Każdy z nas odpowiada za kształt baśniowego zamku w takim samym stopniu. Jeśli nie dostarczymy odpowiedniej ilości zapasów mieszkańcom innych komnat i jeśli nie będziemy czuć się odpowiedzialni za pozostałych, to może rozpaść się cały zamek. I to bez względu na to, jak bardzo jest baśniowy. Pomimo różnic, wszyscy jesteśmy potrzebni sobie nawzajem. Od dziś będziemy mieć tyle samo dni urlopu i będziemy ustalać jego harmonogram razem, żeby już nigdy nie dopuścić do takiej sytuacji. Każdy z nas będzie teraz troszczyć się o to, by niczego nie brakowało tym, którzy pozostają w zamku.

– Oczywiście! – odparł przerażony swoją beztroską zarządca Smoków.

Następnie wszyscy zamieszkujący baśniowy zamek zabrali się do pracy, by naprawić wszelkie szkody i uniknąć kolejnych niebezpieczeństw. A wszystko po to, by mieszkańcom baśniowego zamku żyło się lepiej.





Dorota Czachura

17 PARTNERSTWA
NA RZECZ CELÓW



Mały chłopiec o wielkim sercu

Mały i niepozorny chłopiec Adam mieszkał razem z babcią w ogromnym wielopiętrowym bloku, na skraju pewnego dużego miasta. Rodzice Adama wyjechali w poszukiwaniu pracy „za wielką wodę” – jak mawiała babcia. Chłopiec bardzo tęsknił za swoją mamą i swoim tatą. Wieczorem, gdy zasypiał, przypominał sobie, jak mama czytała mu bajki przed snem, a tata po powrocie z pracy całował go na dobranoc. Ze zgryzoty nie mógł ani jeść, ani spać. Przestał rosnąć i stawał się coraz bardziej „zasuszony”, prawie tak jak jego babcia – staruszka. Kobieta dostrzegła to i martwiła się o wnuka. Nazywała go swoją kruszynką. Jednak koledzy z bloku nie byli tacy mili i często naśmiewali się z jego mizernego wyglądu.

Adam najbardziej na świecie lubił kolekcjonować zakrętki, te małe i te większe, niebieskie i czerwone. Miał ich bardzo dużo, ponieważ codziennie dostawał jeden soczek z zakrętką od bardzo milej znajomej babci, którą spotykał codziennie w drodze do przedszkola przed sklepem spożywczym. Tak działo się już od pierwszego dnia po wyjeździe rodziców „za wielką wodę”. Przed snem Adam przeliczał zakrętki, które przypominały mu, ile długich i smutnych dni minęło od rozłąki z rodzicami.

Pewnego dnia pani wychowawczyni ogłosiła, że w przedszkolu będzie organizowana akcja „Zbieramy zakrętki”. Zdziwione dzieci dopytywały się, do czego mogą przydać się takie nikomu niepotrzebne zakrętki, które wszyscy wyrzucają do kosza na śmieci. Pani wyjaśniła, że pieniądze za zebrane zakrętki zostaną przeznaczone na pomoc w leczeniu chorych dzieci.

Wieczorem Adaś policzył wszystkie swoje zakrętki, a miał ich naprawdę dużo. Było mu trudno podjąć decyzję o oddaniu swoich skarbów. Jednak kiedy pomyślał, że na świecie są jeszcze inne smutne, a do tego chore dzieci, jego serce przepełnił ogromny żal. Zrozumiał, że dzięki zebranych zakrętkom może pomóc innym dzieciom.

Następnego dnia rano babcia pomogła mu spakować prawie wszystkie zakrętki, które zanieśli wspólnie do przedszkola. Koledzy z grupy zdziwili się, skąd Adaś ma tak dużo zakrętek, a pani pochwaliła go przed całą grupą. Dumny Adaś pomyślał, że skoro jemu samemu udało się zebrać aż tyle zakrętek, to przecież jeśli zaangażuje więcej ludzi do akcji, to zgromadzi ich jeszcze więcej. Myślał całą noc, aż wpadł na genialny pomysł, o którym rano opowiedział babci.

Tego dnia nie poszedł do przedszkola. Razem z babcią wykonali ogromną pracę. Adaś stworzył plakaty, na których narysował wielkie czerwone serca i ozdobił je kolorowymi zakrętkami, a babcia pomogła mu napisać tekst informujący

o zbiorce zakrętek dla chorych dzieci. Wspólnie wywiesili plakaty w całym bloku, a już następnego dnia pojemniki na zakrętki zaczęły zapelniać się „plastikowym złotem”. Akcja zakończyła się wielkim sukcesem. Miły sąsiad pomógł przewieźć swoim samochodem zakrętki do przedszkola.

Na miejscu wszyscy ze zdumieniem patrzyli na małego chłopca, który pomimo wątłej postury potrafił zachęcić do pomocy tylu ludzi. Odtąd nikt nie nazywał go już małym chłopcem, lecz chłopcem o wielkim sercu.



Katarzyna Rudnik

17 PARTNERSTWA
NA RZECZ CEŁÓW



Smocze opowieści

Za górami, za lasami, szalonymi strumieniami, mieszkał pewien smok wszechwładny. Bardzo się nie lubił lenić, więc codziennie grzebał w ziemi i przy grocie w syrkim piasku, i w bagienku obok lasku. Kiedy się tylko obudził, biegał, skakał, straszył ludzi.

W tejsze właśnie okolicy na zamczysku w Baranicy wraz z czterema córeczkami mieszkał władca, królem zwany. Raz najmłodsza z króla córek wyszła sobie na jedno z dwóch podwórek. Przechadzała się po lasku, chciała właśnie sięść na piasku. Wtem całkiem niespodziewanie smok jej wyszedł na spotkanie.

– Och! – zachwycił się dziewczyną, przy tym srogą zrobił minę. Zionął ogniem, dmuchnął dymem i wystraszył tym dziewczynę. Królownę głowa rozbolała i ze strachu przed smokiem zemdliała.

– Phi! To proste niesłuchanie! – smok rozpoczął ratowanie. Ryczał, dmuchał i się trudził, wszystkich przyjaciół tym pobudził. Nie znalazł ratowania sztuki, gdyż miał w nauczaniu luki. Wtem na pomoc się pojawili przyjaciele drodzy i mili.

Pierwsza przyleciała sowa, bo to zawsze mądra głowa. Tuż zza groty myszka się skrada, a za myszką cała gromada. Każdy pomaga, jak tylko może, a sowa krzyczy:

– Smoku, potworze!

Klatkę piersiową uciska kret, a oddechy wykonuje pan Shrek. Puls, wilgotną łapką mierzy ropucha. Sroka królownie zagląda do ucha. Jastrząb odgania komary i muchy, bo to brudasy i straszne leniuchy. Biegnie spóźniona maleńka foczka, a tu królowna otwiera oczka. Duże, niebieskie, mokre od łez wyciera chusteczką jeź i smok też.

Królowna szepcze smokowi do ucha, on się uśmiecha i pilnie słucha. Wstał, sklonił się nisko, grzecznie przeprosił, po czym obwieścił, że się wynosi.

Nagle zabrzmiały głośnie fanfary, to król jedzie powozem starym. Zwierzęta razem krzyczą:

– Dzisiaj król złoży nam wizytę – to wydarzenie niesamowite!

Jego wysokość, śmiem zauważyć, wszystkie zwierzęta chce skarbem obdarzyć.

Naszemu smokowi się dobrze wiedzie, przyjaciół gości też na obiedzie. Z królowną w lecie tak dla ochłody, jadą do miasta na pyszne lody. Smok się zmienił niesłuchanie, zjada płatki na śniadanie. Lubi figle, psoty,

tańce, świetnie skacze na skakance. Jeżdżąc zaś na hulajnodze, wszystkim kłania się po drodze. Zieje ogniem, dmucha dymem, przy tym fajną robi minę.

Powiem Wam tak w tajemnicy, że dotrzymał obietnicy. Choć leciwy już i siwy to do dzisiaj jest szczęśliwy.



Agnieszka Langmesser

17 PARTNERSTWA
NA RZECZ CEŁÓW



Budujemy domy – domki dla owadów

Nie tak dawno w wielkim mieście,
Wierście mi albo nie wierście,
Za blokami, ulicami
Mieszkał wilk ze świnkami.

Tam, gdzie hałas i spaliny,
Asfalt, beton i kominy,
W małym parku sobie żyli
I się bardzo przyjaźnili.

Małe świnki miały domy
Z cegiel, drewna albo słomy.
Wilk natomiast miał mieszkanie
U stóp wzgórza, w starej jamie.

I choć bardzo się lubili,
Czasem trochę się nudzili.
Bo park mieli bardzo mały,
Do życia niedoskonały.

Zwierząt wcale jest niedużo,
Bo się wokół wszyscy burzą,
Że park jest do rekreacji,
A zwierząt byt nie ma racji.

Ludzie beton wszędzie leją
I pomyśleć nie umieją,
Że zieleni teraz mało.
Co się tak właściwie stało?

Coraz mniej jest drzew oraz łąk,
Bo owady już poszły stąd.
A kto kwiaty nam zapyli,
Kiedy ludzie są niemili?

Pszczoły, biedronki oraz motyle
Znikną na zawsze stąd już za chwilę.
Nie ma miejsca i dobrych warunków,
By ochronić choć kilka gatunków.

Więc usiedli – wilk i świnki.
Zatroskane mają minki.
Coś wymyślić dzisiaj trzeba,
Bo tak żyć się dalej nie da.

By ochronić tych najmniejszych,
Wilk głos zabrał jako pierwszy:
– Zimno będzie, idzie zima,
Gdzie się schroni ich rodzina?

I świnki razem podskakują:
– Owady domu potrzebują,
Tam się zimą zahibernują,
A wiosną ich młode wyklują!

Wilk już pomysł ma gotowy,
Właśnie przyszedł mu do głowy:
– Oto skrzynka moja stara.
Myślę, że się na coś nada.

Już prosiaczek podchwytuje,
Z nogi na nogę przestępuje:
– Ja z dziurami mam aż dwie cegły,
Co mi z mojej budowy zbiegły.

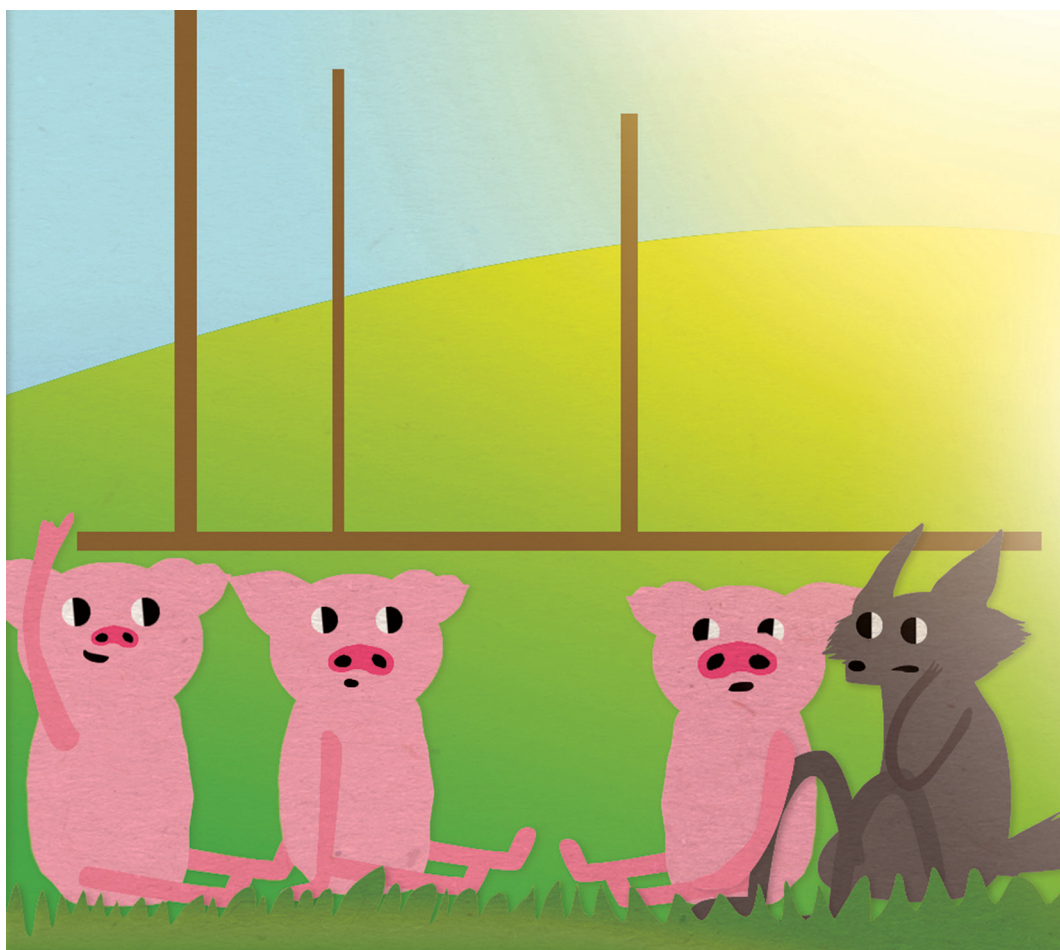
A prosiaczek drugi rzeczce:
– Świetny pomysł, nie zaprzeczę.
Zaraz dam wam pęk patyków,
Bo patyków mam bez liku!

Trzeci długo nie główkował
I też coś wykombinował:
– Ja dorzucę wam garść słomy,
By ogrzać owadzie domy.

Tak przyjaciele wspólnymi siłami
Domek dla owadów wybudowali.
A na wiosnę, jak zapewne już wiecie,
Park usiany był kolorowym kwieciami.

Owady się odwdzięczyły,
Wszystkie kwiaty zapylily,
Wszystkie drzewa owocowe,
By owoce rosły zdrowe.

Natura, jak pewnie wiecie,
Lubi równowagę w świecie.
A troska oraz szacunek,
To równowagi warunek.



Beata Jaroszyńska

17 PARTNERSTWA
NA RZECZ CEŁÓW



Bajka o smoku Drago, który ział ogniem

Dawno, dawno temu, kiedy na świecie nie istniały jeszcze komputery, Internet ani nawet YouTube, Ziemię zamieszkiwały smoki. Jeden z nich o imieniu Drago, pomimo że nie różnił się wyglądem od innych smoków, to jednak nie... albo o tym lepiej później.

Nasz bohater był zielony, tak jak inne smoki. Całe ciało miał pokryte łuskami, na grzbiecie sterczały mu dumnie ostre kolce, a po bokach wyrastały skrzydła całkiem sporych rozmiarów. Miał też długi kolczasty ogon, pysk najeżony zębami i oczywiście wielkie smocze oczy.

Drago był prawie typowym smokiem. W przeciwieństwie do innych smoków nie potrafił ziać ogniem. Wszystkie smoki jak na zawołanie wydobywały z gardel ognisty podmuch, tylko on jeden nie. Drago próbował ziać ogniem, ale zawsze kończyło się tak samo. Pluł, kaszlał, kichał, ale na próżno. Z jego nozdrzy nie wydobywał się nawet mały, malutki, szary dymek.

Inne smoki naśmiewały się z niego. Było mu bardzo przykro z tego powodu. Przecież i on chciał ziać ogniem jak inni. Próbował różnych domowych sposobów. Jadł papryczki chili, popijał je wodą z pieprzem i... nic. Nadal nie potrafił wydobyć ognia z paszczy. Smoki zawsze potrafiły ziać ogniem i nigdy nie zdarzało się inaczej. W końcu Drago pogodził się ze swoim losem. Czasami robiło mu się smutno, gdy napotkane smoki uśmiechały się dziwnie na jego widok i dla zabawy ziały ogniem.

Pewnego razu Drago wybrał się na spacer do lasu. Szedł, szedł, a gdy się zmęczył usiadł na kłodzie. Nagle poczuł ukłucie. To był smokobąk. Ukąsił go w ogon! Smokobąki to owady, które uwielbiają kąsać smoki. Są bardzo sprytne, ale gdy smok w porę je dostrzeże, może je przegonić, jeśli tylko zionie ogniem.

Nasz bohater tego nie potrafił. Mógł więc tylko machać skrzydłami i kłapać smoczą paszczą, aby przegonić natrętnego owada. To jednak nie odstraszyło smokobąka. Zaraz pojawiło się ich więcej. Krążyły dookoła głowy, skrzydeł i ogona smoka, co strasznie go drażniło.

I wtedy stało się coś niesamowitego. Drago prychnął nozdrzami w kierunku owadów, a te w jednej chwili odleciały. Smok nabrał powietrza i z całych sił zaczął zionąć, ale... nie ogniem, tylko lodem. Drago odkrył, że potrafi zamrażać.

Kilka dni po tym odkryciu, smok wybrał się znów na spacer do lasu. Kiedy zbliżał się do polany, dostrzegł dym i usłyszał krzyki. Zaniepokojony uniósł

się nad ziemię i poleciał w kierunku niebezpieczeństwa. Dwa smoki w zabawie ziały ogniem i tym samym doprowadziły do pożaru lasu. Drago bez zastanowienia nabrał powietrza i zionął lodem w kierunku ognia. Mrozący podmuch ugasił pożar. Nasz smok stał się bohaterem, uratował las! Dwa nierozważne smoki obiecały mu, że już nigdy nie będą ziać ogniem w lesie. Takie zabawy były zbyt niebezpieczne.

Od tamtego wydarzenia, żaden smok nie naśmiewał się z naszego bohatera. Drago – smok, który nie potrafił ziać ogniem, ale za to nieźle... mroził.



